

# Natrzy spósooby

**Joanna Kruszewska**



Replika

# 1

- Martyna, czy ty testowałeś już kiedyś tę maseczkę?  
- Anita przechyliła głowę i z pewnym niepokojem przyglądała się twarzy przyjaciółki. Odpowiedź stanowiło potakujące kiwnięcie głowy i wzniesiony kciuk. Zdumiewające, ale Martyna zupełnie nie wyglądała na kogoś, kto za kilkanaście godzin miał stanąć przed ołtarzem i wyrzec sakramentalne tak. Wyglądała na obrzydliwie zrelaksowaną i pewną siebie. Właściwie to aż biło od niej pewnością siebie. Anita wzdrygnęła się, bo choć chwilami miała ochotę nieznacznie cofnąć czas, to jedno było pewne - własnego ślubu nie chciałyby przeżywać po raz kolejny. Zwłaszcza przygotowań.

- Spokojna głowa, testowała, wielokrotnie. Kiedyś nabijałyśmy się, zastanawiając się, czy zamiast zwykłego homogenizowanego serka może być, na przykład, waniliowy. Hi, hi! Nie pamiętasz? - Iwona rozłożyła cały zestaw kosmetyczny na podłodze i wypróbowała lakiery do paznokci. Wszystkie po kolei. Jak leci.

- Nie. Pamiętam za to, jak nas wszystkie wymazała płatkami owsianymi z dodatkiem jakiegoś paskudztwa. Żółtego paskudztwa.

- Kurkumy, ignorantko jedna. Kurkumy! - zafurczało spod jasnożółtej mazi. - Teraz też jej dodałam.

- Być może. Pamiętam też, że coś jej się pomyliło z innymi dodatkami i przez parę dni chodziłyśmy żółtawe na twarzach. Najciemniejszy podkład nie pomógł. To pamiętam.

- Anita zastygła z kieliszkiem, który kierowała do ust i wzruszyła ramionami. - Pytam, czy jutro nie będzie żadnych niespodzianek. Co robisz?

- Odpukuje w niemalowane. W głowę mi puknij - odpowiedziała Iwona usłużnie, przyglądając się, jak przyszła panna młoda biega po pokoju i próbuje znaleźć coś, cokolwiek, co nie byłoby pokryte farbą albo lakierem. - Auuu, ale nie tak mocno!

Martyna jednak nie miała czucia. Nie dzisiaj. Dużo rzeczy się na to składało, pierwsza zaś i dominująca to jutrzejszy ślub. Jej ślub. Z czarującym Czarkiem. Anita nie miała racji, to, co wydawało się pewnością siebie, kosztowało Martynę masę wysiłku. Od paru dni prześladowały ją wizje najczarniejsze z możliwych. Przeklinała swoją wyobraźnię i próbowała odwołać się do zdrowego rozsądku, jednak ten, wydawało się, opuścił ją. Jak na razie nie zamierzał wracać i stawać w opozycji do wyobraźni hasającej w najlepsze w Martynowej głowie. Tak więc przyglądała się obrazkom przesuwającym przed oczami i zgrzytała zębami. Jedynie to jej pozostało.

Teraz usiadła po turecku między dwiema przyjaciółkami i za wszelką cenę próbowała sobie wmówić, że suknia ma wystarczająco mocny tren. Że mała siostrzenica nie przewróci się w najmniej oczekiwanym momencie, a obrączki nie potoczą się z poduszeczki między ławki kościoła św. Wojciecha albo gdzieś w siną dal. Martyna wdrygnęła się, bo przed oczami jej wyobraźni przesunęły się zadki gości weselnych, odzianych w kolorowe sukienki i wyjściowe garnitury, nurkujących pod ławki w poszukiwaniu dwóch złocistych krążków. Och!

Czyj to był pomysł? Nie dało się zaprzeczyć, że kochała swoją kragluską siostrzenicę. Kochała bardzo, miłością prawie matczyną i bezkrytycznie traktowała wybryki czterolatki. No właśnie, czterolatki!!! Ajutro... hm, w tym dniu najchętniej robiłaby wszystko za wszystkich. Wtedy może

zyskałaby stuprocentową pewność, że pójdzie tak, jak powinno. Miała ochotę na własnych plecach zanieść Czarka pod ołtarz. Inaczej nie dałaby rady, wiadomo, subtelna różnica w gabarytach.

Nie uciekłyby.

Miała ochotę nieść obrączki. Nie potoczyłyby się nigdzie.

I trzymając kamerę, ujmować wszystko, co trzeba. Najpierw sprawdziłaby stan naładowania baterii. Wzięłaby zapasową. Robiłaby zdjęcia.

Najchętniej Martyna sama sobie udzieliłaby ślubu.

Jednak w błędzie byłby ten, kto określiłby ją w tej chwili mianem histeryczki. W dużym błędzie. To tylko poważna sytuacja robiła z jej mózgiem, co chciała.

Po pierwsze, Martyna zakochała się do nieprzytomności. Po drugie, udało jej się to dopiero w wieku trzydziestu siedmiu lat. I jak tu zachować trzeźwość umysłu? Nijak, po prostu nijak! W zamyśleniu potarła czoło, wygładzając zmarszczki. Gest nabyty gdzieś na przełomie ostatniej dziesięciolatki, a może i piętnastolatki, kto to spamięta? Z każdym dniem przybywa ich przecież coraz więcej, tyle samo ubywa. Gestów, nie zmarszczek - bezustanna rotacja trwa, a czas leci na łeb na szyję. Tylko przyzwyczajęń nie ubywa. (O, nie!) Znowu wygładziła czoło. Nawyki pędzą swoim coraz bardziej utartym torem i jakiegokolwiek wymuszone zmiany nie są mile widziane. Tym bardziej zmiany pochodzące z zewnątrz... Teraz palce nie przesuwają się już lekko po czole, ale wręcz wciskają maseczkę w skórę.

Nie wolno mi o tym myśleć, upomniała siebie po raz setny, nie wolno. To dla Czarka, on nie będzie zawadzał, uzupełni moje przyzwyczajenia, a ja jego. Tak będzie i kropka. Przed oczami, jakby przywołana natarczywym masowaniem, przemknęła uśmiechnięta twarz narzeczonego i jak zwykle wywołała cielecą odpowiedź, która w przekonaniu Martyny była czarująca. Bała się tego uczucia, bała się wszystkiego, co z nim związane, a im dłużej na nie czekała,

tym bardziej godziła się z przeznaczeniem. W pojęciu Martynty przeznaczenie obrało dla niej los starej panny. Inaczej się tego nie dało wytłumaczyć, bo chociaż robiła wszystko, co w jej mocy i obierała różne strategie - planowała, zwodziła, kusiła i czego ona jeszcze nie robiła - to wciąż była sama. Nabrała nawet zwyczaju wyobrażania sobie różnych scenariuszy. Ot, na przykład, kilkudniowe wyjazdowe szkolenie - na pewno spotkam kogoś godnego uwagi. Wypad z dziewczynami do kawiarni - poznam dzisiaj tego jedyne, na pewno. Urlop nad morzem - pokój obok zajmie mężczyzna sympatyczny, przystojny, a odległość nie będzie miała znaczenia. Niestety, zazwyczaj te wyobrażenia pozostawały w opozycji do dość brutalnej rzeczywistości. Na szkoleniach, owszem, poznała niejednego godnego uwagi, słodkiego i cudownego księcia obiecującego kryształowe zamki na złotych górach, z tym tylko, że... jeden zamek już zdążył zaludnić, a księżniczka siedziała w jego kryształowej wieży i czekała na wiarołomnego księcia, podając dzieciom butelki z mlekiem, zmieniając pieluszki i gotując obiad na przyjazd jego księżęcej, kurczę, mości.

Co to, to nie. I nie chodziło o chwalebne zasady, o solidarność macic, czy inne takie tam... No, może częściowo. Ale przede wszystkim nie miała ochoty być substytutem. Chciała być towarem z najwyższej półki, pożądanym, jedynym w swoim rodzaju. No i jakoś się nie udawało. Panowie przewijali się przez jej życie incydentalnie, wydawali się mało zaangażowani emocjonalnie, a ona do nikogo nie zapalała uczuciem na tyle silnym, żeby odstąpić mu choćby kawałek miejsca w swojej szafie lub w kubeczku na szczołeczkę do zębów.

Wreszcie pewnego dnia Martyna doszła do wniosku, że nie ma co czekać, bo życie gotowe przemknąć jej między paluchami niepostrzeżenie i w pewnym momencie może się okazać, że pasuje do niej jak ulał jeden z komicznych obrazków krążących w sieci. Przedstawia on - ni mniej, ni więcej - drobny niewieści szkielet. Zakotwiczony na ławce

w jakimś niezidentyfikowanym parku. Obrazek opatrzony był podpisem „W oczekiwaniu na księcia”. Czy coś w tym stylu. Martyna zakasała rękawy i zmodyfikowawszy nieco marzenia, zabrała się do ich realizacji.

Dom miał być? Będzie! Nieco mniejszy, bez męzowskiego gabinetu, za to na pewno z pokojem dziecięcym. Bo dziecko być musi, czy z tatusiem, czy bez, nieważne. Na odziedziczonej po przodkach ziemi wmurowała kamień węgielny pod budowę własnego kąta. Obejrzała setki projektów, by ostatecznie zdecydować się na parterowy dom z mieszkalnym poddaszem. Na rysunkach, które pokryte były kreskami, kropkami i cyferkami, widziała ustawione meble. Czuła też zapach i ciepło szczepek drewna palących się na kominku.

I to stało się priorytetem. Każdą wolną chwilę spędzała na placu budowy, oddalonym od centrum Białegostoku zaledwie parę kilometrów, doglądając, sprawdzając i - ogólnie rzecz biorąc - napawając się tym szczególnym uczuciem posiadania i czekania na efekt końcowy. Pogodziła się z myślą, że wszystko to będzie wyłącznie jej, że sama musi znaleźć środki na sfinansowanie swych marzeń. I tkwiła w tym przekonaniu z determinacją samotnej kobiety.

Do dnia, kiedy patrząc w niebo i niespiesznie przegarniając stopami liście w parkowych alejkach, zaplątała się w smycz. Zaplątała, po czym wywinęła klasycznego orła. Liście nie zamortyzowały upadku na tyle, żeby uchronić kostkę przed zwichnięciem. Usiadła więc Martyna na kupce świeżo zgarniętej przez służby miejskie i sycząc pod nosem przekleństwa, zaczęła rozmasowywać obolałą nogę. Tak była pochłonięta obserwacją puchnącej kończyny, że nie zwróciła uwagi na jasną mordę i dwoje ciemnych, poczciwych ślepi, które się w nią wpatrywały. Nie zauważyła też, kiedy do psich dołączyły ludzkie. Jasne, współczujące i pełne poczucia winy. Dopiero solidne liźnięcie po policzku zwróciło jej uwagę na winowajców. I to skutecznie.

Na tyle skutecznie, że teraz robiła wszystko, żeby na własnym ślubie wyglądać jak bogini. Westchnęła z głębi płuc, szczęśliwie, solidnie i z rozmarzonym uśmiechem. Jutro zakłada rodzinę. Nie, poprawiła się w myślach, to brzmi jakby planowała założenie jakiejś plantacji albo funduszu, to źle brzmi, bez uczucia.

Jutro rozpoczyna nowe życie. Tak, tak jest dobrze. Z kochającym i kochanym mężczyzną u boku, z poczciwym Sproketem u nogi, a niedługo (oby jak najprędzej!) ta rodzina się powiększy. Martyna bezwiednie pogłaskała się po brzuchu i uśmiechnęła, cokolwiek z trudem, bo maseczka zdążyła na jej twarzy utworzyć twardą skorupę. Przed oczami zamajaczył jej obrazek - oto ona tuli do piersi mały tłumoczek. Zyskawszy bowiem porządnego kandydata na tatusia, Martyna dała upust, skrywanym do tej pory a buzującym w niej od dawna, uczuciom macierzyńskim. Z przykrością myślała, że dopiero za dziewięć miesięcy, bo na pewno nie później, będzie mogła przytulić własne, maluteńkie dziecko. Podobne albo do niej, albo do Czarka. Ot, jej malutką replikę, jeżeli nie z wyglądu, to może z charakteru? Do głowy jej jakoś nie przyszło albo przyjść nie chciało, albo też przychodziło, ale obawom zazwyczaj nie chciała nadawać imienia, że przecież od początku znajomości, czyli prawie od trzech lat, nie zwracali uwagi na zapobieganie ciąży. Raz się zabezpieczali, raz nie, w każdym razie do tej pory żadna komórka nie chciała się na trwałe połączyć z drugą. Martyna wzruszyła ramionami, odpierając argumenty, bo wychodzi na to, że zabezpieczali się wtedy, kiedy trzeba albo nie trzeba, zależy jak na to spojrzeć, a efektu niestety nie było. A teraz zabezpieczać się nie będą w ogóle i równiutkie dziewięć miesięcy po nocy poślubnej Martyna będzie mogła wtoczyć ramionami drobne ciało, które wyrosło w niej samej. Oczyma wyobraźni widziała już drobne rączki, które się do niej wyciągają. Zupełnie nieoczekiwanie te drobne

paluszki zmieniły się w damskie dłonie, zakończone równo spiłowanymi paznokciami.

- Anita, zrób coś, przecież ona zaczyna płakać. Martyna, obudź się kobieto, halo! Halo... tu ziemia!

- Dlaczego wrzeszczysz? - zapytała Martyna ściągnięta brutalnie na ziemię. - Dlaczego wrzeszczysz? W dniu mojego wieczoru panieńskiego, pytam?

- Bo po pierwsze, wyschło ci całkiem to mazidło, które masz na twarzy, a po drugie zaczynasz płakać. I nie wrzeszczę, tylko grzecznie mówię - nadęła się Iwona i wróciła do malowania paznokci na stopach. - Wyobraź sobie, że interesuje mnie, jak będziesz jutro wyglądać. Może trochę mniej niż ciebie, ale też bym chciała, żebyś wyglądała nieskazitelnie. Więc idź do łazienki, bo na opakowaniu było wyraźnie napisane, żeby siedzieć z tym piętnaście, dwadzieścia minut. A ty marzysz już prawie czterdzieści. Tyle chciałam powiedzieć.

- Cholera, zapomniałam! - Martyna uderzyła się ręką w czoło, spojrzała na dwie zielone skorupki, które spadły na dywan, i pobięła do łazienki.

Przyjaciółki. Dwie serdeczne przyjaciółki. Jedyne, z którymi mogła rozmawiać o wszystkim. Iwona i Anita. Chwilami denerwujące, ale zawsze były razem. Teraz - zamaszystymi ruchami zmywała maseczkę z twarzy - teraz ona będzie żyła na tych samych zasadach, co przyjaciółki.

Żona i matka. Tematów przybędzie, doradzą w sprawie dzieci. Iwona miała dwoje, chłopca i dziewczynkę, a Anita dorastającą już pannę... Chwilami Martyna czuła się zupełnie nie na miejscu, nie miała najzwyklejszego pojęcia, o czym rozmawiają, dlaczego narzekają na mężów. Owszem, mąż po paru latach może stać się - i pewnie się staje - obiektem narzekań. Martyna idealistką nigdy nie była i zdawała sobie sprawę, że z biegiem czasu, wraz z nowymi problemami ich tryskająca teraz miłość przyblaknie, ale zanim to nastąpi... Bardzo dobrze, że mam tu takie ciemne oświetlenie, przyjrzała się swemu odbiciu w łazienkowym lustrze,



zmarszczek nie widać... Dooobrze, sapnęła przez zęby, ale nigdy nie miałam tego zielonego odcienia na twarzy. Powolnym ruchem i z uczuciem narastającej paniki zapaliła nie lubiane - wydobywające najgorszą prawdę - światło punktowe nad lustrem. Zapaliła i jęknęła. Zamknęła oczy i zgasiła światło, po czym otworzyła je i znowu pstryknęła włącznik.

- Nieee!!! - wrzasnęła wreszcie.

- Co nie? Co się dzieje? Martyna? O matko... - Anita przybiegła pierwsza, zaalarmowana paniką w głosie przyjaciółki i na widok jej twarzy przylgnęła do framugi drzwi. Po chwili dokuśtykała do niej Iwona, przyblokowana nieco przez separatory między paluchami, i aż ją zatchnęło.

- Zmyłaś to już?

- Zzzmyłam - wycodziła przez zęby Martyna, przyglądając się swojej, co tu dużo mówić, zgniłozielonej twarzy. Z wyraźnie jaśniejszymi miejscami wokół oczu i ust. Czyli tam, gdzie zdradziecka maseczka nie dotarła.

- Nie widać?

- Nnno, nie widać.

- A powinno, prawda? - Spokój przyszłej panny młodej zwałał je z nóg i zupełnie nieświadomie, w przeczuciu zbliżającej się katastrofy, odsunęły się nieznacznie w tył.

- Powinno być widać, a nie widać. Ciekawossstka, prawda? Wszystko miało być idealnie, ja miałam być idealna, bo to wielki dzień, a tu proszę...

- Martyna... - zaczęła Anita.

- Tak? - twarz przyjaciółki przybrała złowrogi i zupełnie nieobliczalny wyraz.

- Coś da się z tym zrobić. Nie wiem co, ale się da. Iwa, turlaj się do pokoju, w Google wpisz **przebarwienia na twarzy**, a ty pokaż się tutaj i oddaj te perfumy. Teraz!  
- Anita po chwilowym szoku doszła do siebie i zaczęła brać sprawę w swoje ręce.

- Nie oddam - syknęła Martyna, na co Iwona ulotniła się błyskawicznie spod drzwi. - Nie oddam. Właśnie

się zastanawiam, czy nie łomotnąć tym flakonem w lustro. Albo w zlew, ale z większej odległości trzeba.

- Z żadnej nie trzeba, chcesz, to sobie wrzśnij, a to mi dawaj. - Anita wyrwała jej z ręki szklany pojemnik i odstawiła w bezpieczne miejsce. Martyna spojrzała na nią z konsternacją, przyjrzała się pustym, zaciśniętym mocno dłoniom i zrozumiałwszy, że wytrącono jej z ręki ostatnią broń, broń przeciwko największym niesprawiedliwościom tego świata, ryknęła gromkim płaczem.

- Dlaczego to mnie zawsze spotyka? Dlaczego wtedy, kiedy najbardziej się staram, wychodzi, jakbym nie starała się wcale? Dlaczego, gdy wszystko jest dopięte, wyszlifowane, gdy wszystko jest tak jak trzeba, nagle wyskakuje jakaś niespodzianka? - Martyna przysiadła na wannie i obficie wylewając łzy, patrzyła wyczekująco na Anitę.

- Jak diabeł z pudełka... - dodała sama z siebie Anita i biorąc twarz przyjaciółki w obie dłonie, przekreśliła ją bezceremonialnie do światła. - Nie stercz pod drzwiami, tylko idź i szukaj!

- Skąd wiesz, że jeszcze nie poszłam? Idę właśnie, tylko wolno idę, przez te pazury - dotarło prawie spod drzwi.

- Znamy się - sapnęła pod nosem Anita i wzruszyła ramionami. - A co do twoich pytań, Martyna, to los lubi nam robić różne fantazyjne psikusy, a im mniej się ich spodziewamy tym bardziej w nas uderzają i tym bardziej są fantazyjne.

- A dlaczego akurat mnie? I wtedy, kiedy najbardziej bym ich nie chciała? - zaryczała z podwójną siłą Martyna.

- Nie tylko tobie, nie tylko, kochana, wszystkim. Nie myśl, że jesteś wybrańcem, przykładów ci teraz przytaczać nie będę, bo nie pora ku temu. Pora najwyższa zaś na to, żebyś przestała ryczeć, bo jeżeli nam się tego nie uda zmyć, to do kompletu będziesz miała jeszcze czerwone, zapuchnięte oczy. Chcesz tego? - zapytała bezlitośnie, ale skutecznie, bo Martyna momentalnie zakreśliła oba kraniki w oczach i pokręciła głową. - Nnno. Tak ma być. Idziemy

do Iwony, poszukamy antidotum, jest jeszcze czas. - Anita potarła czoło i zerknęła na zegarek. Niewiele tego czasu, co prawda, bo krótka wskazówka dobiegała już dwunastki, wypchnęła więc Martynę z łazienki i skierowała do pokoju.

- Są maseczki tylko - Iwona, nie podnosząc głowy znad monitora, recytowała - maseczka z selera, z ogórka, z miodu...

- Iwa...?

- ...z pyłu wulkanicznego, z marchwi... Czekaj, czekaj z pyłu wulkanicznego? Martyna, robiłaś kiedyś coś takiego?

- Iwona! Wystarczy już na dzisiaj maseczek, daj jej spokój, szukaj *przebarwienia*.

- Szukam przecież, szukam. Jeśli taka jesteś mądra, spróbuj, proszę bardzo. - Podsunęła laptopa w kierunku Anity, a sama zajęła się rozpaczającą przyjaciółką. To już mogła zrobić, pocieszać umiała, zaś w kwestii znalezienia rady, konkretnego antidotum była zazwyczaj bezradna. No bo jak tu zgadnąć, co może człowiekowi pomóc, ale przytulić i pocieszyć, proszę bardzo. Więc objęła drobne ramiona Martyny i przytuliła mocno. - Anita coś poradzi, zobaczysz, poradzimy wszystkie, będziesz jutro boginią, na pewno. Staniemy na rzęsach.

- Tak, Anita coś poradzi... Na pewno, weźmie czarodziejską różdżkę, wypowie magiczne zaklęcie, jedno albo dwa, i sobie poradzi... Czekaj, czekaj, dobrze mi się kojarzyło - Anita wyprostowała się jak struna - cytryna. Gdzieś w jakimś filmie widziałam, a tutaj też. No i wszystko w porządku, cytryna potrzebna.

- Nie mam - Martyna po chwilowym uniesieniu okłapała z powrotem jak przekłuty balon i zaczęła się znowu przymierzać do płaczu.

- Ani mi się waż - sapnęła Anita, zrzucając szlafrok i wkładając w pośpiechu bluzkę. - A cytryna będzie.

Za jakieś piętnaście minut. - Po czym wyleciała, w biegu wsuwając buty na stopy.

Za drzwiami mogła sobie pozwolić na skąpy uśmiech, bo sytuacja w pewnym sensie była komiczna, nie dało się ukryć. Biedna Martyna faktycznie przyciąga pecha jak magnes, bo ile już maseczek miała na twarzy? Niezliczoną ilość. Jeżeli nie kupowała gotowej, to potrafiła spreparować własną z tego, co akurat miała pod ręką, korzystając z nabytej przez lata wiedzy. Nakładała na twarz serki, miody, płatki owsiane, po prostu wszystko. Anita wzruszyła ramionami. W każdym razie nigdy nic się nie działo, chociaż nie, raz przez przypadek dodała curry zamiast kurkumy, ot, przez czystą pomyłkę, i chodziła jakiś czas lekko żółtawa na policzkach. A dzisiaj, hm, albo ją zaćmiło - powinna przecież znać antidotum na podobne przypadłości - albo z tą cytryną to kit. Nie wnikając jednak zbyt głęboko w tę kwestię, Anita kupiła kilogram cytryn, bo nie wiadomo, ile będzie potrzebne, i pobiegła z powrotem. Dziewczyny zastała w kuchni nad koszem ze śmieciami.

- No co?

Na pytające spojrzenie Iwona wzruszyła ramionami.

- Uparła się znaleźć opakowanie.

- Mogła być przeterminowana, musiała być przeterminowana, innego wyjścia nie widzę - sapała Martyna, przesuując palcem jakieś skórki i papiery. - O, jest.

- No i? - zaczęły przyglądać się opakowaniu ze wszystkich stron.

- Kleopatra używała... cudowne właściwości... zmiękczenie skóry... a czego ona nie robi? - zainteresowała się Iwona.

- Nie wnikaj, dobra jest, znaczy termin był dobry - poprawiła się szybko Anita pod miażdżącym spojrzeniem spod zielonego czoła. - Zresztą to nie ma znaczenia. Za długo trzymałaś na gębie i wyszło to, co wyszło. - Wyjęła jej kartonik z dłoni i wrzuciła z powrotem do kosza, po czym kategorycznie zamknęła szafkę. - Ruszcie się,

bo czas nam się kurczy. Te cytryny chyba trzeba powyciskać, co? I sokiem?

Pomijając fakt, że odrobina soku kapnęła najpierw do jednego, później do drugiego oka, efekt był. Może nie aż tak zadowolający, jakby chciały, ale intensywna zieleń została zastąpiona odcieniem o wiele jaśniejszym, więc zdecydowały, że resztą może się zająć, bo właściwie nie będzie miała wyjścia, kosmetyczka. Nos okazał się najbardziej oporny i o drugiej nad ranem Anita miała ochotę przetestować ocet. No bo skoro ma być kwaśne, to może ocet? Albo kwas z ogórków kiszonych? Przyjaciółki ściągnęły ją jednak na ziemię i porzuciwszy miski, miseczki, waciki i ręczniki padły na łóżka, nastawiając uprzednio trzy budziki.

Rano, na dźwięk tych budzików, zerwały się na równe nogi prawie natychmiast i od razu, przy dziennym świetle, ruszyły do oględzin wczorajszej tragedii. Panna młoda siedziała z nosem, zielonkawym, trzeba dodać, spuszczonej na kwintę i zadawała sobie po raz setny pytanie, czy nie odwołać tego wszystkiego. Albo nie. Lepiej przeobrazić lipcowy ślub w karnawałowy bal maskowy... Zarzuciłoby się jakieś cekinowe cudło na twarz i byłoby po sprawie. Machnęła ręką z rezygnacją i przejechała palcami po włosach, długich i w świetle jasnego słońca wręcz złotych. W lusterko bała się spojrzeć. Wołała nie wchodzić do łazienki, zamiast tego wpatrywała się z nadzieją w twarze przyjaciółek, które badały dokładnie, z różnych odległości, każdy milimetr jej twarzy.

- No i?
- Źle nie jest - mruknęła Iwona.
- Hm, wsadzasz mi nos w oko.

- Aaa, przepraszam. - Iwona odsunęła się mniej więcej o jakieś dwa milimetry. - Położy się podkład i właściwie nie będzie widać.

- Właściwie? To jak prawie... - mruknęła Martyna.

- Nie marudź, ubieraj się. Za pół godziny wychodźmy. - Anita zdążyła już pobiec do kuchni, nastawić ekspres i pootwierać wszystkie okna, a teraz przysiadła na chwilę obok Martyny, objęła ją i sapnęła prosto w ucho, skryte pod prostą, złotą ścianką. - Dzisiaj twój wielki dzień. Żadne pierdoły tego nie zakłóca, a Beata zrobi z twoją twarzą cuda, zielone rumieńce... nooo, nawet już nie takie zielone, zamienią się w różane lico wdzięcznej i przezystej panny młodej - przy ostatnich słowach nie wytrzymała i parsknęła, po chwili dołączyła do niej Iwona, aż wreszcie we trzy przewracały się po łóżku. Jak nastolatki, dokładnie tak jak za dawnych szczeniących czasów, beztroskie, radosne i pozornie niczym nieobciążone.

Wreszcie Anita, jak zwykle, oprzytomniała pierwsza.

- Ruszcie się baby, bo dam sobie głowę uciąć, że za chwilę zadzwoni twoja mama - tu wskazała palcem w klatkę Martyny - i będzie się dopytywała, dlaczego nas jeszcze nie ma. A jedyne, co jej w tej chwili chodzi po głowie, to to, że spiłyśmy się wczoraj do nieprzytomności i mało rześkie dochodzimy do siebie.

- Taaak - Iwona rzuciła tęsknym okiem w stronę napoczętej butelki rumu - spiłyśmy, nie uwierzy...

- Uwierzy, spokojna głowa. Dobra - ucięła, uchylając się przed nadlatującym kapciem - kawa, przysnic i lecimy. Ja pierwsza!

- Zożo jedna - krzyknęła za nią Iwona - za karę wypijemy ci całą kawę!!!

- Zaparzę drugą!

- Chodź, Fiono. Auć, nie bij, to miało być z sympatią - Iwona roztarła ramię, na którym przed chwilą z dużym impetem wylądowała pięść przyjaciółki.

- To też - Martyna wzruszyła ramionami i niespiesznym krokiem udała się w stronę stolika, po którym rzucał się wściekle mały telefon. - Popatrz, miała rację. Cześć mamo, no już, już zbieramy się, Anita poszła właśnie pod prysznic. Wiem, która godzina, wiem, że możemy w domu, ale po co robić sztuczny tłok... Co? Jak to? Przecież miały przyjechać na sam ślub... A co mnie to obchodzi? Tam nie będzie gdzie szpilki wcisnąć!!! Szlag! Już się nie wyrażam, chociaż wierz mi, to, co przed chwilą powiedziałam, to mały pikuś w porównaniu z tym, co mi chodzi po głowie... Pikuś mamo, oj nieważne, dobrze, kawa nam stygnie, za godzinę będziemy, pa! - Martyna nie dając matce szans na dalsze dociekanie, wcisnęła czerwoną słuchawkę. - Mać.

- Co mać?

- Kurwa, a co ma być?

- Oj, źle.

- Żebyś wiedziała! Panna młoda wzruszyła ramionami, poprawiając bawełnianą koszulkę i zaczęła przewracać w dłoniach telefon. Rzucić nim o ścianę, czy nie rzucić, ciekawe, jaki byłby efekt. Wczoraj nie miała okazji się przekonać, ale coraz silniej odczuwała potrzebę rzucenia czymś ciężkim, z maksymalnie głośnym efektem i masą zniszczeń wokół. - Siostry mamy się zjechały. Z inwentarzem.

- Z dziećmi znaczy? - w pierwszej chwili Iwona nie załapała.

- Nie z dziećmi, nie z dziećmi, głupia, tylko z całym swoim zwierzyńcem. Czy ty kiedyś rzucałaś na przykład talerzami, gdy cię Daniel zdenerwował? - spytała nieoczekiwanie Martyna.

- Co?

- Obudź się, pytam, czy rzucałaś...

- Wiem, o co pytasz, tylko nie wiem, dlaczego.

- Mniejsza o powody, pytam, czy wiesz, jaki to daje efekt?

- A to zależy. Bo jeśli się na przykład myśli o późniejszych konsekwencjach, znaczy o lataniu ze szmatą po

najdalszych kątach albo z odkurzaczem, albo że dziecko może się skaleczyć, to raczej mało terapeutyczne jest.

- Dzieci jeszcze nie mam.

- Uspokój się, chodź, bo nam ta kawa już całkiem wystygnie - Iwona wreszcie załapała, o co chodzi i pociągnęła przyjaciółkę za sobą.

- Albo ktoś wam ją wypije, hehe! Co tam? - Anita stała już z kubkiem w ręku, drugą dłonią przecierała mokrutkie obrączki czarnych włosów.

- Ciotki są - rzuciła lakonicznie Martyna.

- Źle. U mamy? Już? Miały być na ślubie, dopiero w kościele.

- Miały, ale są już, teraz. Ze zwierzyńcem.

\* \* \*

Tymczasem mama Martyny, Anna, wzięta była uciekała. Na chwilę, do łazienki. Uciekając zaś, złapała z szafki dwa papierosy schowane pod „wyjściowymi” bluzkami na czarną godzinę. Ponieważ, zobaczywszy siostry w drzwiach, stwierdziła z czystym sumieniem, że czarniejsza godzina raczej w najbliższej przyszłości nie powinna wybić. Szybko usadziła przybyłe w kuchni, zaopatrzyła w szklanki, inaczej być nie mogło, tylko szklanki, bo herbata z kubków w ogóle nie smakuje... i wyłuskawszy z męzowskiej marynarki zapalniczkę, uciekała właśnie. Zazwyczaj... oj tam, od razu zazwyczaj, czasami, chwilami, kiedy zwalczony nałóg dopominał się resztek swoich praw, Anna lokowała się jak najbliżej kratki wentylacyjnej, dokonując imponującej, zważywszy na wiek, akrobatyki. Teraz stanęła przed lustrem i patrząc sobie prosto w oczy, przypaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko, po czym z premedytacją wypuściła dym w kierunku drzwi. Wiedziała, że trzy wyczulone nosy za chwilę go poczną.

Siostry Anny kojarzyły się rodzinie i bliskim znajomym tej rodziny cokolwiek demonicznie. Uosabiały zło,



może niekoniecznie w najczystszej postaci, ale w jakiejś na pewno. Z ich wizytą wiązała się zawsze kompleksowa inspekcja, przegląd umiejętności kulinarnych gospodyni i postawienie jej życia na głowie. Czy może na rzęsach?

Janina, Grażyna, Halina - starsze siostry Anny - przyszły na świat we trzy, jedna po drugiej, silne, zdeterminowane, żeby przetrwać i za wszelką cenę utrzymać się przy życiu. Czy w pierwszych chwilach owego życia były równie zdeterminowane, żeby wszystkim naokoło zatruć egzystencję? Młodsza siostra, gdy tylko zaczęła cokolwiek rozumieć, szybko doszła do wniosku, że tak. Nie pomagało chowanie się za matczyną spódnicę, bo ta zazwyczaj była w nieustannym ruchu, w dzień właściwie nieosiągalna, a popołudniami i wieczorami kołysała się zbyt blisko rozgrzanej do czerwoności kuchni, żeby stanowić azyl. Zresztą matka nie uważała za stosowne dawać komukolwiek schronienie. Jej nikt niczego nie dawał. W wieku siedemnastu lat urodziła trzy córki. Na raz. Nie wiedziała, czy traktować jako błogosławieństwo czy raczej dopust Boży. Dwa tygodnie po porodzie postawiła na to drugie. W ciągu następnych lat życia utwierdzała się w tym przekonaniu, a gdy kolejna córka pojawiła się na świecie, tym razem szczęśliwie w pojedynkę, pani Maria postanowiła więcej nie ryzykować. Przygotowała mężowi siennik w rogu pokoju, z dala od okna, żeby mu zimno nie było, i ustanowiła całkowity zakaz zbliżania się do małżeńskiego łóżka. Pozostała głucha na mężowskie apele do złożonej przysięgi i na zarzuty wiarołomstwa. Nie dała się przekonać ni prośbą, ni groźbą.

Co to, to nie. Ona swoje zrobiła. Na własny gust zrobiła nawet ponad normę.

Tak więc pani Maria nie miała powodu, żeby litować się nad kimkolwiek. Nie miała powodu i czasu. Trzeba było rodzinę wyżywić, ubrać, dużo trzeba było. I od momentu kiedy dziewczynki osiągnęły wiek siedmiu lat, obarczyła je opieką nad młodszą siostrą. Poniekąd właściwie jej wychowaniem.

Anna sapnęła, poprawiając papiloty uciekające uparcie spod czerwonej chustki. Wychowaniem. Trzy żoły bezczelnie wykorzystywały od początku fakt, że są starsze. Zabierały jej z łubianki jagody, które pracownicy zbierała na skakankę, zabierały lalki, a we wszystkim były tak obrzydliwie zgodne. Wzdrygnęła się na dźwięk szczebiotu dochodzącego z pokoju. Co prawda, wyjechały w końcu do odległej Łodzi i we trzy zamieszkały w starej kamienicy, ale jak na skromny gust Anny odległość była zbyt mała. Dlaczego nie pokusiły się o wyjazd za granicę? Na przykład do Ameryki... Tak, ocean to było coś, co mogło zredukować ich wizyty do minimum. Anna westchnęła, wstała z sedesu, wyrzuciła niedopałek i spuściła wodę. Jak zwykle wynurzył się na powierzchnię i zdradziecko się na niej bujał. Kiedyś Martyna przybiegła do taty z krzykiem, że kredka pływa w muszli. Niech sobie pływa. Anna wzruszyła ramionami do swego lustrzanego odbicia, nie obchodziło ją, czy ktokolwiek przytłapie na chwili słabości panią domu. Dzisiaj jej najmłodsza córka wychodzi za mąż. Za mąż.

A nie tak dawno ganiała w pieluszcze.

Czas, czas jest okrutny. I bezwzględny, dodała w myślach, patrząc na swoje odbicie. Dlaczego dusza się nie starzeje? Wtedy ta obca pani w lustrze, z obwisłymi policzkami, ze zmarszczkami wokół oczu, nosa i ust, nie byłaby może taka obca? Wspomnienia nie byłyby takie bolesne? Rusz się, pani, bo dużo roboty przed tobą. Zerknęła jeszcze raz w głębiny muszli i dla świętego spokoju spuściła wodę po raz kolejny. Pływa dalej. Uch, machnęła ręką. Otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z córką.

- Uuu....

- Co? - zainteresowała się Martyna. - Cześć, mamo.

- Cześć. - Anna wpatrywała się w jej twarz, zastanawiając jednocześnie, ile wczoraj musiały wytrąbić, skoro córka tak zzieleniała, po czym przesunęła się szybko,

robiąc jej miejsce w drzwiach. - Już ci zwalniam łazienkę, już, już.

- Nie chcę do łazienki - Martyna wzruszyła ramionami.

- Jak to nie chcesz? A co chcesz?

- Mamo, nic nie chcę. v

- Jak to nic nie chcesz?

- Normalnie, mamo.

- No co, mamo? Zielonkawa jesteś, więc... Pomyślałam, że...

- Ciii - Martyna rozejrzała się dookoła w nadziei, że ciekawa informacja nie dotarła jeszcze do trzech par wścibskich uszu.

- Co ciii? - wbrew sobie mama zmniejszyła wysokość decybeli. - Dlaczego, pytam, jesteś zielona na twarzy? Akurat dzisiaj, dlaczego jesteś?

Na dźwięk pretensji w głosie matki, Martynę znowu dopadły wątpliwości. To, co z mozolnym trudem uzyskały dwie przyjaciółki przez cały poranek, a mianowicie dodanie jej pewności siebie, zaczęło się ulatniać w przyspieszonym tempie.

- Nie wiem, dlaczego jestem, może ci się wydaje.

- A gdzie tam wydaje, zielona i już - Anna w całym dobrej wierze podniosła z powrotem natężenie głosu - nie wiadomo dlaczego ludzie sądzą, że te same słowa wypowiedziane głośniej mogą mieć głębszy sens - i pociągnęła córkę do lustra. - Zobacz, przyjrzyj się, czekaj, zapalę światło, bo tu zawsze ciemno... Co u licha?

Między nogami przeleciała im z głośnym miauczeniem futrzasta kulka, po czym błyskawicznie zniknęła w jednym z pokoi. Sekundę po niej przeleciał równie futrzasty bolończyk, ale nieco wolniej, więc łatwiej było go zidentyfikować. Później przyszła kolej na jamnika, a na końcu tej parady przedelfował godnym krokiem, nie zaszczycając dwóch kobiet ani jednym spojrzeniem, czarny dachowiec. Długo nie musiały czekać na właścicielki zwierząt.

- Pusiaaa, Puusiaaaa!!!

- Malwinka!

- Kropeczkaaa! Aniu, nie widziałaś, gdzie pobiegły? Nie? Na górę? Dobrze, już idziemy. O, Martynka, dziecko, dlaczego tak się zesześciłaś w dniu ślubu? - pierwsza wybiegła z pokoju ciocia Halina, szczęśliwa posiadaczka dwóch kotów. Tuż za nią dreptała Grażyna, właścicielka bielutkiego, jak świeży śnieg, bolończyka.

- Już, już, skarbenki, już biegniemy, matko jedyna!!! - zawołała, łapiąc się za serce na widok siostrzenicy. - Ślub trzeba odwołać!

- Dlaczego? Powiedzcie dlaczego? - domagała się Janina, najbardziej krągła z ciotek, dlatego też zawsze ostatnia. Na widok Martyny zamokła z niesmakiem. - Wstydziałabyś się, moja droga, w twoim wieku! Mężczyzna, który w ogóle chciał się tobą zainteresować, zasługuje na najlepsze, a ty? Ech... - Po chwili postoją na złapanie oddechu i wyrażeniu swego, jakże cennego, zdania, poturlała się za siostrami.

Przyjaciółki znowu musiały się zająć reanimacją panny młodej, wykonały więc jeden krótki, acz treściwy telefon. Innymi słowy wysłały sygnał S.O.S. w kierunku kosmetyczki. Gdy odsiecz przybyła, zamknęły szczelnie drzwi do pokoju panny młodej i kategorycznie zabroniły ciotkom wstępu. Nie, ciocia nie ma racji, teraz inaczej się czesze włosy, loczki są Martynie potrzebne jak dziura w moście, z całym szacunkiem. Nie, na te przebarwienia na pewno nie pomogą okłady z miodu ani gorącej wody, nie, jednak najlepiej będzie, jeśli ciocie łaskawie zaczekają za drzwiami. Ale to naprawdę lepiej.

- Boże, jak one wrzeszczą!

- Nie musisz szeptać i tak cię nie usłyszą - sapnęła Martyna do Anity.

Ta stała dzielnie przy drzwiach i mocno przytrzymała klamkę, bo ciotki były już parę razy zdecydowane

wkroczyć do akcji ozdabiania panny młodej. Oczywiście jako osoby znające się na rzeczy najlepiej i posiadające w tej materii wybitne doświadczenie. Bo wiadomym było wszem i wobec, że wcale nie trzeba wychodzić za mąż, żeby wyżej wymienioną wiedzę posiadać. Wszystkie trzy do tej pory nie wyszły. Za mąż.

- Nie wiadomo, a gdy już stąd wyjdziemy, to ciebie oszczędzą, ale mnie zjedzą żywcem, na bank. - Anita podsunęła krzesło obrotowe stojące nieopodal i wetknęła jego oparcie pod klamkę.

- Albo rzucą na pożarcie tej sforze, która grasuje po całym domu. - Iwona stanęła przy oknie i przypaliła papierosa. - Beata, poprawisz mi jeszcze paznokcie? Zdażysz?

- Nie zdaży!!! - warknęła panna młoda spod grzywki opadającej na czoło pięknym łukiem.

- Nie gadaj tyle, nie nałożę ci tego równomiernie, jeżeli się będziesz cały czas kręciła, zamknij się, chociaż na parę minut, abym podkład rozprowadziła...

- Za dużo, Beata, zlituj się! Zacznie powtarzać za księdzem i cała twarz znajdzie się na posadzce.

- A może ty się, Martyna, uśmiechnij, jak do składania życzeń, z lekko uchylonymi ustami. Będziesz mówić bez niektórych spółgłosek, tak z brzucha.

- Tak z brzucha to za chwilę ci wywalę albo w brzucha, albo nie wiem w co, ale mogę nie wytrzymać. Zgaś tego papierosa, bo będę cała śmierdzieć, nie, machanie nie pomoże, czuję smród!!!

- Cććśśś, słyszycie, czuje smród - dobiegło je spod drzwi. - Na pewno włosy popaliły.

- ...coś ty, przecież kosmetyczka tylko przyszła... Zresztą czym?

- ...a nie mówiłam? Mówiłam, że trzeba było nas dopuścić, a tak będzie Martynka wyglądała na naszą babcie, hihi, zieloną babcie...

- Hihi...

- Ha ha ha...

- Nie, Iwona, nie gaś, daj mi go! - Martyna nagle zmieniła zdanie.

- Idiotko, przecież ty nie palisz!

- Wiem, że nie palę, urznąć się nie mogę, zapalić mogę. Dawaj, powiedziałam!

- Nie dam... - Opór Iwony jakby zmaleł, tym bardziej, że coś się pojawiło na ustach przyjaciółki, coś jakby piana.

- Daj, bo nie ręczę za siebie!

- Daj, oczywiście, że daj! - Anita przysiadła na toalecie, zmrzyła kocie oczy i założywszy ręce na piersiach, uśmiechnęła się słodko. - Martyna będzie jeszcze bardziej zielona, a przecież o to nam chodzi, nie?

Martyna zawahała się, ale tylko przez sekundę, po czym zrewanżowała się równie słodkim uśmiechem i zdecydowanym ruchem wyciągnęła dłoń w kierunku Iwony.

- To przejdzie, a niewykluczone, że pomoże. Na pewno pomoże.

Nie pomogło jednak. Bo panna młoda zaciągnawszy się solidnie, najpierw zzieleniała, następnie poczerwieniała, w końcu zaś zbladła i przycisnęła sobie dłoń do ust, zrywając się błyskawicznie. Wyrwała krzesło spod klamki, ba, wyrwałyby też pewnie klamkę albo i wyszła razem z drzwiami, aby tylko dobiec na czas do łazienki. Trzy pozostałe kobiety popatrzyły na siebie i, wzruszywszy ramionami, zaczęły zbierać porzucone na podłodze kosmetyki. Korzystając z nieobecności głównej bohaterki dnia, fachową ręką Beaty poprawiły sobie makijaże, maznęły paznokcie, gdy nagle doleciał je wrzask. Wrzask z gatunku mrożących krew w żyłach.

W jednym z pokoi wisiała sobie na żyrandolu biała suknia, czekając na zawartość i dyndając swobodnie w podmuchach ciepłego, lipcowego wiatru. Wiatr wpadał przez uchylone okno, wypadał przez drzwi, spotykał się z innym, po czym wracał w towarzystwie i wprawiał w ruch wszystkie tiulowe warstwy. Kiwały się tak kusząco, że żaden kot by się nie oparł. Dwa też się nie oparły, więc korzystając

skwapliwie z niezrozumiałego zamieszania i całkowitego braku uwagi ze strony swych pań, Pusia i Kropka zaatakowały cudownie rwący się pod pazurami materiał. I na tym właśnie pasjonującym zajęciu zostały przyłapanie przez przyszłą zawartość sukni. Bo ta, zwróciwszy naturze wszystko, co miała do zwrócenia, plus jeszcze kawałek żołądka, którego zwracać wcale nie chciała, ale on wykazywał taką potrzebę niezrozumiałą, skierowała kroki właśnie w kierunku sukni.

Ot tak, żeby przekonać się, czy nie śni, czy to naprawdę jej ślub, czy jakaś może tragicomedia, sen mara, czy inne dziadostwo. W pierwszej chwili, gdy zobaczyła baraszkujące w najlepsze koty, stwierdziła, że to na pewno sen. Ale dla pewności postanowiła się uszczypnąć. Zabolało. Żołądek bez tego kawałka, co się zwrócił, też bolał. A gdyby śniła, to raczej bezboleśnie. Przemyślawszy wszystko drobiazgowo, uznała za stosowne wrzasnąć. Koty czmychnęły w popłochu, a Martyna poczuła się jakby trochę lepiej, więc nabrała powietrza w płuca, mocno zacisnęła dłonie w pięści i wrzasnęła z całej siły, złości i bezsilności, jakie w tej chwili w sobie miała.

Może dlatego, że wszystko, co przewidywalne i nie, już się wydarzyło, może dlatego też, że wszyscy domownicy, prócz fryzjerki i kosmetyczki, mocno zaciskali kciuki i ze zniecierpliwieniem czekali na wybicie stosownej godziny, czas do przybycia narzeczonego upłynął względnie spokojnie. Głównie na obcinaniu poszarpanych warstw sukni, spodnich dzięki Bogu, i pojeniu panny młodej neospasminą. Dość, że wreszcie stanęła na końcu przedpokój owego dywanu lekko zamroczona, obojętna prawie na wszystko.

Z wyjątkiem tego człowieka, który wpatrywał się w nią z delikatnym, ciepłym uśmiechem. Uśmiechem wyrażającym zadowolenie, uznanie i wszystko, co najlepsze. Tę chwilę Martyna wyobrażała sobie setki razy. Marzyła o tym, jak będzie wyglądać, jak się będzie czuć, no i właśnie.

Wyobrażała sobie tego mężczyznę. Co tu dużo mówić, Charakter był na swoim miejscu. O właściwym czasie.

Nic nie mogło tego zakłócić. O zgrozo!

Martyna zatrzymała się w pół kroku i skamieniała na widok czarnego kota defilującego bezczelnie pomiędzy nią a panem młodym. Oszacowała prędkość, z jaką mogłaby ewentualnie pokonać dystans dzielący ją od szczęścia, następnie tempo kocich kroków, a stwierdziwszy, że nie ma najmniejszych szans zdążyć, zanim kot przejdzie im drogę, skamieniała niczym żona Lota.

Gościom weselnym, zwłaszcza tym, którzy znali Martynę i jej zabobonne skłonności, ramiona opadły nisko. Niziutko. Wiadomo było, że dopóki ktoś nie przekroczy niewidzialnej ścieżki wytyczonej przez niewinne zwierzę, panna młoda nie drgnie. Mało tego, na widok ruszającego ku niej Czarka, wyciągnęła rękę i syknęła: „Ssstój!” Wszystko więc posłusznie zastygło i trwałoby tak nie wiadomo ile czasu, gdyby nie Anita.

- Ani się waż - ręka panny młodej złapała ją mocno pod ramię.

- Oszalałaś?! - szepnęła Anita, wskazując zdezorientowanego Czarka. - Patrz, tam stoi twoje szczęście, rusz się, a jeśli nie chcesz, to ja przejdę pierwsza i po wszystkim.

- Ty nie przejdiesz pierwsza.

- A to dlaczego? - Anita wbrew sobie kontynuowała tę absurdalną wymianę zdań zerkając na gości. Zaczynali się już niecierpliwie, niektórzy uśmiechali się kpiąco.

- Bo... bo... Jesteś mi bliska.

- Wiesz, na co mam ochotę?

- Na co?

- Walnąć cię w ten głupi, zawołowany łeb... Wszyscy są ci tu bliscy. Martyna... obudź się, do cholery - syknęła.

- Ciotka...

- Co ciotka?

- Ciotka niech przejdzie, to jej kot. Ciociu! Ciocia będzie uprzejma.



- Ciocia nie będzie uprzejma - Halinka postawiła zdecydowane veto. - Przestańcie robić cyrk.

- Nikt nie robi cyrku. Przejdzie ciocia, czy nie?!  
- w głosie Martynty pojawiła się panika. Nie była w stanie nic na to poradzić. Pewne rzeczy były od niej dużo silniejsze. Dużo wiedziała o przesądach. Im więcej zaś wiedziała, tym bardziej się ich bała. Unikała drabin, kotów, nie nalewała wrzątku do pustego kubka, bo to też ściągało fatum. Trzynastego - jeśli akurat wypadał w piątek - chorowała i nie wychodziła w ogóle z domu. Masa tego była. A ślub? O, ślub Martynta zaplanowała od początku do końca. Tak więc Czarek nie mógł jej zobaczyć w sukni ślubnej, nie założyła jej ani razu od przymiarki, poleciła, żeby on kupił jej buty, bo to podobno przynosi szczęście, ona wybrała mu z kolei koszulę. Pamiętała też, żeby tuż przed wyjściem nie przeglądać się w kompletnym stroju, więc zdjęła buty. Na wszelki wypadek oba. Zrobiła jednym słowem wszystko, co nakazywały i czego zakazywały wszelkie znane i mniej znane zabobony. A teraz co? Teraz gotowa była przeturlać ciotkę przez tę niewidzialną granicę. Ta jednak stała, założywszy ręce na pulchne boki, i patrzyła szyderczo na siostrzenicę. Martynta zmieniała taktykę - Ciociu, proszę!

- Ciociu, prosimy! - dołączyła do niej Anita.

- Twoją ciocią nie jestem. Dajcie już spokój, a ty chodź, bo spóźnimy się do kościoła - ciotka nie chciała dać za wygraną.

- Halinko - zaczęła ostrożnie, ale zdecydowanie Anna - jeżeli nie przejdiesz, to do żadnego kościoła w ogóle nie pójdziemy, żadnego ślubu ani wesela nie będzie.

- A już tam...

- I co z tego, że kupiłaś sobie ten piękny kapelusz, nikt go nie będzie podziwiał... A w sukience... - kusiła dalej siostra. - Sama się zastanawiałaś, jak to będzie w niej tańczyć, bo tak dawno nie tańczyłaś.

- Oj, już nie pleć - sapnęła przekonana najwyraźniej bliźniaczka, bo ruszyła w kierunku Martynty, machając

ręką. Idiotyzmy, ale niech im tam będzie. Faktycznie, tyle pracy, tyle zachodu o to, żeby wyglądać tak pięknie, miało być zaprzepaszczone? Co to, to nie. Poza tym, na tym, pożał się Boże, weselu, będzie się działo dużo ciekawych rzeczy. No, przynajmniej już sam początek imprezy zapowiadał się interesująco, więc będzie co oglądać, a potem wspominać. - Ale powiem wam tylko jedno, wierzyć w przesady i zabobony, to grzech. Co się ma niby stać? Przez niewinnego kotka? Wstyd. A ty, Martynko - ciotka dźgnęła siostrzenicę wskazującym palcem w mostek - powinnaś lecieć do niego i nie patrzeć na nic, bo jeszcze się weźmie i rozmyśli, a w twoim wieku...

- Ciociuuu... - zabrzmiało z wielu stron jednocześnie.

\* \* \*

Ciotka nie miała racji. O ile spodziewała się, nie tylko ona zresztą, kolejnych ciekawych wydarzeń, to musiała się niestety głęboko rozczarować. Albowiem ceremonia przebiegła bezboleśnie. Może dzięki zaciskanym mocno kciukom większości obecnych w kościele, a może zwykłym zrządem losu. W każdym razie, gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki *Ave Maria*, a państwo młodzi zaczęli stąpać główną nawą pomiędzy szeregiem przystrojonych na biało ławek, wówczas przestało się liczyć wszystko.

Martyna widziała tylko dywan pod stopami i czuła ciepło bijące od narzeczonego. Zapomniała o całym świecie, nie dostrzegała otaczających ją i uśmiechających się promiennie twarzy. Powiodła niewidzącym wzrokiem po wzniesionych w górę kciukach przyjaciółek i jak otumaniona - nie wiedzieć czym bardziej, neospasminą czy szczęściem - stanęła przed księdzem.

## 2

Iwona półprzytomna padła na łóżko. Ojoj, trzeba było wziąć buty na zmianę. Obolałe stopy domagały się względów o wiele bardziej niż głowa, w której zagnieździły się dwa helikoptery niemogące dojść ze sobą do ładu. Jeżeli jednemu zachciało się lecieć w dół, drugi szybował do góry, jeden w prawo, drugi w lewo. Iwona podniosła się z poduszki i podparła jedną dłońią o nocną szafkę. O! Ta też jakby lekko kołuje.

Za dużo, moja pani. Zdecydowanie za dużo. Zbyt kolorowo i za bardzo pomieszane. Jutro kac gigant murowany. Westchnęła ciężko, samoloty w głowie musiały się zderzyć, bo przy skroniach zaczęło lekko ćmić. Wołała na razie nie myśleć, co będzie rano. Chrapanie z drugiej strony łóżka przybrało na sile, więc Iwona podniosła się i chwiejnym krokiem ruszyła pod prysznic. Taaak, prysznic był zdecydowanie lepszym pomysłem niż wanna. W wannie mogła zasnąć i utopić się, a w brodziku możliwości zaśnięcia raczej nie było. Woda, co prawda, minimalnie pomogła na stopy, za to zmyła z Iwony senność. Zamknęła więc drzwi do jaskini ryczącego lwa i ruszyła do kuchni na poszukiwanie kacowych antidotów.

Biedna Martyna. Najpierw przeszła piekło z przygotowaniami, a później w złudzie szczęścia stanęła obok Cezarego i zdawała się patrzeć w przyszłość w różowych okularach. Bo, że to tylko złuda, tego Iwona była więcej niż pewna. Wyszła na balkon i rozejrzała się po okolicznych

blokach. Śpią wszyscy. No prawie... Czy ona osiem lat temu też miała złudzenia? Czy faktycznie czuła się szczęśliwa? Nie mogła sobie przypomnieć. Rozszerzyła palce i przyjrzała się wytartej już obrączce. Chyba szczęśliwa... Daniel gotowy był nosić ją wtedy na rękach. Owszem zdarzały się przykre chwile, ale potrafił je zatuszować, a ją umiał rozbroidzić i udobruchać. Zależało mu na tym. Iwona była na pierwszym miejscu, najważniejsza, jedyna, ukochana.

Tak, była wtedy szczęśliwa. Wydmuchnęła dym kącikiem ust i podciągnęła kolana pod brodę, na co zdecydowanie zaprotestowały stopy. Kiedy zaczęło się psuć...? Niejednokrotnie zadawała sobie to pytanie. Nagle przestało być jak dawniej.

Na świecie pojawiła się Ola. Malutka osóbką, w której oboje zakochali się bez pamięci. Iwona pamiętała dokładnie, że dziewczyny z pracy zazdrościły jej męża. A co, ona nie wie? Przecież wszyscy, dosłownie wszyscy faceci uciekają z porodówki jak oparzeni, nie chcą na to patrzeć, tłumaczą się wrażliwością na cierpienie swoich połowic, brakiem czasu, wytrzymałości. Tłumaczą się, jak chcą. A później, na drugi dzień, pojawiają się przy szpitalnym łóżku, zionąc nieprzetrawionym alkoholem i uśmiechając się nieporadnie na widok własnego dziecka i umęczonej żony. Na ciche wyrzuty wzruszają ramionami i przytaczają stare polskie przysłowie „Dziecko nieopite - dziecko chorowite”, powołują się na tradycję, pępkowe i w ogóle. Od kiedy to oni tacy tradycyjni? Ale cóż pozostało kobietom? Ucieszyć się, że w ogóle przyszedł, że dał radę i że tego pępkowego nie odbębniał ze wszystkimi znajomymi przez tydzień, a tylko przez jeden wieczór. Więc niech się Iwona cieszy, takiego faceta to ze świecą trzeba szukać.

Posłusznie się cieszyła, bo Daniel nie tylko asystował jej przy porodzie, ale jeszcze uwiecznił najpiękniejsze momenty, dbając o to, żeby jego ukochana wyglądała w miarę po ludzku. Znaczący: fotografował ją mniej więcej od pasa

w górę. Z malutką, bez malutkiej, ze swoją twarzą, bez niej. Pod koniec tej sesji Iwonę mocno bolały szczęki od zaciskania, więc z ulgą przyjęła wieść, że on leci, ale niedługo, ani się obejrzą, wróci. I faktycznie, nie było go zaledwie parę godzin. Pozałatwiał wszystko, co miał do pozałatwiania i wrócił czym prędzej, by tym razem filmować kobiety swego życia. Uprosił nawet pielęgniarki o krótki instruktaż, jak kąpać maleństwo, na co zwracać uwagę, żeby nie uszkodzić tego malutkiego, wrażliwego ciała. Pielęgniarki co prawda zgodnie zdębiały, bo z noworodkami nikt się specjalnie nie ceregielił, delikatnie owszem, ale najważniejsze, żeby szybko. Ale tutaj, na widok tego postawnego mężczyzny, który najwyraźniej oszalał na punkcie córeczki, zmiękły im serca. Bo widok to był, trzeba sobie powiedzieć szczerze, rzadki i niebywale cenny. Rhett Butler alias Daniel Załęcki. Zwariował doszczętnie. Zupełnie jak niegdyś amant amerykańskiego kina.

Iwona zgasła niedopałek, a wyciągnąwszy z lodówki mleko, zabrała kubek, paczkę papierosów i wróciła na balkon. Ostatnie światło w bloku naprzeciwko zgasło, na ścianie przestała się odbijać niebieska poświata od telewizora. Poszli spać... A mnie się odechciało, pstryknęła zapalniczką raz, później drugi. Zapatrzyła się w płomień.

Później się wszystko zmieniło. Nagle okazało się, że jej instynkt macierzyński ma się nijak do jego. Ojcowskiego. Źle przewijała małą, to trzeba robić tak, odsuwał Iwonę od przewijaka i pokazywał. O tak trzeba. Za rzadko kładła córkę na brzuszku, dzieci trzeba od małego ćwiczyć, będą miały zdrowy kręgosłup, powinna to wiedzieć, przecież czytali razem. Patrzył na nią z wyrzutem, po czym przewracał Olę na brzuch, przyglądał się, jak dźwiga głowę.

Któregoś razu wpadł do domu i zastał je śpiące. Jakoś tak po południu. Iwona przypomniała sobie, że to było po jednej z nocy, kiedy Olę męczyła kolka albo coś innego. W każdym razie całą noc spędziła albo na noszeniu małej, albo na pojeniu jej specjalną herbatką. I zasnąć mogła

dopiero, gdy niesforny brzuszek ułożył sobie wszystko tak, jak trzeba i przestał boleć. Padła więc nieprzytomna obok córki, aż obudziło ją niezbyt delikatne tarמושenie za ramię. Dlaczego śpi? Czego na Boga się wczoraj najadła, że dziecko tak cierpiało? Może do lekarza trzeba? Nie trzeba? Tak uważa? No dobra, to on w takim razie już poleci, tylko na litość niech dzisiaj uważa, co je. Najlepiej chleb, ten niezbyt świeży, i herbata, czarna, ale słaba, bez cukru. Wydawszy dyspozycje i doprowadziwszy Iwonę do stanu wrzenia, wyleciał z powrotem do pracy.

Początkowo przyznawała mu rację. Możliwe, że wiedział lepiej, patrzył na wszystko bardziej racjonalnie, naczytał się, co tylko możliwe o ciąży i małych dzieciach, więc faktycznie, może wie. Później zaczęła się buntować i stawiać na swoim. W przypadku kataru i przemoczonej pieluszki. Zaczęli przypominać dwa obozy walczące o swoje racje. Gdy, nie patrząc na katar, wyprowadziła Olę na spacer i mała zachorowała, Daniel z uśmiechem satysfakcji trzymał w przychodni córkę na rękach i obwinał o zapalenie oskrzeli nikogo innego, tylko Iwonę. Wtedy skapitulowała. Wykonywała dokładne instrukcje męża, wprowadzała pod jego dyktando nowe posiłki, szczepiła na to, co chciał.

Iwona zakręciła niedopitym mlekiem w kubku i stwierdziła, że na niebie zaczyna się pojawiać jasnorożowa poświata.

Zabrakło mu miejsca w sercu. Zabrakło dla niej. Michał się tam wepchnął jako syn, duma ojca, bo podobny do niego... A dla niej już miejsca nie starczyło...

Przeciągnęła się i, machnąwszy ręką na przykre wspomnienia, poszła po swoją poduszkę. Daniel chrapnął z pretensją, jak zwykle zajmował całe łóżko i pościel, ale nie zwracając uwagi na jego protesty, zabrała poduszkę i swoją kołdrę, po czym padła na kanapie.

Po ułamku sekundy dobiegło ją głośne i radosne nawoływanie męża.

- Wstawaj, śpiochu, wstawaj!!! - Szarpnął ją za ramię.  
- Po dzieci trzebajechać. Kawę ci zrobić?

- Mam we krwi piętnaście promili alkoholu - sapnęła w poduszkę. - Nie.

- A kiedy nie będziesz ich miała?

- Za jakieś dziesięć godzin. Daj pospać.

- Daj pospać. Trzeba się było od razu kłaść do łóżka, ale ty nie, oczywiście! Musiałaś wypalić paczkę papierosów i wypić cały karton mleka? Jak w ogóle można pić mleko po alkoholu?

- Normalnie. Wypłukałam wapń, to trzeba go było uzupełnić. Odejdź.

Daniel jednak ani myślał odejść, odsunął wystającą pupę żony i rozsiadł się z kawą na kanapie.

- Śmieszna ta Martyna, wiesz?

- Że co?

- No śmieszna mówię. Dlaczego ona była zielona na twarzy?

- Daaaniel...

- No co? - Siorbnął solidnie z kubka. - Pytam tylko.

- Wydawało ci się.

- A gdzie tam wydawało. Widziałem przecież, a ta druha na to jej siostra, nie? Rodzona?

O ile w Iwonie kołatały jeszcze przed chwilą jakieś resztki snu, to teraz uleciały bezpowrotnie. Przypomniała sobie, jak jej kochany, umiłowany mąż połykał wzrokiem czerwono odzianą postać Martynowej siostry. Ciotecznej wprawdzie, ale nie zmieniało to faktu, że pięknej, szczupłej, długowłosej. Z każdą godziną robił to coraz bardziej otwarcie. Trzymając w ramionach małżonkę, zerkał ponad jej ramieniem w kierunku roztańczonej małolaty.

Pewnie, że małolaty. Gówniary jednej. Jakiś czas temu skończyła studia, choć jeszcze tak niedawno działała im trzem na nerwy, stercząc z uchem przy drzwiach

i wyśmiewając się z miłosnych rozterek przyjaciółek. Ha, na nerwy działała do dziś, jak się okazuje.

Iwona zdecydowanym ruchem zrzuciła mężowską rękę, sunącą powoli wzdłuż jej uda.

- Ciotecznej - burknęła.

- No co? - Niezrażony wznowił wędrówkę dłoni.

- No nic. Puść mnie.

- A to dlaczego? Trzeba wykorzystać sytuację - przysunął się do jej ucha - że nie ma dzieci.

- No właśnie! - Wywinęła mu się i ruszyła do łazienki.

- Trzeba po nie jechać, prawda? Sam mówiłeś. A tu już... Ooo, prawie dwunasta. Lecę pod prysznic.

- A może polecę z tobą. Umyję plecy, no chodź - kusił.

- No właśnie idę. Ty zostajesz, bo późno.

- Kochanie...

Kochanie zdążyło już zniknąć za zdecydowanie i od-mownie trzaskającymi drzwiami łazienki. A tam tradycyjnie spojrzało zbyt krytycznym wzrokiem na swoje odbicie, nie widząc prawdziwej siebie, ale siebie po urodzeniu dwojga dzieci, siebie oczami męża. Jak to się dzieje, że z upływem czasu traci się, niegdyś niezachwiana, pewność siebie?

Dmuchnęła w blond grzywkę, jednocześnie rozciągając palcami skórę wokół oczu tak mocno, że poleciały łzy. Starła je szybko wierzchem dłoni i zawzięcie mrugając, doszukiwała się mankamentów urody. Gdzie się podziały czasy, kiedy udawało jej się patrzeć w lustro z zadowoleniem, z lekkim uniesieniem głowy, uśmiechem? A wczoraj? Wczoraj zrobiła wszystko, żeby wyglądać jak najlepiej, żeby zwrócić na siebie uwagę Daniela, żeby chociaż wydał z siebie jeden aprobujący pomruk i chwilę dłużej zatrzymał wzrok na jej twarzy.

A tu dupa.

Iwona z pasją chlusnęła żelem na gąbkę. Dupa! Wystarczyło, żeby pojawiła się kuzynka Martyny, w obcisłej, czerwonej kiece i żona przestała istnieć... A może



przestała istnieć już dużo wcześniej? Na przykład wtedy, gdy zobaczył ją na porodówce? Spoconą, opuchniętą, z każdej możliwej strony wyglądającą jak siedem nieszczęść. Obiektywnie rzecz biorąc. Tyle, że wtedy Iwona miała swój wygląd głęboko w poważaniu. Wtedy skupiała się tylko i wyłącznie na małej dziewczynce, która próbowała przyjść na świat. Mimo bólu, mimo zmęczenia czuła euforię i nie wiedzieć czemu, wydawało jej się, że Daniel podziela jej uczucia z równą intensywnością.

Zapomniała, że Daniel jest mężczyzną.

Może właśnie wtedy przeskoczyła mu w głowie jakaś dźwignia, bo przecież jakieś mechanizmy ich mózgami sterują. Jeśli w ogóle mają mózgi, sarknęła do szorowanej pięty. Zakładając jednak, że mają... Tak, trzeba wyjść z takiego założenia, bo przecież paru wybitnych mężczyzn też się znajdzie... To w tym właśnie mózgu coś mu przeskoczyło, zakodował się obraz jej samej jako kobiety w odwiecznym połogu, więc może później nie widział jej już ubranej odświętnie, umalowanej, tylko właśnie taką zupoconą, wymęczoną i jęczącą. Ech, mogła sobie snuć spekulacje, jakie tylko chciała, i tak nie znajdowały potwierdzenia, bo Daniel zapierał się rękami i nogami. Twierdził, że była to najpiękniejsza chwila jego życia, koniec, kropka.

\* \* \*

- Dzieci - ręce mamy rozwarły się szeroko na ich widok - a co tak wcześniej?

Zawsze tak mówiła. A gdy nie przyjeżdżali wczesnym popołudniem, mniej więcej w okolicach godziny czternastej, rozlegał się uparty dzwonek telefonu, po czym słuchawka zaczynała dociekać, co zrobić dzieciom na obiad i czy nie wyspali się jeszcze i wreszcie, sakramentalne, o której przyjedziecie?

- Iwona nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy dzieci. - Daniel wszedł do mieszkania i cmoknąwszy teściową w policzek, rozejrzał się za Olą i Michałem. - Gdzie są?

- Aaa, musicie ich znaleźć, tak się ukryli, że nie możemy się z tatą dowołać. Jak było, córeczko?

- Fajno.

- Nie lubię, gdy tak mówisz. Co to w ogóle znaczy fajno? - mama obruszyła się z lekka.

- Oj, mamó, fajno to fajno, znaczy miło było, pięknie i tak jak powinno.

- A Martyna?

- Co Martyna? - Iwona, klapnąwszy na kuchenny taboret, poczuła, że zgubne skutki picia alkoholu znowu ją dopadły.

- Nie siadaj, tylko mi pomóż, talerze zanieś do pokoju. Jak to co Martyna? Jak wyglądała?

- Ładnie. Pięknie. Jak nigdy.

- Strasznie mało rozmowna jesteś, wiesz?

Mama stanęła przed nią ze stosem talerzy w dłoniach i cmoknąwszy z dezaprobatą, poleciała sama rozstawić to, czego gnuśna córka rozstawić nie chciała. Iwona powlokła się za nią, ale w drzwiach z impetem przykleiły się do niej dwie figurki, nie pozwalając zrobić ani kroku do przodu.

- Mamaaaa!!! Dlaczego nie szukałaś? Tata nas od razu znalazł, wiesz? Dlaczego ty nie szukałaś. Ty zawsze nas znajdziesz dopiero, jak się śmiejemy, ty umiesz szukać, czemu nie szukałaś?

- Tatuś też musi się nauczyć bawić w chowanego. Jak było? - przycisnęła mocno do siebie dwa małe ciała i wdychając ich zapach czuła, że powoli wraca do niej życie. Nie powinna zostawać sam na sam z mężem. Nie powinna, bo wtedy zaczyna zbyt dużo myśleć, zbyt mocno analizować codzienność, a to niekoniecznie dobrze komukolwiek służy.

- Fajno było - ryknęły dzieci chórem, nie zwracając uwagi na gromiące spojrzenie babci.

- To znaczy?

- To znaczy, że siedzieliśmy dłuuuugo! - Oła, rozstawiwszy palce małej dłoni, zaczęła wyliczać. - Babcia nam przyniosła do łóżek kolację...

- I śniadanie, śniadanie też nam przyniosła - wtrącił Michaś.

- Czekaj, zanim śniadanie, to jeszcze oglądaliśmy film, potem bawiliśmy się klockami, a później jeszcze babcia przyniosła kakao...

- A rano bajkę dłuuuuga, z reklamami - sumiennie uzupełnił brat.

- Mamo, jaki film? - zainteresowała się Iwona.

- Jaki, jaki... - przez chwilę mama dumiała nastroszona, aż wydumawszy, uśmiechnęła się i wypaliła triumfalnie: przyrodniczy!

- Co to znaczy, babciu, przyrodniczy?

- Weźcie te widelce, noże sama zaniosę, już, już, prędziutko, bo tu karkówka się zaraz spali. - Wygoniła dzieci z kuchni, unikając kłopotliwych pytań.

- A ten film przyrodniczy, mammo, to po bajce, czy przed? I na którym programie?

- Nie, jednak ty weź noże, bo zaraz się spali, no, szybciej. Danielku, pomóż mi proszę, bo to naczynie takie strasznie ciężkie, a mnie ręka dzisiaj wyjątkowo doskwiera - zawołała swego ulubionego zięcia.

- Idę, mammo. Ziemniaki też już odlać? - ulubiony zięć doskonale wiedział, jak się w tę rolę wcielić.

- Oj, jesteś ty pociechą dla mojej córki, jesteś, cieszę się. - Pogłaskała go tkliwie po policzku.

- Staram się, mammo.

- Wiesz, jaką jesteś szczęściarą? - Mama spojrzała w kierunku Iwony. - Tata mi nigdy w kuchni nie pomagał.

I dobrze, przynajmniej miałaś zawsze dużo mniej sprzą-tania, pomyślała Iwona.

- Jestem szczęściarą, mammo, jestem. Surówkę też już wezmę, dobrze?

Ucapiwszy miskę pełną sałaty ze szczypiorem, Iwona czym prędzej się ulotniła. Jeszcze chwila, a mama kazałaby jej padać do mężowskich stóp i obcałowywać je z każdej strony w ukłonach pełnych dziękczynienia za jego niewyobrażalne dobro i mądrość. Co to, to nie. Zanosił się kolejny obiad, podczas którego rodzice będą wznosić pod niebiosa zasługi Daniela i dziękować Bogu, że taki właśnie mężczyzna trafił się ich córce. Ha, sam się wziął i trafił.

- Danielku, jeszcze sosu ci dołożę, chcesz? Ty lubisz moje sosy. - Mama niepomna bólu ręki, sprawnie chwyciła naczynie żaroodporne i oblała solidnie porcję ziemniaków.

- Tak, mamó, uwielbia.

Nie dalej jak parę dni wcześniej skarżył się Iwonie, że jeszcze jeden obiad u teściowej, a cholesterol zaleje mu żyły doszczętnie. Ale tutaj nie pisnął nawet słowa, Iwona przyglądała się z niemałą satysfakcją, jak kolejne porcje tłuszczu znikają w mężowskich ustach. Dobrze wiedziała, że wolał ziemniaki suchutkie, mięso gotowane albo duszone, ale na pewno nie z taką ilością oleju, żeby żółte oczy wyglądały z każdego kąta talerza.

- Tak, on uwielbia, a ty? Mogłabyś jeść trochę więcej.

- Jem, mamó.

- Widzę, że jesz, ale mało. Chyba, że wczoraj za bardzo świętowałyście z Anitą. Hm? Powiedz, Daniel, bo ona nie chce mi nic mówić.

- Nie, nie za bardzo - lojalnie burknął Daniel, próbując uporać się z kroplą sosu wędrującą po zaroście. Po chwili zastanowienia dodał: - Ale za bardzo namieszała.

- O widzisz, wiedziałam. - Mama klasnęła w dłonie. - To ty opowiadaj.

- Ale o czym tu mówić, mamó, ot, wesele jak wesele, panna młoda z zieloną twarzą.

- Daniel... - syknęła ostrzegawczo Iwona.

- Zielona była i koniec.

- Matko kochana, a dlaczego? - mama zwietrzyła sensację.

- Umazały ją czymś dzień wcześniej i wyglądała jak jaszczurka...

- Ha ha!

- He he he...

Iwona z furkotem odstawiła krzesło. Nie cierpiała tego. Za każdym razem udało mu się znaleźć w obu przyjaciółkach coś do skrytykowania. Anita była beznadziejną przedszkolanką i nie potrafiła dać sobie rady z dziećmi. A w domu? Och, co tam się u nich w domu działo! Żeby dorastająca córka wchodziła matce z buciorami na głowę? A Martyna? Starzejąca się panna, z ambicjami na singla...

Ile razy Iwona sobie pluła w brodę i nie mogła darować własnego długiego jęzora? No ile? Cholernie wiele razy. Zawsze jednak udawało mu się ją zagadać, jakoś otumanić, czymś zainteresować, aż wreszcie zaczynała snuć zwierzenia o problemach przyjaciółek. Nie wszystkich, naturalnie. Pewne rzeczy zawsze zostawały między nimi.

Tylko między nimi trzema i nikt nie miał do nich dostępu.

Ale to, o czym mu powiedziała w chwili wyjątkowego otępienia, było szykanowane później na forum publicznym. Daniel się tym chlubił. Tym, że potrafi kogoś oczernić, zdradzić słabości, bo uwielbiał te słabości wyśmiewać, podawać jako zabawny przykład czyjejś nieporadności. Wszakże w przeciwieństwie do niego większość ludzi była paskudnie nieporadna. I siłą rzeczy zasługiwała na potępienie i publiczną zniewagę. Włącznie z własną, najwłaśniejszą żoną.

- Iwooonkaaa?

- Tak, mamó?

- Herbaty zrób.

- Dobrze. Wszystkim?

- Tak. I przynieś ciasto. Stoi...

- Na lodówce, widzę mamó, już niosę.

Podczas picia herbaty i zgodnego pochłaniania kolejnych porcji „Marcinka”, którego tym razem mama Iwony ściągnęła z cukierni, darując sobie prawie dwudniowe przygotowania, rodzice wypytywali o pracę Daniela, równie zgodnie się nim zachwycając. W sumie mieli powody, bo mąż Iwony zaczynał swoją karierę zawodową od roznoszenia ulotek, jeszcze za czasów studenckich, i sprzedawania polis ubezpieczeniowych. Już po ślubie zatrudnił się jako przedstawiciel handlowy, a w chwili obecnej, tuż za horyzontem, tym raczej bliższym niż dalszym, majaczyła umowa awansująca go na dyrektora regionalnego. Potrafił wmówić wszystko i wszystkim, gładko, pięknie i bardzo przekonująco. Po rozmowie z nim, człowiek zachodził w głowę, jak do licha obywatel się do tej pory bez tego czy tamtego. Dlaczego wcześniej nie przyszła mu do głowy genialna myśl, że tak łatwo można sobie uprzyjemnić życie.

Dajmy na to, zakupem pieprzu ziołowego pewnej firmy.

Całą drogę awansu Daniel zawdzięczał sam sobie. Predyspozycjom, mrówczej pracy, pewności siebie, no i szczęściu.

- Jedzcie, jedzcie, korzystajcie - babcia roztapiała się czule nad dziećmi.

- Z czego, mamó? - zainteresowała się Iwona, odsuwając zdecydowanym ruchem talerz z ciastem. Pachniało niepokojąco, a w połączeniu z pieczarkami mogło stanowić nie lada wyzwanie dla nadwyrężonego żołądka.

- Jak to z czego? Z jedzenia.

- A ty myślisz, że ja ich nie karmię?

- A już tam, karmisz - matka machnęła ręką. - Wiadomo, jak ty ich karmisz, raz do jednego baru, raz do drugiego. A co w takich barach? No?

- Nie, mamó. Iwona ostatnio zaczęła gotować - Daniel pokusił się o lojalność, ciamkając niemiłosiernie, wyskrobywał resztki ciasta z talerzyka.

- Nie żartuj? A co ona zaczęła gotować?

- Ona tu jest - zaznaczyła Iwona, rzucając mężowi błady, acz pełen wdzięczności uśmiech.

- A nie wiem. Nie jadłem, hi hi, ale wyglądało normalnie.

Uśmiech Iwony zbladł jeszcze bardziej.

Powinna się już do tego przyzwyczać.

Wybitny kulinarny antytalent od zawsze był tematem żartów i przycinków całej rodziny. Nie da się ukryć, słusznie i niebezpodstawnie. Zazwyczaj rodzina zaczynała wspomnianie od placuszków, za które mała, wtedy zaledwie pięcioletnia, Iwonka wzięła się u babci. Do ich zrobienia wykorzystwała nic innego jak popiół z babcinego pieca, wymieszany z wodą. W różnych proporcjach, w zależności od zapotrzebowania. Jedne placki spływały szarymi smugami po kafelkach kuchennego pieca, inne, armią różnorodnych kulek, zastygły na kuchennej płycie. Porozkładane w niewielkich, zaledwie paromilimetrycznych odstępach, zajęły większość małej kuchni. Babcia biła się w piersi, że wyszła dosłownie na parę minut, a po powrocie stanęła w drzwiach i złapała się za serce. Bo jakiś mały czort, w pierwszej chwili zacna kobieta przeżegnała się nawet w pośpiechu, wypędzłował jej mieszkanie piekielną sadzą. Po dłuższej chwili dopiero rozpoznała w małym czorcie swoją kochaną wnusię i doszła do wniosku, że jakieś moce nieczyste musiały ją jednak opętać.

Z upływem lat skracał się czas, na jaki babcia zostawiła wnuczkę, a rosła ilość popiołowych placków. Jak to w tego typu opowieściach bywa. Jedno się jednak nie zmieniło, a wręcz ugruntowało. Zwłaszcza w mamie Iwony. Mianowicie głębokie postanowienie, że dziecka na razie nie wolno dopuszczać do kuchni. Bo napaskudzi.

„Na razie” przeszło nie wiadomo kiedy w „na zawsze”. I kiedy młoda mężatka chcąc ugotować ryż z warzywami, przypaliła woreczek, a warzywom nadała wygląd paskudnej brei, okazało się, że w kwestii kulinarnej przedstawia

sobą niewiele. Jeśli nie nic. Parę razy próbowała się jeszcze zmagać z różnymi przepisami, najłatwiejszymi, ale z każdej potyczki wychodziła sromotnie pokonana. Nijak nie mogła pojąć, dlaczego coś, co powinna jako kobieta mieć we krwi, a mianowicie szeroko pojęte gotowanie, nie zapiślało się w jej genach.

A to, o czym wspominał Daniel, było niczym innym jak ostatnim szalonym, a może trafionym (kto zgadnie?) pomysłem Anity. Na jednej z babskich narad doszły do wniosku, że Daniel nie będzie szanował Iwony, a wszem i wobec było wiadomo, że tak właśnie jest, jeżeli brakuje jej elementarnego wyposażenia. Iwona jęczała, broniła się rękami i nogami, ale obie przyjaciółki pozostały nieugięte. Ma ratować swoją godność i udowodnić temu karierowiczowi i męskiemu szowiniście, że jest stuprocentową kobietą. Bo przecież, do licha, ugotować obiad to nie taka straszna filozofia, tak czy nie?

\* \* \*

- Co mam kupić? - Iwona jedną ręką przytrzymywała słuchawkę przy uchu, drugą sięgała po notes.

- Indyka.

- Całego?

- A już tam całego, stado całe najlepiej kup. Filet z indyka.

- Nie śmiej się ze mnie, skąd niby mam wiedzieć, w jakiej formie występuje w sklepie indyk?

- Nieżywej - Anita pokusiła się o dowcip.

- Jakoś mało śmieszne. Mów, bo za chwilę ręka mi zdrętwieje.

- Filet. Napisałaś?

- Tak. Co jeszcze?

- Kaszę jęczmienną masz?

- Nie wiem. Pewnie nie.

- To dopisuj.



- A ile tej kaszy?
- Pudełko, a w pudełku będą woreczki, zazwyczaj są cztery, powinno wystarczyć.
- Cztery... - skrzętnie notowała Iwona.
- Nie cztery. Jedno.
- Przecież mówiłaś, że cztery.
- Matko kochana, w środku, w tym jednym są cztery.
- Aha. Odespałaś już wesele?
- Odespałam. I wesele, i poprawiny. Martyna żałowała, że was nie ma.
- Musiałam jechać po dzieci. Rozbestwiły się u babci jak nieboskie stworzenia. Cokolwiek to znaczy. Poza tym mama wyjeżdża już dzisiaj, więc wiesz.
- Więc wiem, pisz dalej. Papryka, czerwona najlepiej.
- Surowa?
- Tak. Pieprz ziołowy kupowałaś do kotletów, masz jeszcze?
- Chyba mam.
- Ma być na pewno. Sól, kukurydza, przyprawa do drobiu.
- Mam do kurczaka, może być?
- Może. Iwa?
- No?
- A ty na pewno chcesz robić ten gulasz? Może znowu schabowe albo z kurczaka? Wprawisz się, będzie łatwiej.
- Nie. Ma być pięknie, wspaniale, pysznie i w ogóle.
- Czy ty się czasami nie przeceniasz?
- Nie, chwilami odnoszę wrażenie, że się nie doceniam, ale... ha, dam radę indykowi.
- Jakby coś, dzwoń. OK?
- Jasne, aha, Anita? Czy ty też masz coś takiego?
- Jakiego?
- No, czy po alkoholu zaczynasz rozdzielać włos na czworo, zastanawiać się, analizować niepotrzebnie, no wiesz, chodzi mi o ciebie i Tymka? Tak jakbym widziała wyraźniej różne rzeczy, taka jasność umysłu na kacu. Masz coś takiego?

- Miałam. Ale teraz mniej piję i nie dopuszczam do takiego kaca.

- Ha, bo uwierzę.

Dzieci, jak zwykle w obliczu wyjścia gdziekolwiek podczas emisji najciekawszego programu, a na wybranych stacjach najciekawszy program był ich zdaniem przez cały dzień, zdecydowały się na protest. Ola usiadła na baczność parę centymetrów przed telewizorem, ostentacyjnie założyła ręce i uniosła podbródek, co miało pewnie oznaczać: weźmiesz mnie na spacer, ale siłą. A Michał najzwyczajniej w świecie wyparował.

I w wielkim błędzie byłby ten, kto by sądził, że niespełna sześćdziesięciometrowe mieszkanie nie może stanowić dla czterolatka dobrej kryjówki. W jak największym błędzie. Mały, kraglutki brzdąc miał nad matką zdecydowaną przewagę. Raz, że cechował się pomysłowością, na jakiej jej nigdy nie zbywało, pewnie po tatusiu. Dwa, że zważywszy na gabaryty, mógł się schować dosłownie wszędzie.

- Michał!! - zawołała, zaglądając najpierw za zasłony w dużym pokoju, a przy okazji zerkając za fotel.

- Michałkuuu!!!

- Szukaj mnie, mamusiu, hi hi - dobiegł stłumiony głosik gdzieś od strony dziecięcego pokoju.

- Nie ma czasu, chodź kochanie, musimy iść do sklepu.

- Szukaj mnie.

- Michał, wychodź, szybciotko.

- Nie wyjdzie, za dobrze się schował, może trzeba mu pomóc wyleźć. - Ola opuściła nieco brodę. - Ja zostaję.

- Gdzie zostajesz?

- Nie idę z wami do sklepu, zostaję i będę grzecznie oglądała bajkę - oznajmiła światu, po czym zademonstrowała matce swój wzniesiony majestatycznie profil i z powrotem przepadła bez reszty w przygodach niecnego Karolka.

Niewykluczone, że od niego czerpała pomysły na różne mniej lub bardziej ciekawe zachowania. Ale... niech zostaje, Iwona machnęła ręką. Później pójdzie na plac zabaw, może znajdą się jakieś przedszkolne znajomki. Odpędziła od siebie poczucie niesmaku i poniesionej porażki, bo gdzieś tam, głęboko kolebała się w niej myśl, że powinna kategorycznie zabrać dziecku pilota, odsunąć od telewizora i nakazać ekspresowe wyjście z domu. Tyle, że pociągnęłyby to za sobą nieciekawe reperkusje, na które nie miała najmniejszej ochoty, o braku siły nie wspominając. Młoda zaczęłaby się bzdyczyć, obrażać, niewykluczone, że płakać, a w sklepie pokazałaby wzorcowy wachlarz zachowań. Wzorcowy do wyplenia przez osławioną nianię.

O nie, dzisiaj nie. Podskoczyła na dźwięk telefonu. Daniel.

- Co tam?
- Gdzie jesteś?
- W domu jeszcze.
- To nie wychodź na długo. Około pierwszej ma przyjechać Jacek, przywieźć faktury. Bądź w domu - zadysponował krótko i treściwie mąż. - Aha, a teraz skocz do bankomatu, zapomniałem zostawić pieniądze, a przecież czekamy na paczkę.

- Jaka paczkę? - Iwona trzymając słuchawkę przy uchu, zbierała z podłogi zabawki i rozglądała się w poszukiwaniu syna.

- Jak to jaką? Obudź się kochanie, pewnie niedawno wstałaś, co?

- Dawno wstałam. Co to ma do rzeczy, jaka paczka, ile pieniędzy?

- Relingi do kuchni plus pojemniki na przyprawę, зда się coś około trzech stów. Chyba że masz.

- Nie mam.
- Więc idź.

- Rozkaz - rzuciła, rozdrapując paznokciem zaschniętą maź na oparciu fotela. Któreś z dzieci musiało tu jeść... Co to właściwie? Mniejsza, coś białego i zaschniętego.

- Oj, rozkaz, rozkaz, nie chcesz, to nie idź. Ja nie będę miał czasu później po nią pojechać, a co ty masz do roboty? - w głosie Daniela zabrzmiała irytacja.

- Tak mi się powiedziało - Iwona z kolei przybrała ton przepraszająco - tłumaczący, zupełnie mimo woli.

- To niech ci się nie mówi.

- Dobrze, o której będziesz?

- Mamooo, szukaj mnie! - z oddali dobiegł głos syna.

- Nie wiem jeszcze. Nie mogę gadać.

- Przecież to ty dzwonisz - szepnęła do milczącej już słuchawki i westchnęła - Michał, wychodź.

- Nie dam rady.

Westchnęła jeszcze raz i zlokalizowała syna, zaczęła go wygrzebywać zza przedpokójowej szafki.

\* \* \*

Jacek przyjechał wcześniej. Stał przy domofonie i czekając na odpowiedź, niespiesznie przeglądał trzymane w dłoniach papiery. Słońce błyszczało mu we włosach, jasna koszula wyglądała nienaturalnie świeżo jak na panujący upał, spodnie nie nosiły w ogóle śladów zgnieceń. Nigdzie nie nosiły. Iwona westchnęła zrezygnowana. Z niej lało się strumieniami. Michał przez połowę drogi do domu wisiał jej na biodrze i wrzeszczał wniebogłoso, że chce zostać na placu zabaw, koniecznie. Wrzeszczał najzwyczajniej w świecie. Torba wrzynała jej się w rękę, a nabyty indyk, do spóły ze wszystkimi warzywami, sprawiał wrażenie rozrośniętego do rozmiarów prosięcia. Zresztą w sklepie miała poważne wątpliwości, czy kobieta za ladą nie wciska jej, zamiast drobiu, wieprzowiny właśnie. A na dodatek w ogóle się rano nie umalowała. Iwona, bo pani z mięsnego, to owszem. Po samiuśkie brwi, jasnoniebieskim cieniem.

- Czekaj, pomogę ci. - Trzy wielkie susy i Jacek był już przy niej. Pachnący, świeży i denerwująco rześki.

- Bierz, co chcesz, młodego najlepiej, bo nie ręczę za siebie. - Podała mu syna i szybko się odsunęła. - Miałeś być w południe.

- Wyrobiłem się wcześniej. Nie pasuje? - przytrzymał jej drzwi, łaskocząc jednocześnie Michała pod brodą.

- Pasuje, nie pasuje, co za różnica. - Wzruszyła ramionami i ruszyła szybko przed siebie, zastanawiając się jednocześnie, czy bajki się skończyły czy nie.

Zdażyły się niestety skończyć. Przekręcając klucz w zamku, usłyszała radio wyjące na cały regulator głosem Shakiry i wtórujący mu piskliwy głos córki. Widok też nie był zachwycający. Młoda wybebeszyła z szafy większość sukienek pieczołowicie produkowanych przez mamę i najwyraźniej zrobiła sobie rewię mody. W jednym z półobrotów zauważyła wreszcie wchodzących i na ten widok czmychnęła w popłochu do swojego pokoju.

Od czego zacząć? Nakrzyczeć najpierw na młodą? Pozbyć się mięcha czy Jacka? Iwona zaczęła się poważnie i głęboko zastanawiać, gdy w przemyślenia wdarł się cichy rechot.

- Z czego? - zapytała uprzejmie.

- Z uroków.

- Jakich uroków?

- Życia w rodzinie, z dziećmi. Chodź, artystko, przywitaj się z wujkiem. - Jacek, najwyraźniej niezrażony burkliwością gospodyni, ruszył w głąb mieszkania, sadzając sobie rozradowanego Michała na plecach.

- Buty mu chociaż zdejmij. - Iwona zerknęła na nieskalaną koszulę.

- A tam buty, czyste są, nie, młody?

- Taaak! - Michał podskoczył radośnie parę razy.

Siaty trzeba rozpakować. Kątem ucha przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej w sąsiednim pokoju i wyciągała zakupy. Jacek był, faktycznie, prawie jak rodzina. Od paru

lat wiernie asystował Danielowi, czy raczej służył mu za bezpośredni podnóżek, a współpraca układała im się śpiwając. Iwona schowała pieprz ziołowy do szafki, by po chwili znowu go wyciągnąć. Ustawiła na blacie obok mięsa i upewniwszy się, że dzieci zajęły się gościem, wybrała numer do Anity.

- Kupiłam.
- Co kupiłaś?
- Mięso! A co miałam kupić.
- Dobrze - przyjaciółka westchnęła. - Wiesz, co?

Może ja przyjadę i ci pomogę?

- Dam sobie radę - Iwona zacisnęła zęby, wpatrując się w mięso. - A indyk to jak właściwie wygląda?

- Żywy?
- Uch, a żywego miałam kupić? - zezłościła się.
- Nie, no nie. Wygląda jak mięso, normalnie, czemu

pytasz?

- Bo dla mnie to ten indyk na świnię raczej wygląda.
- Ryj ma?
- Ryja nie ma - zameldowała posłusznie, dla pewności

ogłądając z każdej strony.

- Kopyta ma?
- Nie ma! Anita, on duży strasznie jest.
- Bo indyki są duże, pooglądaj sobie obrazki z Micha-

łowych książek.

- Wypchaj się książkami - poradziła usłużnie. - Większy od kury, nie?

- Większy. Słuchaj, jeżeli ty chcesz się zajmować teraz anatomią poszczególnych rodzajów ptactwa, to może faktycznie lepiej kompa sobie odpał albo weź się za encyklopedię, czy co tam masz o zwierzętach.

- Czekaj, Daniel dzwoni. - Iwona przełączyła połączenia. - Tak?

- Pieniądze wzięłaś?
- Tak.
- Jacek przyjechał?

- Tak.
- To na razie.
- Pa. Już jestem. Martyna się do ciebie odzywała?
- Pięknego MMS-a dostałam, a swoją drogą ciekawa jestem, czy dobrze sobie wybrali miejsce na miodowy miesiąc. Przecież tam teraz obrzydliwie gorąco.
- No i co, razem są. Poza tym zawsze chciała pojechać do Egiptu.
- Ale w lipcu? Popłynie.
- Hi hi! Albo się zesmaży, wytopi.
- Wytopi to ją co innego - Anita zaśmiała się.
- E, babo, nieładnie - Iwona zawtórowała jej, ale zmarszczyła nos.
- Co nieładnie? Należy jej się, sama powiedz.
- Co, wytopienie?
- Nazywaj, jak chcesz. Aha, a przepis to ja ci prześlę e-mailem, bo tak to się nigdy nie dogadamy.

Wsparła się ciężko o blat szafki i westchnęła do mięsa. Czy aby siebie nie przecenia? Może niekoniecznie jest tak, że kobiety mają gotowanie zakodowane w genach. Może akurat jej natura tego poskapiła na rzecz talentu szwaczki? O tak, Iwona pokochała maszynę do szycia w czasach, gdy jeszcze dobrze nie umiała chodzić. Był w babcinym domu pod oknem taki ką, gdzie stały śmierzące, ale ładne kwiatki. Później dowiedziała się, że nazwę mają całkiem przyjemną, tylko trudną do wymówienia. Pelargonie. Pe-la-go-ni-ije, sylabizowała i raczkowała zawzięcie w ich kierunku, jednak w połowie drogi zazwyczaj ją zawracano i zmieniano kierunek trasy. Tam nie wolno, tam babci ścinki, kwiatki ci babcia zaraz pokaże. Jednak nie kwiatki ciągnęły jak magnes małą Iwonkę. Pod oknem bowiem stało coś pięknego, na rzeźbionych, ciemnych nogach, a babcia siadała obok tego cuda, obracała jakieś kółko

w dłoniach, a nogami wprawiała maszynę w ruch. Iwona zapałała do starego, wysłużonego singera miłością szczerą, prawdziwą i trwałą. Szycie było dla niej procesem tworzenia, a ze skrawków materiału potrafiła stworzyć wszystko lub prawie wszystko. Szyła dzieciom ubrania, laleczki, a później mikroskopijne ubranka dla tych lalek. Ostatnio, za namową Anity, czy raczej na jej prośbę, skompletowała stroje dla grupy przedszkolaków na jasełka. Wzbudziły ogólny zachwyt i zainteresowanie mam, po czym na głowę Iwony posypały się najpierw pytania, później zlecenia na przeróżne karnawałowe kreacje.

Daniel sarkał, że wszystkie jego koszule są w ścinkach i nitkach, że nie ma miejsca na te wszystkie szmaty. Zaciaskała zęby, czyściła męzowskie koszule, a każdą uszytą sukienkę z niemałą satysfakcją pakowała pieczołowicie w szafie.

Westchnęła jeszcze raz, niepewnie dotykając palcem indyka. Zdecydowanie nie miała pojęcia, jak ma się do tego zabrać.

- Jak do ciebie podejść, kochaniutki...? - mruknęła wreszcie.

- Najlepiej schowaj do lodówki, bo gotów stąd odejść.

- He? - Iwona aż podskoczyła. - Nie skradaj się jak złodziej.

- Nie skradałem się - Jacek podniósł ręce do góry w obronnym geście. - Normalnie wszedłem.

- Normalnie cię nie słyszałam - burknęła zła, że przyłapano ją na chwili słabości.

- Pomóc ci?

- W czym ty możesz mi pomóc, powiedz? - Wzięła się pod boki.

- No wiesz, lubię gotować...

- Ty???

- No ja, co cię tak dziwi?

- Może nie tyle dziwi, ile denerwuje, skoro ty potrafisz gotować, ja też się nauczę.



- Traktować to jako komplement czy obelgę, bo się pogubiłem? - zainteresował się, założywszy ręce na piersiach.

- A jak tam sobie chcesz - burknęła. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała, żeby on na nią patrzył, nie miała ochoty na świadka swojej kolejnej kulinarnej porażki, więc zacisnąwszy zęby spytała: - Nie spieszysz się?

- No, to już raczej żadna aluzja nie była. OK, zmywam się. Aha, a w sobotę będziecie?

- Gdzie? - Zatrzymała się w pół kroku do lodówki i spojrzała na niego.

- Daniel ci nie wspominał? Firmowe ognisko jest... takie wiesz...

- Będziemy - warknęła. - Na pewno będziemy.

Standardowo. Nie wspominał i nie miał ochoty wspominać do ostatniej chwili. Do momentu, kiedy nie będzie możliwości ulokowania gdzieś dzieci, znalezienia im opieki. W związku z czym nie byłoby wyjścia, on musiał... Och, zapomniałem, no niestety kochanie, ale muszę iść. Rozumiesz, kontakty, szef, nie może mnie zabraknąć, następnym razem sobie odbijemy, pójdziemy już we dwoje, ble, ble, ble. Bo następnego razu nigdy nie było.

O nie. Co to, to nie.

Obmyślając strój i fryzurę, a później przekopując się przez szafę, spaliła na węgiel mięso pieczołowicie pokrojone na równe kosteczki.

Przypaliła tak, że musieli się ewakuować we trójkę z domu.

Ewakuować na obiad.

Do baru. Oczywiście.

# 3

Anita przeciągnęła się, odkładając książkę. Słońce prażyło już mocno, zmrużyła oczy i wyciągnęła spod leżaka zegarek. Wyciągała go już parę razy w ciągu ostatnich dwudziestu minut i za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego ten czas tak obrzydliwie wolno płynie. Odłożyła zegarek z powrotem i wzięła książkę. Podniósłszy ją jednak do oczu, natychmiast odłożyła. Co to, to nie, obiecała sobie solennie, że się opali, ale nie kosztem przepalenia oczu. Zabębniła palcami w poręcz leżaka i zerknęła w stronę domu.

Nie. Będzie się tu smażyć, leżeć brzuchem do góry i nic nie robić, tak właśnie będzie wyglądało jej dzisiejsze popołudnie. Ma wakacje. Ma miesiąc odpoczynku od dzieciaków, ich rodziców, przedszkola. Iga na obozie. Tymek w pracy. Jest sama, samiuteńka w domu. Nikt jej nie goni, nikt i nic, mogłaby więc sobie poleżeć i odpoczywać, tak czy nie?

Zacisnęła zęby, zła sama na siebie. Bo teoretycznie wszystko się zgadzało i powinna może sobie pozwolić, ale jakaś jej część, czy może cała natura, stawała okoniem i goniła. Gdziekolwiek. Albo do kuchni, żeby upiec kolejne ciasto, którego nie będzie komu zjeść, więc Anita pochłonie jego większą część, bo dlaczego ma się marnować? Albo do kolejnych pokoi, żeby zrobić kolejne, zupełnie zbyteczne porządki; wytrzeć niewidzialny pyłek, poprawić geometrię dywaników, przelecieć zwilżonym patyczkiem do uszu najmniej dostępne i, trzeba dodać, najmniej widoczne fragmenty mebli. Nie potrafiła usiedzieć w miejscu beczynnienie,

męczyła się przy tym okrutnie. Lubiła robić coś dla kogoś, najlepiej bez przerwy.

Najpierw robiła dla Tymka, bo wtedy, o ironio, mimo że zaczynał karierę medyczną, spędzał w domu więcej czasu. Więc piekła, gotowała, smażyła, dopieszczała go na wszelkie możliwe sposoby. Szybko pojawiła się Iga i zajęła pierwsze miejsce w hierarchii osób, którym należą się największe względy. Więc Anita skakała wokół najbliższych, uruchamiając całą swoją pomysłowość, siłę i wytrwałość.

Ale teraz, zupełnie nagle, dotarło do niej, że właściwie nie ma już koło kogo skakać. Ciągłe robi obiady, tyle, że teraz dzieli je na trzy porcje, swoją zjada, dwie odgrzewa później, w różnych odstępach czasu. Syndrom pustego gniazda, zakołatało jej w głowie.

- Dupa tam, nie syndrom - mknęła zła na siebie i zerwała się z leżaka. - Iga wróci z obozu, a wtedy wszystko też wróci na swoje miejsce. Syndrom to będzie jak mi stuknie pięćdziesiątka. A to jeszcze trochę. I nie wcześniej, nie wcześniej...

- Dzień dobry, pani doktorowo!

Przy furtce stała sąsiadka, pani Ludwika, i uważnie przyglądała się Anicie. No tak, za sekundę rozejdzie się po całych Bojarach, że żona pana doktora rozmawia sama ze sobą, że na pewno potrzebna jej opieka lekarza, tyle, że pediatra to tu nic nie pomoże, to raczej na trzynasty kilometr będzie ją musiał pan Tymek zawieźć i ani chybi tam zostawić. Anita spokojnym ruchem przeczesła czarne loki, okulary podniosła na czubek głowy i uśmiechnęła się miło.

- Dzień dobry, pani Ludwiko. Ciepło dzisiaj, prawda?

- Ciepło, ciepło, żar się z nieba leje, nie ciepło. Ale burza będzie, tak coś czuję. Będzie, bo w kościach łamie. - Sąsiadka zerknęła na czyściutkie niebo, chcąc siłą woli ściągnąć jakiś malutki obłoczek, a nie zauważywszy żadnego, dodała z całym przekonaniem. - I to jak łamie. A pana doktora to nie ma, co?

- Nie ma - przytaknęła Anita, podchodząc do furtki z zamiarem wypuszczenia sąsiadki i zaproponowania czegoś do picia. Ale ta, jak zwykle odsunęła się nieznacznie i przekładając torbę z jednej ręki do drugiej, zaczęła się żegnać.

- To ja już pójdę, a jak pan doktor wróci, to przyjdę. Tak, wnuczka mi przywieźli, zaczął smarkać, kichać, kaszleć, więc nie wiadomo, co z nim robić. Buteleczek mi napakowali, tabletek więcej niż moich na reumatyzm, osteoporozę i co tam mi jeszcze dolega. Kto to widział, żeby wciskać dziecku tyle... tyle... - zamachała gwałtownie ręką, próbując przygnać ulatujące z głowy słowa, wreszcie wyrzuciła z siebie - paskudztwa? Kto widział, pytam?

Anita poczuła się w obowiązku wzruszyć ramionami. No ktoś może i widział, ona niekoniecznie. Nie było sensu wtrącać choćby jednego słowa w przemowę sąsiadki. Raz czy dwa próbowała i nie wyszło jej to na dobre, a wręcz przeciwnie. Została wpisana do grona tych, co nie umieją słuchać, nie mają szacunku dla starszych i nie dadzą człowiekowi spokojnie skończyć myśli. Dosłownie.

Anicie zawsze tłumaczono, że trzeba rozmawiać z ludźmi. Otóż nie. Z niektórymi nie trzeba, a wręcz nie należy rozmawiać, bo wtedy głos im się podnosił o dwie, czy nawet trzy oktawy, aż tak dobrego słuchu Anita jako dyplomowana wychowawczyni przedszkolna nie miała, i nie sposób się było przezeń przebić. Nawet głosem wyćwiczonym w emisji i potyczkach z grupą parolatków.

- Dać mleka prosto od krowy, mówię - sąsiadka kiwnięciem głowy zaaprobowwała reakcję Anity. - Tym bardziej, że oni na wsi. Dać śmietany, masła normalnego, a nie chuchać, dmuchać; nie biegaj, bo się spocisz, nie stój, bo się zmęczysz i takie chucherka rosną. Pani widziała tego naszego Adasia? Widziała pani, nie? Toż to przecież taka chudzinka, taki bledziutki, niebieski na twarzy, zasmarkany bez przerwy, kaszle, plamy jakieś... ech... Kiedyś człowiek przegonił rano na bosaka, po rosie zimnej najlepiej, posmarkało toto, pokichało, ale na drugi dzień zdrowiutkie.

Pan doktor też tak latał, pamiętam... A teraz to wszystko takie chorowite, takie słabiuskie, że... Ech, szkoda gadać, to ja wieczorem przyjdę. Do widzenia.

- Do widzenia, pani Ludwiko.

Mokra rosa, sosnowa deska i na trzy zdrowaśki do pieca, a rychlej ozdrowieje, burknęła pod nosem Anita, wracając do domu. Ominęła leżak szerokim łukiem, bo ja-koś jej się odechciało wylegiwania na słońcu.

Przez dłuższą chwilę oczy przyzwyczajały się do mroku panującego w domu. Czy kiedykolwiek poczuje się tutaj jak u siebie? Czy ci ludzie naokoło zaczną ją wreszcie traktować jak „swoją”? Niektórzy owszem, zaglądali, zagadywali, dawali się poczęstować herbatą. Cenili ją jako wychowawczynię swoich dzieci czy wnuków. Ale taka choćby pani Ludwika... Jakby nie mogła Anicie darować, że to przez nią wyprowadzili się państwo Zawiańscy, że dom zmienił wygląd, że przestał pasować do otoczenia. A czy faktycznie przestał? Młoda pani doktorowa rzeczywiście od razu zaczęła od generalnych remontów, przebudowy całego podwórka, odnawiania wszystkiego, co tylko odnowić się dało. Dosadziła parę drzewek, zrobiła obok ganku małą rabatkę kwiatową, powoli wyrzucając begonie i nagietki panoszące się od lat bez żadnego nadzoru. Bo mama Tymka nie miała serca ani do tego pięknego, starego domu, ani do kwiatów.

Prawdę mówiąc, Anita podejrzewała, że do własnych dzieci też zbyt wiele tego serca nie miała. Tymek urósł jakoś tak sam z siebie, wzorując się raczej na ojcu, a jego młodszy brat, Adam, po skończeniu szkoły porzucił rodzinne Bojary na rzecz mglistego Londynu. Podobno dobrze mu tam było, od czasu do czasu się odzywał, ale Anita widziała go tylko na zdjęciach. Nie miała możliwości poznać Adama osobiście, bo... jakoś tak się nie składało. Czarna owca, mówił Tymek i wzruszał ramionami. Teściowa na dźwięk imienia młodszego syna, zawsze teatralnym gestem podnosiła chusteczkę do oczu, zawsze przygotowana,

i chlupała ostentacyjnie. Może była, jaka była, właśnie dlatego, że nie czuła się nikomu potrzebna? Zupełnie jak ona teraz.

Stała w przestronnej kuchni, skrzyżowała ramiona na wybującej piersi i zadumała się srodze. Tak. Zupełnie tak samo. Czy ona też skwaśnieje na podobieństwo teściowej? Tylko dlatego, że nie ma się teraz kim zajmować? Że minął bezpowrotnie jej termin przydatności?

Prychnęła głośno. Dobrze, że nie do spożycia. Dmuchięła ze śmiechem w przydługą grzywkę, pstryknęła miniwieżę, ale nie, radio się nie nadaje. Wygrzebała ze stosu płyt jedną ze swoich ulubionych i po chwili dom wypełniła muzyka The Who i brzęk wyciąganych naczyń. A niedługo później zapach pieczonego ciasta.

Bo na chandrę nie ma nic lepszego od zakupów albo gotowania. W zależności od posiadanych predyspozycji.

Późnym popołudniem u drzwi Zawińskich młodszych zmaterializowała się, zgodnie z zapowiedzią, pani Ludwika trzymająca za małą rączkę smarkającego wnuczka. Zaraz, zaraz, jak mu było? Adaś, zdaje się, tak samo jak szwagrowi. Szwagrowi widmowi albo widmu, cholera wie. Anita porzuciła rozmyślania lingwistyczne i przywitała się z gośćmi.

- Doktora to nie ma - oznajmiła od razu sąsiadka, wpatrując się ze zniecierpliwieniem w stary, wytarty zegarek na swoim przegubie.

- Nie ma, zgadza się, ale...

- Przecież widzę, że nie ma. Samochodu nie ma, na piechotę ze szpitala nie przyszedł. Dobrze mówię? Miał być. Nie kręć się, Adaś. Co ja mam teraz z tobą zrobić?

Adaś wzruszył drobnymi ramionkami. Mądre dziecko, przemknęło przez głowę Anicie, szybko do niego dotarło, że babci za słuchacza i wdzięcznego odbiorcę wystarczy

ktokolwiek, aby tylko w odpowiednim momencie zareagował jak należało.

- Msza zaraz, nie zdążę do Wojciecha dolecieć - mruzczała pani Ludwika z niezadowoleniem, poprawiając nienaganny koczek i przekładając z ręki do ręki poprzecieraną na zagięciach torebkę. - Co tu robić, z tobą iść, a ty wytrzymasz? Nie wytrzymasz tyle czasu, zaraz głodny będziesz albo co... Dziadka oczywiście też nie ma, bo przecież zachciało mu się na działkę. W ten upał, rozumie pani? Mówię, uważaj, ciśnienie, serce, a on nie. Zaparł się i pojechał. Bo ogórki trzeba podlać. Nic by się ogórkom jeden dzień nie stało, a jak go kto, nie daj Boże - tutaj pani Ludwika wykonała pospieszny znak krzyża - w tych ogórkach znajdzie? Jeszcze jak znajdzie, to pół biedy, ale jak nie znajdzie?

- O, proszę nie dopowiadać sobie niczego, zasiedział się na pewno, zagadał z kimś i dlatego tak długo nie wraca - Anita spróbowała drobnych słów pocieszenia.

- No właśnie, zasiedział, zagadał i w nosie ma mnie, dom, wnuczka. Wszystko ma w nosie, bo ogórki ważniejsze. A ja nic z nich nie będę robić. O! Żadnych przetworów w tym roku. - Pani Ludwika rozejrzała się po pokoju i parę razy pociągnęła nosem, po czym zapytała oskarżycielsko: - A co tu tak pachnie?

- A tak pachnie ciasto. Z malinami.

- No i po co pani piecze? Męża nie ma, Igusi też chyba nie, to po co?

A tak sobie, żeby ci wstrętna babo zrobić na złość, pomyślała Anita, po czym odparła grzecznie, założywszy ręce na piersi:

- Lubię sobie coś czasami upiec. A teraz - dodała przekornie - miałam się zabrać za ciasteczka. Z przepisu prababci. Takie kruche, wie pani, co to poleżą ze dwa tygodnie. Znaczą mogłyby poleżeć, gdyby nie były takie pyszne, że można je jeść wagonami. Adaś, może zostaniesz ze mną? Babcia pójdzie spokojnie na mszę, a my się

zajmiemy ciastkami. Pomożesz mi wybrać foremki, kiedyś Iga zawsze wybierała, moja córka, ale jej podobały się tylko misie, kwiatki, lalki... a samochody... samoloty - dodała kusząco - nigdy właściwie nie były wykorzystane. No, co ty na to?

Adaś niepewnie zerknął na babcię. Wcale nie uśmiechało mu się stać przez ponad godzinę na baczność, bo w jej towarzystwie nie śmiał drgnąć. Z oddychaniem, prawdę powiedziawszy, też miał nielichy problem. Później czekać przed kościołem aż się babcia ze wszystkimi nagada, a trwało to całą wieczność, na pewno o wiele dłużej niż msza i wszystkie modlitwy wieczorne razem wzięte. A ta pani tak się sympatycznie uśmiechała, miała ładny dom, no i może pozwoliłaby mu się przyjrzeć tym statkom, które stały jeden za drugim, jak cała flota, na półce w dużym pokoju. Adaś wiedział, co to flota, tata mu tłumaczył, bo tata też w wolnych chwilach składał modele statków, tyle że ojcowe w porównaniu z tymi wyglądały jak mizerne łupinki. To było też określenie dobrze mu znane. A może pozwoliłaby mu stuknąć parę razy w klawisze tego ładnego pianina, które stoi w kącie? Pani w przedszkolu zawsze zamykała pianino na kłódkę. Zagrała jedną, dwie piosenki i zamykała. A on chciał spróbować, chociaż raz. Smarknął więc jeszcze raz i wpatrzywszy się w podłogę, zapytał:

- A Maciek i Gosia też mogą przyjść?

- Pójdziemy po nich, nie ma problemu. Będziecie tylko musieli z Gosią powalczyć o te foremki - uśmiechnęła się Anita na wspomnienie swojej walecznej wychowanki i podała mu chusteczkę do nosa.

Pani Ludwika zatupała parę razy niezdecydowana, postawiła wszystkie „za” w opozycji do „przeciw”, aż w końcu uznała, że nic dzieciakom nie grozi w domu pana doktora, no i pod opieką, bądź co bądź, pani przedszkolanki.

- To ja zajdę, powiem, żeby zaraz przyszli, po drodze mam, to zajdę. No, grzeczny bądź Adaś - burknęła na odchodnym.



- Będę babciu - odparł wnusio bardzo grzecznie, a wpatrując się w babcine pięty, odetchnął z wyraźną ulgą i rozluźnił się nieznacznie.

\* \* \*

Powracającego po całym dniu pracy i pragnącego spokoju za wszelką cenę pediatrę Tymona Zawiańskiego, powitał w drzwiach rodzinnego domu znajomy zapach ciastek. To dobrze.

Rzęsiście oświetlony dom. To niedobrze.

No i gwar głosów dziecięcych. Zupełnie taki sam, jak na oddziale. To bardzo niedobrze.

O czym nie omieszkła poinformować małżonki, odczekawszy, jako dobrze wychowany człowiek, aż goście sobie pójdą.

- Czy ty oszalałaś?

- Dlaczego? - Anita mlasnęła z zadowoleniem, przepelniona poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Co prawda na dole został jeszcze mały sajgon, ale wbrew sobie postanowiła go zostawić na jutro. Dzisiaj po prostu nie miała siły. Poprawiła poduszkę po swojej stronie, przygniotła ją prawie na płasko i spojrzała pytająco na męża.

- Oszalałaś i nawet o tym nie wiesz - stwierdził, wpatrując się w nią ze zdumieniem. Anita przyjrzała mu się uważnie. Długie dyżury mu nie służyły, na dobrą sprawę powinni się zastanowić nad zamknięciem tego gabinetu w domu. Bo jeszcze parę lat i jej mąż, zaledwie czterdziestoletni, będzie wyglądał jak osiemdziesięciolatek. A niewykluczone, że czuł się będzie jeszcze gorzej.

- No i dlaczego mi się tak przyglądasz? - Przeciągnął niepewnie dłonią po rzadziejących włosach. - Wytłumacz mi, co ty najlepszego wyprawiasz.

- Słuchaj, Tymon, ja też miałam za sobą ciężki dzień, może byłbyś łaskaw wyrażać się jaśniej.

- Taaak, bardzo ciężki - sarknął z ironią. - A cóż niby takiego miałaś do roboty? Ciastka upiec? Posprzątać dom?

Zakupów chyba dzisiaj nie musiałaś robić, tak? Miałaś tak ciężki dzień, że na wieczór sprosiłaś do towarzystwa pół swojej grupy... a może i całą, nie wiem, bo nie mogłem się doliczyć.

- Aaa, o to ci chodzi...

- Tak, właśnie o to mi chodzi. Cały dzień latam po szpitalu i przez wieczór nie jestem w stanie pozbyć się tego zgiełku. Wibruje mi w głowie, dźwięczy w uszach, do domu wracam po to, żeby odpocząć, a nie po to, żeby wysłuchiwać hordy dzieciaków. Wrzeszczących dzieciaków.

- Tymek... - wiedziała, że problem leży gdzie indziej.

- Nie Tymek, nie Tymek! - Odwrócił się do niej tyłem i zaczął bębnić palcami po okładce książki leżącej na nocnym stoliku. - Nie myślisz o mnie, zależy ci tylko na twoich zachciewajkach. Nudziło ci się, więc zorganizowałaś tu miniprzedzkole. Czy ty w ogóle widziałaś, jak wygląda kuchnia? Przecież tam się nie da wejść. Jak ja mam sobie rano zrobić kawę? Jak usiąść do stołu?

- Tak się składa, że to ja sprzątam, no i spokojna głowa, posprzątam. - Anita poczuła czerwien lekko błyskającą w prawym oku.

- Oczywiście, że ty, tylko pytanie kiedy? Ha? Gdy już się wyśpisz, czyli mnie już dawno nie będzie w domu, tak? Dobrze rozumiem? - spojrzał na nią ze złością.

- Nie - wycedziła i odrzuciwszy zamaszystym ruchem kołdrę, ruszyła na dół.

Chcesz mieć rano porządek, będziesz miał, spokojna głowa. A potrzebny ci będzie, bo się gówno wyśpisz, zdążyła jeszcze pomyśleć zanim trzasnęła drzwiami od sypialni.

Kuchnia znajdowała się bezpośrednio pod sypialnią. I dziwnym zrządzeniem losu czy też kratki wentylacyjnych, najdrobniejszy szelest na dole wydawał się hukiem nie do opisania na górze. Zanim Tymon zrozumiał swój błąd, dobiegł go łomot przestawianych naczyń, i oczywiście muzyka. Ulubiona muzyka jego ukochanej żony. Rock, lata

sześćdziesiąte, siedemdziesiąte... w ogóle wszystkie lata. Głośno, bo inaczej się nie dało, z podśpiewywaniem, bo jakżeby bez, a chwilami... z przytupem. Zrezygnowany uniósł głowę znad poduszki. Teraz już żadna siła jej nie zatrzyma... chyba że...

- Przegiąłem, przycisz - rzucił, stanąwszy z podniesionymi w górę rękami w kuchennych drzwiach.

- Przegiąłeś. - Garnek poleciał z furkotem w czeluść zmywarki.

- Wyluzuj.

- Sam wyluzuj... *Tell me whyyy, I'dont like mondays, tell me...*

- Anitaaa....

- Śpiewam, sprzątam, żebyś mógł jutro zrobić sobie kawę, śniadanie, ale ty sobie nie przeszkadzaj zupełnie. Kładź się... Tell me...

- Przepraszam. OK? Przepraszam.

- Proszę - wzięła pilota i przyciszyła muzykę - tego więcej nie robić.

- Miałem ciężki dzień... - Zaczął, ale na widok jej miny i pilota wędrującego z powrotem do mało pożądaney pozycji, znowu uniósł ręce w geście kapitulacji, westchnął ciężko i zaoferował swoją pomoc.

- A nie, dziękuję.

Przez moment korciło ją, żeby resztę bałaganu zostawić na jutro, tyle, że Tymona niczego to nie nauczy. Następnym razem, gdy coś mu nie będzie pasowało, znowu się po niej przejedzie jak po łysej kobyle, nie zważając na konsekwencje. A tak? Może się dwa razy zastanowi, bo wizja nieprzespanej nocy zamknie mu dziób. Wzruszyła ramionami sama do siebie. Czy całe życie trzeba go będzie wychowywać? Tak jak dziecko, które raz na jakiś czas próbuje swoich sił? A może tym razem się uda, może akurat teraz mi odpuści, może pozwoli, może da chociaż odrobinę poszerzyć granicę. Zaznaczyć swoje terytorium na nieco większym kawałku.

Zaparzyła mężowi żurawinowej herbaty, dosypała dwie łyżeczki cukru i podsunęła talerzyk z ciastkami.

- Siadaj, zaraz skończę.

I jak to było do przewidzenia, najpierw bąkając, a później wylewając z siebie cały żal na „ten cholerny system”, zaczął opowiadać o kolejnych dzieciach odprawionych z kwitkiem. O kolejnych badaniach, na które niestety nie ma pieniędzy i które trzeba wykombinować, a to przecież dopiero połowa lipca. Gdzie grudzień? Ilu jeszcze pacjentów, małych pacjentów, tych, którzy są najmniej wszystkim winni, najmniej winni swoim chorobom, trzeba będzie przesuwac na inne terminy? Oni najczęściej nie mogli czekać, każdy dzień zwłoki był może nie zawsze wyrokiem, ale niepotrzebnie straconym czasem. Na diagnozę przede wszystkim.

Przyglądała mu się kątem oka, już ciszej wkładała naczynia do odpowiednich szafek. Współczuła mu.

Oto dzisiejszy lekarz. Anita wiedziała, że on kocha dzieci i uwielbia swoją pracę, ale nienawidzi systemu. Bardziej chorego od wszystkich pacjentów kliniki. Nieuleczalnego, któremu żaden lekarz nie mógł pomóc. Mało tego, systemu, który każdego lekarza potrafił zarazić swoją chorobą. Niezarażeni mogli od razu pakować manatki i szukać pracy gdziekolwiek indziej, bo inaczej narażali swoją psychikę na szwank. Z jednej strony Anita bała się o Tymka, martwiła o jego nerwy. Z drugiej dałaby wiele, żeby nie dał się złamać. Tylko jakim kosztem?

- Głupi jesteś, wiesz? - mruknęła godzinę później w poduszkę. Z trudem, bo Tymon upodobał sobie jej plecy do spania.

- Jestem głupi - mruknął, a ciepło jego oddechu rozeszło się między Anitowymi łopatkami.

- Głupi jesteś i uparty.

- Jestem. Śpij. Kocham cię. - Po chwili zaś zachrapał donośnie, prosto w płuca żony.

## 4

- Jesteś? - Martyna rzuciła torbę na podłogę i rozejrzała się po przedpokoju. - Czarek? Aha, nie ma cię. Pytanie tylko dlaczego cię nie ma, skoro jest już po dwudziestej.

Zamruczała do siebie, ściągając sandały z opuchniętych stóp. Własny salon fryzjerski, jak zresztą każdy własny interes, wymagał poświęceń. Martyna jednak poświęcała się z przyjemnością. Każdego dnia dziękowała opatrności, w nader rzadkich wolnych chwilach, że ta była tak łaskawa i pozwoliła jej wykonywać zawód umiłowany od zawsze. Bo Martyna od niepamiętnych lat brała się za fryzowanie wszystkich głów, które wpadły jej w ręce. Począwszy od małych lalkowych, poprzez przycinane nierówno grzywki koleżanek w szkole podstawowej, aż do układania włosów dziewczęcej części klasy maturalnej na studniówkę. Nawet w dni takie jak dzisiaj, kiedy na dworze panował niemiłosierny upał, a ona słańiała się na nogach od całodziennego biegania wokół fryzjerskiego fotela, nie była w stanie pozbyć się uczucia pełnej satysfakcji z dobrze wykonanej pracy.

Padła na kanapę, wygrzebała z torby telefon, po czym wybrała numer Czarka. Odebrał prawie natychmiast, jakby czekał z aparatem w dłoni.

- Cześć, kochanie.

- Cześć, cześć - zamruczała. - Ja nie chcę wychodzić na zołzę tak od razu, na samym początku, ale gdzie ty właściwie jesteś?

- Ja już wracam do domu - poinformował ją zwięźle.
- Nie pytam, co robisz, tylko gdzie jesteś albo skoro wracasz, to gdzie byłeś?
- Byłem u Doroty. Pomagałem jej przy kompie, naściągła wirusów i trzeba było przeinstalować system.
- Hm - Martynę od razu spionizowało. - A ja myślałam, że wychodzę za męża za weterynarza, a nie informatyka.
- Hi hi! Kupić coś?
- Nie wiem, przed chwilą weszłam - zacisnęła zęby, żeby nie zabrzmiało kaśliwie.
- To rozejrzyj się i daj mi znać.
- OK.

Żarówka w lodówce oświetlała puste półki i jeden słoik dżemu. Martyna poinformowała więc Czarka, żeby kupić cokolwiek, a najlepiej pizzę, tę na Mieszka, ciepłą, pyszną, z pieczarkami i na już. A rano się poleci po jakieś pieczywo.

Odłożyła telefon na kuchenny blat i wstawiła wodę na herbatę. Wszystko pięknie. Mają już swoje przyzwyczajenia, których trzeba się będzie pozbyć albo zmodyfikować, dostosować do potrzeb drugiej osoby. Pytanie tylko, czy jej świeżo poślubiony mąż nie powinien czasami sam wpaść na to, że bieganie do przyjaciółki z dawnych lat z każdą pierdołą nie jest mile widziane przez żonę. Czy ma mu to zakomunikować, czy sam się domyśli? Zalała torebkę owocowej herbaty, a po namyśle wyciągnęła z szafki drugi kubek, wygrzebała drugi woreczek i wrzuciła do środka ze złością. Dorota to, Dorota tamto, a wiesz, że Dorota...

Nie wiedziała i nie miała najmniejszej ochoty wiedzieć. Koniec, kropka. Zbyt długo czekała na niego, żeby teraz się nim dzielić z jakąś tam panienką... Właśnie panienką, czy może raczej panienką z odzysku, bo Dorota była rozwiedziona od niedawna. Składając im życzenia po ślubie, patrzyła tylko na Czarka, cmoknęła powietrze nad uchem

Martyny, a jego mocno pocałowała w usta, obejmując za szyję, po czym zaszepiała mu coś do ucha, z czego oboje zaśmiali się serdecznie jak konspiratorzy. A później, gdy Martyna pytała go o szczegóły tych życzeń, nie mógł sobie przypomnieć, wymawiając się tłumem ludzi, zaabsorbowaniem, wreszcie machnął ręką i stwierdził, że widocznie nie było to nic ważnego. Dla kogo nie było, dla tego nie było. Dla niej osobiście było, jak najbardziej.

Zabębniła palcami w blat, rzuciła okiem na zegarek, po czym złapała za telefon. Iwona pewnie kładzie dzieci spać, ale Anita powinna mieć chwilę.

- Mów mi szybko, bo nie mam zbyt wiele czasu...
- Dawaj - głos Anity jak zwykle zabrzmiał rzeczowo, treściwie i niezmiennie kojąco.
- Słuchaj, zaczyna mnie to denerwować. - Martyna nie mogła ustać w miejscu więc zaczęła maszerować po małym mieszkaniu w tę i z powrotem, wymachując wolną ręką.
- Czy ja to mam zostawić i czekać spokojnie na rozwój wypadków, innymi słowy...
- Niech zgadnę, Dorota?
- No Dorota, Dorota, a co u ciebie tak głośno? - zainteresowała się nagle.
- A nic, przedszkole mam w domu - zaśmiała się Anita.
- Babcie poszły na jakieś spotkanie.
- Babcie? Jakie babcie? Przecież ty masz jedną babcie.
- Okoliczne. Nie moja własna, mniejsza z tym, wytłumaczę ci, gdy się spotkamy.
- Dobra, ty mi powiedz, co ja mam robić...
- Nosi cię?
- Nosi? To mało powiedziane, bo miałabym ochotę trzasnąć mu przed nosem drzwiami albo wystawić kaptcie. Nie, on nie ma kaptci. Nie wiem, szlag mnie trafia. Wracam do domu, widzę, że był, zostawił rzeczy w przedpokoju i poleciał jej naprawiać komputer. Rozumiesz? Nie czeka na mnie, nie zadzwoni, nie powie, gdzie jest, co planuje, tylko po prostu do niej jedzie. Ot tak, na pstryknięcie palca.

Co on jest, ja się pytam, informatyk pieprzony czy weterynarz? I z jakiej racji ona do niego wydzwaniania? Przecież bez przerwy pika ten jego cholerny telefon SMS-ami. Wiem, że od niej, bo mi mówi. O godzinie dwudziestej trzeciej? Gdy już leżymy w łóżku? Powiedz sama, czy to normalne, czy ja już jestem przewrażliwiona???

- No średnio normalne.

- A widzisz, a widzisz!? - zapięła Martyna, tarmosząc włosy i przyciskając twarz do lustra w poszukiwaniu kolejnych zmarszczek.

- No widzę. Uspokój się, przede wszystkim. Wiesz, o co chodzi? Adaś, uważaj, bo go zdusisz... No dobrze, zadusisz, w każdym razie ani jedno, ani drugie nie wchodzi w grę i leć po chusteczki... Nie wiem, kiedy przyjdzie, za jakieś pół godziny już powinna być... Oj, no przecież wiesz, gdzie jest łazienka...

- Halo.

- Jestem, jestem, wybaczone, ale dzisiaj się wyjątkowo dzieci namnożyło. To taka kwestia delikatna, tylko się nie denerwuj.

- Powiedzmy, że jestem spokojna - sapnęła Martyna.

- Już to widzę! Więc, jakby nie patrzeć, to ty się pojawiłaś jako ta druga... - Anita zaczęła najdelikatniej jak potrafiła.

- Cooo?!

- Mówiłam, żebyś się nie denerwowała, tak czy nie? Siadaj i słuchaj, bo podobno nie masz czasu. Przede wszystkim nie naskakuj na niego, rozumiesz?

- Nie rozumiem.

- To zrozum. Masz nie naskakiwać, nie wrzeszczeć, nie rościć pretensji...

- To co ja do cholery mam robić?

- Porozmawiać.

- A w jaki sposób? Przecież się zagotuję.

- Nie zagotujesz się. Nie wiem, w jaki sposób, zdaj się na swoją kobiecą intuicję. Chodzi o to, żeby się nie



zamknął. Widzisz, u nich wszystko opiera się na prostym rachunczku, jeden dodać dwa równa się... i tak dalej. Tak więc wizyta u Doroty dodać informacja o tym żonie, równa się wielki krzyk, ogólne nieprzyjemności i brak seksu wieczorem. Tak mu się zakoduje. Kumaszczyk?

- Jak na razie tak.

- Żeby uniknąć paskudnego wyniku tego dodawania, co trzeba zrobić następnym razem?

- Skłamać.

- Skłamać, nagiąć prawdę, co tam chcesz. W każdym razie możesz być pewna, że Dorota zostanie przemianowana dla świętego spokoju na Zbyszka czy innego Franciszka, a w domu zapanuje sielanka.

- Czyli mam go zmusić do kłamstwa? - sarknęła Martyna. - Czekać, dzwoni. No co tam? - rzuciła zniecierpliwiona.

- Kolejka jest, czekać?

- Poczekaj. Ile?

- Około pół godziny.

- Chce ci się?

- Zaczekam, buziak.

- No pa - przełączyła z powrotem na Anitę. - Jestem już. No i?

- Właśnie próbuję ci wytłumaczyć, że jeśli wyjedziesz do niego z szeroko otwartą twarzą i ogólnymi pretensjami, to zaczniesz kłamać.

- Więc, co mam zrobić?

- Się nie denerwuj i porozmawiaj z nim spokojnie.

- Łatwo ci powiedzieć.

Anita westchnęła ciężko i przypomniała sobie jak na zawołanie wszelkie nieprzyjemne rozmowy z Tymkiem. Ha, może i łatwo powiedzieć. Teraz. Z drugiej strony dobrze byłoby oszczędzić tego Martynie, pytanie tylko jak? Jak powstrzymać emocje? Może każdy musi przez to przejść obunożnie, tylko po to, żeby później nie popełniać takich błędów. Odwieczna maksyma o odczuwaniu czegoś na

własnej skórze może nie była pozbawiona sensu? Tylko po co? Oni mają o wiele mniej czasu niż Anita z Tymkiem. Oni zbyt dużo czasu stracili na szukanie siebie, po co więc mają marnować dodatkowe minuty. Westchnęła jeszcze głębiej, usiadła wygodniej i wpatrując się w gromadkę bawiących się dzieci, zaczęła jeszcze raz.

- Z kłamaniem jest tak, że jak raz zaczniesz... znaczy on zacznie, to później, w obawie przed konfrontacją, z chęci jej uniknięcia, będzie kłamał w najdrobniejszych sprawach. Nie będzie mu się chciało ryzykować twojej złości i kłótni, więc będzie nagiął prawdę nawet w kwestii błahostek. A później to wchodzi w nawyk, buduje się mur nie do przebiccia i naprawdę trzeba wielkiego samozaparcia, żeby to zwalczyć. Uwierz mi, wiem co mówię.

- Anita, czy wiesz, co próbujesz mi właśnie powiedzieć?

- No?

- Żebym nie była sobą. Tak w największym skrócie. Czy wtedy będzie uczciwie?

- Nie, to nie tak.

- A jak? Wiem, że zanim przyniesie tę pizzę, ja się wygadam z tobą, złość mi przejdzie, już przechodzi właściwie. Ale gdy tylko zacznę z nim rozmawiać, żal weźmie górę, złość się pojawi na nowo i co? Mam udawać, że wcale nie jestem zła? Że mnie to nie boli? Przecież boli. Nie wiem, kochana, ale to chyba nie jest dobry pomysł. Nie lubię występować wbrew sobie i nie mów mi, że ty tak robiłaś.

- Upraszczasz, poczekaj... Tak, dobrze... Oczywiście, że będę, proszę przyprowadzić... O dziękuję, nie trzeba było... Dobrze, do widzenia... Mam dwie blachy ciacha, przyjedziesz?

- Kuszące, ale jakoś wolę poczekać na pizzę. No i co z tym upraszczaniem?

- Po prostu, upraszczasz. Nie chodzi mi o to, żebyś udawała, że cię to nie boli, tylko powstrzymaj emocje. Tyle.

- No nie wiem, wątpię, czy mi się uda... Anita...

- No co tam?

- Powiedz mi... Miało być tak pięknie... Przecież to dopiero początek, przecież się kochamy... Czy to już od tych pierwszych dni będzie pod górkę?

- Hi hi hi! Będzie pod jeszcze większą górkę, a później z niej. W tym podobno cały urok - zaśmiała się ciepło Anita.

- Chwilami mam wrażenie, że było tak spokojnie, bez zawirowań, bez zbędnych obciążeń, bez tłumaczeń, powstrzymywania się... Ech - westchnęła Martyna.

- Nie wdychaj, dobrze będzie. Trzymam kciuki.

- Trzymaj, nie zaszkodzi. Dzięki.

- A kiedy zechcesz.

- Anita...?

- Tak?

- Ja nie chcę być drugą Magdą M.

- Pogieło cię?

- Nie pogieło. Popatrz, podobny scenariusz, nawet imię się zgadza.

- Martyna... - Anita sapnęła ze zniecierpliwieniem.

- Albo przestaniesz się doszukiwać dziury w całym i weźmiesz wszystko w swoje ręce...

- Albo co? Niczego się nie doszukuję, też była Dorota, próbowała rozwalić ich związek, tutaj też mi coś śmierdzi.

- Ale ty nie jesteś Magda M., tylko Martyna W. Poza tym masz już obrączkę na palcu, to po pierwsze, a jeśli już tak uparcie trzymasz się analogii do serialowych scenariuszy, to pamiętaj, że tam się wszystko skończyło tak, jak powinno.

- Serial to serial - westchnęła filozoficznie Martyna.

- A wiadomo, jak to w życiu będzie?

- Dobrze będzie, głupia, dobrze. Bo musi być dobrze.

- Za co ja cię lubię?

- Już ty dobrze wiesz za co, przestań stękać. Aha i niech ci nie przyjdzie do głowy siadać od razu do pasjansa czy innych fusów.

- No wiesz? - Martynę oburzyło jasnowidztwo przyjaciółki.

- Wiem, sęk w tym, że wiem. Obiecuj.

- Obiecuję. Oj, Anita, dzięki.

- Powtarzam, kiedy zechcesz, buzia, pa.

- Pa.

Martyna miała rację co do jednego. Po rozmowie z Anitą, przeczekaniu prawie godziny, a później po zjedzeniu pizzy i wypiciu paru kieliszków wina, złość wyparowała z niej zupełnie, ostygła i przyczaiła się w oczekiwaniu na następny incydent. A Martyna ułożywszy się wygodnie na ramieniu Czarka, nie miała najmniejszej ochoty zagotowywać się na nowo, więc nieprzyjemne myśli odsunęła w najdalszy, aktualnie najmniej używany kąt umysłu i zaczęła czerpać przyjemność z męzowskich pocałunków.

\* \* \*

- No i wyobraźcie sobie, panie, kto zajmuje się dziećmi? No kto?

- Pewnie wszystko spadło na panią, pani Bogusiu.

- Martyna spojrzała na swoją klientkę, odrywając na chwilę wzrok od pasemek, na które skrupulatnie nakładała farbę.

- O to, to, właśnie na mnie. Nie wiem, czy ci młodzi nie potrafią sobie teraz zorganizować czasu, nie mogą znaleźć takiej pracy, żeby spokojnie zająć się własnymi dziećmi? Pani Martynko, a gdyby tak grzywkę trochę podciąć, tak może po skosie, jak pani myśli, dobrze będzie?

- Pani Bogusia machnęła parę razy głową, przekrzywiając ją na boki i wyobrażając sobie efekt pożądany.

- Nie ma problemu.

- Ja tam swoje dzieci wychowałam sama. Chodził człowiek do pracy, po południu zawsze był czas, żeby wyjść na spacer, do parku Branickich, na lody, do tej lodziarni,

pani wie, tam w środku, wtedy to jeszcze w kaczorki była wymalowana czy w myszki... Zawsze, a przecież to od nas kawałek drogi. I zupa była ugotowana, obiad zrobiony - podjęła przerwany wątek. - A oni najpierw tych swoich dzieci nie mogli się doczekać... Bo wie pani, córka miała problemy, czy może zięć... Nie pamiętam, no w każdym razie długo nie mogła zajść w ciążę. I pamiętam, jak obiecywała, mamó, gdy już będę miała dziecko, nie zostawię go na chwilę, będę spędzać z nim każdą minutę dnia, pracę nawet zostawię. Ha, przyszło co do czego, urodziło się najpierw jedno, później drugie, a oni do mnie. Mamó pomóż, no to pomogę. Jak własnemu dziecku nie pomóc przy własnych wnukach, prawda?

- Świąta prawda - przytaknęła Martyna.

- I pracują teraz oboje do późnej nocy, a wracają nieprzytomni. Za czym oni tak gonią wszyscy? Mieszkanie mają, co do garnka włożyć też, gdzie im się tak spieszy, na co zarabiają? Dzieci nie widzą mamy ani taty, ale za to w drogich spodenkach i kurtkach chodzą do szkoły. Obłożeni takimi zabawkami i tyle ich mają, że w pokojach przejścia nie ma...

Pani Bogusia trajkotała, Martyna przytakiwała jej mechanicznie i nakładając farbę na kolejne pasma, zaczęła się zastanawiać nad wyłowionymi z całego potoku paroma słowami...

... nie mogła zajść w ciążę...

... długo...

... ona miała problemy...

... może on...

Po czym zastygła z pędzlem uniesionym pionowo w górę. Czasami, żeby uświadomić sobie pewne jasne i niezaprzeczalne fakty, potrzebne jest jedno słowo. Ot, jak trzepnięcie młotkiem po głowie, czasem lekkie, czasem odrobinę mocniejsze.

Nie mogła zajść w ciążę.

Nie mogła.

Dokładnie w tej chwili uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, że nie dopuszczała myśli o niepłodności. Gdzieś w podświadomości, w rejestrach, o których istnieniu wiemy, ale które tylko w pośredni sposób wpływają na funkcjonowanie i podejmowane działania, musiała sobie tę myśl ulokować. To ona, ta myśl, skłaniała ją do wyszukiwania informacji związanych z niepłodnością i bezpłodnością. Martyna tłumaczyła sobie, że ot, przypadkiem trafia na te definicje, przypadkiem również wertowała strony z adresami klinik zajmujących się leczeniem. Tłumaczyła sobie to w ten sposób, że po prostu chce mieć dziecko, więc interesuje ją wszystko, co związane z poczęciem.

Z poczęciem, a nie jego brakiem.

***Jeżeli współżycie bez stosowania antykoncepcji odbywa się regularnie i występuje niezdolność do poczęcia dziecka, określa się to mianem niepłodności.***

Definicja wyklarowała się jasno i czytelnie, uderzając Martynę jak obuchem.

- Pani Martynko... Halo... Pani Martynko!!! - Głowa najeżona folią aluminiową zaczęła się domagać uwagi.

- Kapie mi przecież pani farbą na ręce! Co się dzieje?

- Przepraszam, nie, nic, wszystko w porządku. To jak, na grzywkę też się pani decyduje?

- Tak, tak po skosie, już pani będzie wiedziała...

Pani wiedziała tylko jedno. Że musi jak najszybciej wyściachać klientkę, a później poprzekładać wszystko, o ile się da. Dokończyła nakładanie farby, działając jak dobrze wystereowany automat, uśmiechała się półgębkiem, potakiwała, udało jej się nawet udzielać w miarę sensownych odpowiedzi, co prawda monosylabami, ale zawsze. W głowie natomiast cały czas krążyły niechciane słowa i myśli. Wsadziła wreszcie gadającą bezustannie głowę pani Bogusi pod infrazon, ustawiła czas, zaaplikowała jej zestaw najnowszej prasy i uśmiechnąwszy się ciepło, poleciała do pomieszczenia dla personelu.

Zastanawiała się kiedyś, jaki sens będzie miało stawianie dodatkowej ścianki, aby wygospodarować mały kąt z dwoma mikroskopijnymi fotelami, kawałkiem ławy i szafką na rzeczy pracowników. Czy nie lepiej byłoby te parę metrów kwadratowych poświęcić na kolejny fotel fryzjerski, jeszcze jedno stanowisko pracy? Ale usiadłszy z pozostałą częścią zespołu, przedyskutowawszy wszystkie za i przeciw, stwierdziła, że taki kąt powinien być choćby po to, żeby spokojnie łyknąć kawy czy ugryźć kanapkę. Na wszelki wypadek, żeby nie było zbyt komfortowo, zmniejszyła powierzchnię maksymalnie; miały spędzać większą część dnia pracy w salonie, a nie na przegryzaniu kanapek. Taka była zasada.

Teraz Martyna oparła się o drzwi, zamknęła oczy i zmasażowała z twarzy automatyczny, profesjonalny uśmiech. Odechnęła parę razy głęboko, żeby tylko nie dopuścić łez pod powieki, i ruszyła w stronę torebki. Nic w jej postawie nie przypominało teraz osoby sprzed paru minut. Zgarbiła się, ramiona ciężko opadły jej do przodu, a z klatki piersiowej dobywało się co chwila donośne westchnienie.

Wizja świeżo wybudowanego domu zaludnionego przez małe dzieci zaczynała się rozpaczliwie szybko rozwiewać, a w Martynie rosło przekonanie, że okrutny los postanowił się na niej zemścić. Tak właśnie. Wprawdzie znalazła mężczyznę, wspaniałego, wyrozumiałego, i była w nim zakochana po uszy, ale jakby na tym los poprzestał. Powiedział: wystarczy, jak dla ciebie już wystarczy. Masz kobieto usystematyzowane życie, masz pracę którą lubisz i zawsze lubiałaś, masz męża, dom na ukończeniu, wystarczy jak dla ciebie. Teraz czas odwrócić łaskawą twarz od twojej skromnej osoby i zwrócić ku komuś innemu. Możliwe, że o wiele bardziej potrzebującemu. I basta. Limit wyczerpany, za nadwykonania nikt nie zapłaci.

Gdyby Martyna spróbowała pokusić się o racjonalne myślenie, zdołałaby sobie wytłumaczyć, że żadna sprawa nie jest jeszcze przesądzona, że nie powinna bazować na

przesłankach, tylko oprzeć się na dowodach. Tylko że z racjonalnym myśleniem w kwestiach osobistych było u niej zdecydowanie na bakier. W służbowych owszem, dzięki temu przecież zakład prosperował na najwyższych obrotach, ale w osobistych nie potrafiła postawić rozumu nad emocjami.

To wszystko przez ten ślub, syknęła, odgarniając włosy z czoła. Od początku do końca był farsą, co mogło pójść źle, poszło. To właśnie była przepowiednia, wróżba... Ale czy miała zrezygnować? Rzucić wszystko w diabły tylko po to, żeby nie kusić losu? Idiotyzm.

Martyna oparła czoło o rozgrzaną południowym słońcem szybę i przymknęła oczy. Pod powiekami powoli przesuwwały się różne obrazy z dzieciństwa, walki, które trzeba było toczyć o każdy skrawek własnego miejsca, podkradanie siostrom ubrań, dom... zawsze pełny ludzi, zawsze głośny, chwilami nie do wytrzymania, kiedy o uwagę matki trzeba było zabiegać, uciekając się do podstępów.

Właśnie. Dom kojarzył się Martynie z miejscem wypełnionym tą szczególną atmosferą, którą może mu nadać tylko rodzina. Ludzie. Co z nią było nie tak? Otworzyła oczy i przyjrzała się spokojnej i sennej w letni upał okolicy. Przez ulicę przechodziły dwie kobiety. Jedna popychała wózek ze śpiącym i przykrytym tylko pieluszką dzieckiem, druga, w szerokiej sukience, głaskała się po ogromnym brzuchu. Gestykulowały na przemian, śmiały się głośno i sprawiały wrażenie szczęśliwych.

Martyna bezwiednie pogłaskała się po płaskim brzuchu, lniane spodnie spływały miękko w dół, nie znajdując żadnej bariery na swojej drodze, prócz lekko zarysowanych kości biodrowych. Przycisnęła je mocno. Coś zapiekło ją pod powiekami, odwróciła się więc pospiesznie od szyby i obrzuciła wzrokiem nienaganne wnętrze zakładu. Stonowane kolory, wszystko urządzone ze smakiem, tylko... nie dawało już takiej radości jak kiedyś. Bo ten zakład, cała jej praca były tylko środkiem do celu, a teraz nagle co...



Okazuje się, że nie ma celu? Certyfikaty z niezliczonych szkoleń miały przekonywać klientki o jej kompetencjach, jedynych w swoim rodzaju. Zarywane noce, godziny spędzone na szkoleniach, to wszystko, czemu poświęcała się bez reszty, miało być tylko środkiem. Owszem, oddawała się temu z przyjemnością, ale czy nie większą część tej przyjemności stanowiła świadomość, że robi to w jasno określonym celu?

- Zwariuję zaraz - szepnęła, pocierając skronie.

Nagle powrót do małego pomieszczenia pełnego radoznego szczebiotu klientek i bezustannego szumu suszarek wydał jej się nie do zniesienia, chwyciła więc torebkę, wrzucając po kolei klucze, telefon i mały notes z adresami i zdecydowanym szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Dziewczyny, ja muszę wyjść...

- Coś się stało? - Obie koleżanki stanęły na baczność.

- Nie, po prostu coś mi wypadło. Ja mam jeszcze dzisiaj... - Martyna stanęła przy ladzie, wertując kalendarz.

- Cholera, dużo mam. Zajmiecie się? Nie wiem, farbowanie możesz wziąć ty, Beata, pani Teresa da ci się ściąć, w przeciwieństwie do Goški... Hm, Goškę przełoż, ja już nie mam czasu do niej dzwonić, nie wiem... może na jutro.

- Co się stało?

- Nic, wszystko w normie - Martyna wzruszyła ramionami. - Wypadło mi coś i tyle, jutro pogadamy, a teraz błagam was, podzwóńcie, powiadomcie wszystkich, a ja tylko poproszę o info... Nie wiem, czy odbiorę telefon, na pocztę się nagraj, Beata, OK?

- Jasne, tylko... - koleżanka przyjrzała się uważnie swojej szefowej i przyjaciółce wypatrując tej normy, o której wcześniej Martyna wspomniała.

- Tylko co? Rzadko robię takie rzeczy, więc...

- W ogóle nie robisz - weszła jej w słowo.

- No właśnie, więc skoro już mi się raz zdarzyło, to nie róbmy z tego draki, dobrze? - uśmiechnęła się sztywno

i dla załagodzenia ostrego tonu pogłaskała Beatę po ramieniu. - Wszystko jest w porządku. Pogadamy jutro. Pa.

Machnęła ręką osłupiałym dziewczynom, ukłoniła się fryzowanym aktualnie głowom i wybiegła z salonu, jakby ją ktoś gonił, nie przejmując się zbytnio szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami koleżanek.

Działać, działać trzeba.

\* \* \*

- Halo? Dzień dobry, czy można się na dzisiaj zarejestrować do doktora Skabca? Nie można? Jak to nie ma wolnych terminów? - Martyna podkreśliła klimatyzację w samochodzie i zabębniła palcami o kierownicę. - A na kiedy? Proszę pani - nieznacznie zmieniła ton głosu - bardzo mi zależy, ja muszę dzisiaj, najbardziej chciałabym teraz, to, można powiedzieć, sprawa niecierpiąca zwłoki... Przyjechać i czekać? Dobrze, to ja już jadę.

Pani z rejestracji widocznie miała dobry dzień, bo raczej rzadko się zdarzało, żeby pozwolono komukolwiek wejść ot tak, po prostu z ulicy. Pilnowała terminów z zajądłością, a wejścia do gabinetu lekarskiego strzegła jak lwica młodych. Albo ona, Martyna, miała szczęście. Tak, to nic innego jak zrzączenie losu, prędzej się dowie, nie będzie musiała się już katować domysłami i szkalowaniem własnego organizmu oraz wymyślaniem mu na czym świat stoi. Taaak. To ostatnia taka łaska losu.

Przychodnia przy Słonimskiej widziała już niejednego zniecierpliwionego pacjenta (łamane przez pacjentkę), ale jej podłoga na pewno rzadko bywała narażona na tak intensywne działanie cieniutkich obcasów. Wbijanych ze zniecierpliwieniem, z mocą, na jaką Martynę było stać. Maszerowała w tę i z powrotem, odprowadzana poirytowanym wzrokiem czekających na wizytę kobiet; wyłamywała ręce, wymyślała sobie od najgorszych i próbowała

przekonywać samą siebie, że jeszcze nie wszystko stracone. Wreszcie usiadła, westchnęła głęboko i zaczęła się przyglądać plakatom na ścianach. Poumieszczane między informacjami o numerach telefonów do poradni, o godzinach przyjęć poszczególnych lekarzy, a kartą pacjenta, skupiały się głównie na ciąży, pielęgnacji malutkiego dziecka i zestawach witamin, którymi najlepiej wspierać organizm przygotowujący się do macierzyństwa.

Jeden plakat kojarzyła; ogromna płachta papieru podzielona na cztery części, na każdej z nich przedstawiony inny sposób karmienia dziecka piersią. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie już taki widziała, czy nie było to przypadkiem podczas innych wizyt w tej przychodni, do której przecież była zapisana od wieków? Nie, pomyślała trzeźwo, przecież by się zniszczył. Przypominał trochę te plakaty z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kobiety na traktorach, kult pracy, robotnik z uśmiechem na twarzy wbijający łopatę w ziemię. Podobny styl rysowania. Nie, utwierdziła się w przekonaniu. Na pewno by się zniszczył.

To do tej przychodni pani Anna prowadziła swoje cztery córki właściwie od momentu ich narodzin. Najpierw dlatego, że jej rejonizacja obejmowała tereny przyległe do miasta. Później, po przeprowadzce do Białegostoku, z przyzwyczajenia wybrały sobie tutaj lekarza pierwszego kontaktu i z nim przeżywały kolejne reformy służby zdrowia, remonty gabinetów, przenosiny z piętra na piętro. Wreszcie tutaj oddały pod opiekę pani położnej swoje dzieci.

Wszystkie siostry z wyjątkiem jednej. Jej, pochodzącej z wielodzietnej od wieków rodziny.

Martyny.

Chciała rozpieszczać nie tylko siostrzenice, chciała wybierać zabawki nie tylko pod kątem ich zapotrzebowań, ich wieku. Chciała rozpieszczać swoje dziecko. Poczucie w brzuchu jego pierwsze ruchy, ciepło jego małego ciała przy swoim, przy swojej piersi, zabawiać, robić wszystko,

żeby wzbudzić jego śmiech, wyczuwać pierwsze ząbki, nauczyć tego wszystkiego, czego nauczyła ją matka. Dać własnemu dziecku to ciepło, którego sama doświadczyła.

Plakat na ścianie zaczął się nagle rozmazywać przed jej oczami, stracił ostrość, kontury wygładziły się do tego stopnia, że niewiele można było rozróżnić, ale Martyna z uporem maniaka wpatrywała się w jeden, ciągle widoczny element. Głowę kobiety pochyloną nad małym ciałkiem, przytulonym do jej piersi. Uśmiechniętą, szczęśliwą, pełną naturalnej kobiecości. Aż wreszcie i to znikło, przysłonięte dwiema wielkimi łzami, które przepełniwszy oczy, potoczyły się po policzkach Martyny, a przebywszy tę drogę spadły na jasne spodnie. Pochyliła głowę i spojrzała na dwie kropki, jakby nie rozumiejąc, skąd się tu wzięły.

- Proszę, pani weźmie - dobiegło ją z boku.

Podniosła głowę i nieprzytomnym spojrzeniem obrzuciła właścicielkę głosu, przesunęła wzrokiem po wyciągniętej dłoni, w której tkwiła ni mniej ni więcej tylko paczka chusteczek.

- Dziękuję - siąpnęła.

- Wie pani co? Mnie się nie spieszy, ja mogę tu jeszcze chwilę poczekać - młoda kobieta przesunęła książkę spoczywającą na kolanach i położyła rękę na wypukłym brzuchu. - Proszę wejść przede mną. To już zaraz, gdy wyjdzie pacjentka.

- Nie, nie mogę, przecież... - Martyna wskazała brzuch - chyba lepiej, żeby pani nie czekała.

- Skąd - kobieta machnęła ręką. - Mamy się świetnie, a dzisiaj czeka nas tylko rutynowa wizyta. - Przyjrzała się Martynie i odbierając chusteczki, pogłaskała ją delikatnie po dłoni. - Pani chyba bardziej potrzebuje.

- Dziękuję - wyszeptała Martyna, dławiąc się od kolejnego, zupełnie niekontrolowanego napadu łez.

- Proszę. Aha, a to się pani pewnie jeszcze przyda - wcisnęła jej z powrotem w dłoń paczkę chusteczek i uśmiechnęła się przyjemnie.

Martynie ta kobieta wydała się w tej chwili niemal aniołem. Miała taką łagodną twarz, życzliwą, uśmiechniętą i otwartą, a, na domiar wszystkiego, słońce, wpadające przez okno, tworzyło naokoło jej jasnych włosów swoistą aureolę. Gdyby nie to, że drzwi gabinetu właśnie się otworzyły, a ze środka dobiegło tubalne „proszę”, mogłaby siedzieć i patrzeć w twarz nieznajomej jeszcze długo. A na pewno chciałyby się przekonać o jej cielesności. Kobieta jednak zachęcająco wskazała ręką drzwi i powróciła do czytania książki, zupełnie nieświadoma swojego uroku i czaru, który emanował z niej jak intensywny zapach.

Cudne.

Martyna otrząsnąwszy się, usiadła na wskazane krzesło. Powrócił lęk i niepewność, więc zaczęła bezwiednie rozpinąć i zapinać zamek od torebki.

- Nazwisko... Pani Kasiu, poproszę kartę.

Jedyną rzeczą, która wskazywała na wpływ czasu na doktora Skabca, były coraz mocniej siwiejące, niegdyś czarne włosy. W dalszym ciągu był szybki i konkretny. Przejrzał jej kartę, marszcząc brwi, na co Martyna zareagowała szybszym powtarzaniem manewru z zamkiem. No zgadza się, nie była tu od wieków, zapominała, nie miała czasu, itp., itd. Hołdowała zasadzie, że dopóki nic jej nie dolega, należy omijać gabinety lekarskie szerokim łukiem i nie wywoływać wilka, patrz: choroby, z lasu.

- Kiedy była ostatnia cytologia? - pan doktor widocznie tak nie uważał.

- Hm... yyy...

- Dobrze, zaraz zrobimy, proszę powiedzieć, co dzisiaj panią do mnie sprowadza?

- Mam... mam... - Martyna zaczęła się zastanawiać, jak temu obcemu człowiekowi powiedzieć wszystko, co zaczęło się kołatać po jej głowie dobrych parę godzin temu, wreszcie zostawiła w spokoju zamek i zaczęła wyliczać:  
- Panie doktorze, dzisiaj jedna z moich klientek... znaczy... rozmawialiśmy... Panie doktorze, niedawno wyszłam za

mąż i... ciągle próbujemy, ale niestety bezskutecznie, nie zabezpieczamy się w żaden sposób, ale ja... ciągle... nie mogę zajść w ciążę - wypaliła wreszcie, wpatrzyła się w lekarza, dając mu do zrozumienia, że nic więcej do dodania nie ma, oddaje mu się w opiekę i liczy na cud.

- Rozumiem... Mówi pani niedawno, więc jak długo staracie się państwo o dziecko?

- Około trzech lat.

- Bez żadnych środków zapobiegawczych?

- Na ogół.

- Tak... - Doktor potarł brodę, po czym przekartkował swój notes. - Teraz panią zbadam, pobierzemy materiał do cytologii, a później... - Zwrócił się do pielęgniarki: - Pani Kasiu, proszę mi powiedzieć, ile jeszcze zostało pacjentek?

- Cztery.

- Dobrze, a później, za jakąś godzinę, półtorej, proszę czekać na górze, zrobimy USG. Dam pani skierowanie na badania, najpierw trzeba będzie ustalić poziom hormonów, a później wziąć się za ustalenie przyczyny. Proszę się nie martwić - dodał, łagodnie się uśmiechając - damy radę.

O ile przed gabinetem, czekając na USG, zdołała się uspokoić i wmówić sobie, że faktycznie „damy radę”, o tyle po wyjściu i dokładnym przebadaniu zyskała pewność, że z tym daniem rady niekoniecznie może być tak różowo. Oparła się plecami o ścianę i po raz pierwszy od momentu, kiedy zaczęły się w niej budzić wątpliwości, pomyślała o telefonie do Czarka. Wyjęła aparat, zaczęła szukać jego numeru w ostatnich połączeniach, po czym odłożyła telefon z powrotem do torebki.

Nie ma sensu. Za chwilę będzie w domu, dzisiaj dużo wcześniej niż zwykle, a tam już będzie mąż. Mąż, na którego barki pozwoli sobie zrzucić chociaż malutką część tego paskudnego balastu. On przytuli, powie, że wszystko będzie dobrze. Że przejdą wszystkie badania razem, leczenie... Że przecież

są we dwoje, gotowi użyczyć jedno drugiemu ramienia, kiedy będzie trzeba. Westchnęła i oderwała się od ściany.

\* \* \*

Na klatce schodowej owionął ją, oprócz znajomego chłodu, zapach sosu pomidorowego, czosnku i cebuli. O to, to. O to właśnie chodzi, uśmiechnęła się do siebie półgębkiem. Ukochany facet nakarmi jednym ze swoich specjałów, przytuli i da jej taką ilość otuchy, że nie będzie potrzebowała niczego więcej.

Chwilę po otwarciu drzwi ukochany facet zmateriałizował się w przedpokoju, bez koszulki, ze ścierką przerzuconą przez ramię, w krótkich spodenkach i... z wyrazem lekkiego zaskoczenia na twarzy.

- Ooo, już jesteś?

- Jestem i...

- Czarus...? Kto to przyszedł? - dobiegło z kuchni.

- Znowu zapomniałeś zamknąć... drzwi...? Ooo, cześć, Martynko.

- No cześć! - Na widok Doroty odzianej w kusą sukieneczkę Martyna zawyła w środku z wściekłości. Na zewnątrz wściekłość ta objawiła się zaciśnięciem pięści z taką siłą, że paznokcie boleśnie wryły jej się w dłoń.

- A my tu właśnie szykujemy dla ciebie obiad czy kolację, w zależności od tego, o której byś wróciła. A wracasz późno, więc chyba raczej kolację. - Przytknęła palec wskazujący do nosa, po czym roześmiała się dźwięcznie.

Tego śmiechu Martyna też nienawidziła, bo w chwilach radości zawsze wydobywał się z jej gardła niekontrolowany rechot, a ta tutaj umiała się nawet pięknie śmiać. Martyna odniosła niejasne wrażenie, że urok tego śmiechu pozostawał w zależności do tego, kto był akurat obiektem radości. Dlaczego wydawało jej się, że Dorota z niej potrafi śmiać się najpiękniej?

- Fakt, raczej na kolację... chociaż dzisiaj, wyjątkowo na obiad - dodała przekornie, odkładając torebkę na szafkę. Jednocześnie zarejestrowała dwie rzeczy, że śmiech Doroty wywołał u Czarka delikatny uśmiech, i ślady sosu pomidorowego w kąciку wymalowanych na różowo, pełnych ust.

- Chodź, chodź. - Dorota zachęcająco machnęła ręką.  
- Wstawię wodę na herbatę, pewnie jesteś zmęczona? Napijesz się, bo sos już właściwie jest gotowy, jeszcze tylko makaron wstawimy. Czarek, no nie stój tak, znajdź makaron.

Chyba jeszcze nigdy, przynajmniej nie pamiętała takiego momentu, emocje Martyny nie były wystawione na taką próbę. Wszystko w niej wrzeszczało o pomoc. Nie potrafiła poradzić sobie z problemem, który spadł na nią dzisiaj nieoczekiwanie, poza tym nie umiała nigdy poradzić sobie z sytuacjami, gdy dla niej było jak najbardziej jasne, jak się człowiek powinien zachowywać. Nie była w stanie pojąć, dlaczego ta kobieta czuje się jak u siebie w domu, pogania jej męża, gotuje w jej kuchni i uważa to za rzecz naturalną. Co zrobiłaby Martyna, będąc na jej miejscu? Zmyłaby się delikatnie i bez szumu, czując się cholernie głupio. Bo to bezczelność. A jak wytłumaczyć człowiekowi, że jest bezczelny, a jeśli nie bezczelny, to na pewno nietaktowny? No do cholery, sam powinien to wiedzieć, a jeżeli nie wie... no cóż, tutaj właśnie, w tym dokładnie punkcie, Martyna rozkładała ręce i nie umiała znaleźć na to rady.

Patrzyła po prostu, jak ta obca kobieta szarogęsi się w jej domu, pije kawę z jej ulubionego kubka, przestawia, ustawia, zmywa, mlaska bosymi stopami o posadzkę i czuje się tu jak najbardziej na miejscu. Martyna w zdumieniu obserwowała jej poczynania, smukłą sylwetkę przesuwaną się w tę i z powrotem i nie mogła dać wiary dwóm rzeczom. Po pierwsze - samej sobie, że siedzi beczynn timer, jak zamurowana, po drugie - temu brakowi delikatności, który przecież każda kobieta powinna mieć jakby... Wrodzony?

- Co tam w pracy?



- Dobrze, jak zwykle dużo ludzi, dużo malowania, ścinania i w ogóle - odparła jak robot, wpatrując się w wyszczerbiony kubek z herbatą, który dziwnym trafem przypadł jej w udziale.

- No faktycznie, ciekawą masz pracę, prawda? Tyle mądrych głów ufryzujesz, tylu ludziom stworzysz zupełnie nowy wizerunek. - Dorota klapła naprzeciwko niej i oparła dłoń o podbródek. - Nie to co u mnie. Ech, dzisiaj znowu dyrektor przegadał ze mną dwie godziny na temat nowej kampanii marketingowej.

No tak, ty przecież nie jesteś jakąś tam fryzjerką, tylko dyrektorem do spraw marketingu.

- No i już sama nie wiem, dwoję się i troję. - Dorota westchnęła teatralnie, zakładając jedną szczupłą nogę na drugą. - Pojęcia nie mam, co jeszcze mogę wymyślić.

A kogo to interesuje? Przemknęło Martynie przez głowę, ale okazało się, że jednak kogoś tak.

- O, a czego ma dotyczyć ta nowa kampania? - wtrącił się Czarek, wciskając spaghetti do bulgoczącej wody.

- Piwa. - Dorota machnęła ręką. - Coś wreszcie trzeba zrobić z Dojlidami.

- No fakt, niewiele się dzieje.

- A tu się mylisz, mój drogi, w browarze dzieje się wiele, tylko nikt o tym nie mówi, a tym samym nikt nic nie wie. I w tej chwili ta kampania to priorytet, wprawdzie sezon zbliża się ku końcowi, ale chodzi raczej o następny rok. Zamieszaj, bo przystanie.

- Nic nie przystanie, zawsze jakoś sobie radzę, a ty zawsze musisz mnie poprawiać. - Zamachał w jej kierunku łyżką, uśmiechając się przekornie.

- Bo ty lubisz, gdy cię poprawiam.

Martyna z hukiem odsunęła taboret. Musiała stąd wyjść, bo za chwilę najzwyczajniej w świecie zahaftuje cały kuchenny stół. Pewnikiem coś poleci też na nieskazitelną sukienkę Doroty, to akurat mógłby być plus, ale nie mogłaby chyba później już jeść przy tym stole.

- Martynko... gdzie idziesz? Poczekaj, już za chwilę będzie jedzenie - rzuciła Dorota, przyglądając się jej badawczo.

- Eee, muszę... zadzwonić - wystękała z trudem.

- No to wracaj prędko, bo wystygnie, dobrze?

Kur.... twoja mać!

W pokoju rozmasowała obolałe szczęki i starając się nie zwracać uwagi na rozmowę, która jakby nigdy nie toczyła się dalej w kuchni, wystukała na numer Anity rozpaczliwego SMS-a. „S.O.S. Jesteś w domu?” Długo nie musiała czekać na odpowiedź. „Jestem i bede, dawaj”. Och, ty moja babo kochana: „Dam za jakąś godzinke”. „OK, czekam”. Odetchnęła głęboko, schowała telefon do torebki, po czym na powrót zacisnęła zęby i ruszyła do kuchni, wściekła na siebie, smutna dla świata, rozżalona na męża.

# 5

Anita podciągnęła nogi pod siebie i łyknęła solidnie mrożonej kawy. Siedziały właśnie z Iwoną na krzesłach przed domem i obserwowały dzieci pluskające się w dmuchanym basenie.

- Jak się udała impreza?

Iwona wzruszyła ramionami.

- Czy ja wiem? Chyba dobrze.

- Chyba?

- Dobra, nigdy więcej nie pojedę na takie firmowe ognisko, na żaden firmowy wyjazd ani w ogóle nigdzie ze znajomymi Daniela z pracy. - Iwona wykrzywiła się ze złością.

- O, aż tak źle? - Anita przyjrzała się przyjaciółce.

- Źle? Nie wiem sama, czy źle. Nic już nie wiem. Powiedz mi, Anita, z łaski swojej, jak można konkurować z tymi świeżymi panienkami, czym można w ich towarzystwie zaimponować. Inaczej, czym mogę zaimponować ja, matka dwojga dzieci, kobieta skupiona na domu i szyciu dziecięcych ubranek na przedszkolne imprezy? Hę?

- A musisz im czymś imponować? To już samą sobą nie da rady?

- Żartujesz? Nie znaczę w tym towarzystwie nic, a Daniel raczył mi o tym niejednokrotnie przypomnieć publicznie. Tekstami typu: o popatrz, dobrze byłoby gdyby moja żona też tak, gdyby też się zajęła tym czy tamtym. Robiłam za tego czarnego osła czy pochyłe drzewo, czy innego Stańczyka.

- Pleciesz.
- Nie plotę, gdyby nie Jacek, wróciłabym po półgodzinie, choćby z buta, do domu.
- O, a cóż takiego zrobił Jacek? A to w ogóle kto, ten podopieczny Daniela? - Anita wychyliła się do przodu, przyglądając się dzieciom.
- Tak jakby... - Iwona przesunęła palcem po zimnej powierzchni szklanki, ściągając szron i uśmiechnęła się lekko. - W sumie nic nie zrobił, po prostu ze mną gadał, nie zwracał uwagi na docinki Daniela, nie śmiał się razem z innymi, rzucał riposty, aż wreszcie dali mi spokój.
- Taki rycerzyk?
- Aj tam, rycerzyk! Poza tym bez ironii, ja cię bardzo proszę. Szanuje mnie jako człowieka, jedyny w tym całym towarzystwie.
- Sama sobie przeczysz.
- Dlaczego?
- Przed chwilą się głęboko zastanawiałaś, jak możesz temu towarzystwu zaimponować, a teraz wychwalasz pod niebiosa tego, który szanuje cię za coś innego. Tłumacz się...
- Michał? Żyjesz? - rozdarła się nagle Iwona w kierunku basenu, zaniepokojona nieobecnością syna.
- Żyje, mamusiu, on chce być nurkiem i musi ćwiczyć oddech - odpowiedziała za brata siostra.
- A dlaczego ty mu w tym pomagasz? - zainteresowała się Iwona.
- Bo sam to wypływa. A nie chce wypływać.
- Puść go.
- Nie mogę, bo jeszcze nie minął czas - oburzyła się córka.
- Puść, bo nie będziesz miała brata w ogóle.
- A czemu?
- Olkaaa!!! Utopisz go!!!
- Aha - mruknęła dziewczyna, po czym z niechęcią puściła wąż ramionka brata.

- Słuchaj - Iwona zwróciła się do Anity - może by ich wyciągnąć z tego basenu? Bo się potopiają albo coś?

- Jak chcesz, ale siedzimy tu przecież. - Anita wzruszyła ramionami, przyglądając się przyjaciółce badawczo.

- Niby tak, ale... Może film jakiś im puścić, bajkę jakąś... bo coś mi się wydaje... - Iwona zakręciła się niespokojnie na krześle.

- A mnie się wydaje, że unikasz tematu, moja droga, i chcesz mnie zbyć. Znamy się.

Anita wyciągnęła wskazujący palec w kierunku klatki piersiowej przyjaciółki. Nie naciskała jednak, tylko czekała, bo Iwony nie można przycisnąć, czy raczej wiadomo było, że przyciśnięta nie piśnie ani słówka prawdy, a wręcz przeciwnie. Zacznie tworzyć swoją rzeczywistość, taką dla ludzi, wygodną, miłą i do przyjęcia. Niewykluczone, że przez nią samą też. Więc Anita czekała cierpliwie, mając nadzieję, że zdążą pogadać, zanim przyjedzie Martyna ze swoim S.O.S.

- Widzisz, ja chyba już nie dam rady... - padło w końcu z krzesła obok.

- Z...?

- Ze wszystkim po kolei. Z samą sobą chyba też.

- Dasz, dasz, spokojnie.

- Kiedy widzisz... - Iwona wpatrzyła się w piankę osadzającą się na ściankach szklanki, po czym zakręciła w zadumie resztką kawy. - Niby nie ma żadnych kłótni, tylko skąd mają się wziąć, skoro ze sobą nie rozmawiamy? Chwilami mam wrażenie, że Daniel najzwyczajniej w świecie mną gardzi. Denerwuje go wszystko, a już ścinki z moich prac najbardziej, chociaż... sama nie wiem. Chciałabym z nim pogadać, zapytać o zdanie, ale jak mogę zapytać, skoro na widok mojej maszyny i nowych sukienek dostaje białej gorączki?

- A gotowanie? Nietrafiony pomysł, co?

- No właśnie, robię wszystko tak, jak chce, staram się i co mi z tego starania wychodzi? To, że jestem we własnym domu uważana za osobę niższej kategorii.

- A może za bardzo się starasz? - Anita weszła jej delikatnie w słowo.

- Że niby jak? - Iwona wyprostowała się nagle, z hukiem odstawiając szklankę na stolik.

- Normalnie. Nie denerwuj się.

- Ty mi nie mów, że mam się nie denerwować, tylko powiedz, o co ci właściwie chodzi.

Anita westchnęła i przez chwilę wymyślała sobie od najgorszych, ale po chwili doszła do wniosku, że wypadaloby nieszczęsną Iwonę lekko naprostować.

- Powiedz mi, gdzie jeździliście w tym roku na urlop? - zapytała w końcu.

- A co to ma do rzeczy?

- Powiedz.

- W góry, przecież wiesz - Iwona wzruszyła ramionami.

- A w zeszłym roku i dwa lata temu?

- Też. Jezu, Anita, albo powiesz, o co ci chodzi, albo za chwilę naprawdę wyjdę z siebie.

- Uspokój się, powiedziałaś, i odpowiadaj na pytania, tak?

Wpatrzyła się w przyjaciółkę, która uniosła twarz ku słońcu i chwilowo, wraz zamknięciem oczu, zamknęła również usta. Anita dałaby sobie rękę uciąć, że w Iwonie toczy się teraz walka. Ciekawość kontra niechęć do wiedzy. Ciekawość wrodzona, kształtowana przez wiele lat, pielęgnowana i będąca źródłem dumy Iwony. Niechęć do wiedzy nie do końca uświadomiona, bo Iwona nie była pewna, czy ma ochotę usłyszeć coś, co może być prawdą. Anita w kwestiach damsko-męskich uchodziła za autorytet, ale jej wiedza może zabołeć.

Jaki normalny człowiek ma ochotę słyszeć mało pochwalebne opinie na swój temat? Żaden. Na dodatek Iwona należała do osób, które konfrontacji unikają jak ognia. Więc jeżeli zdecyduje się na tę cholerną gierkę przyjaciółki, która nie wiadomo do czego zmierza, to niewykluczone, że będzie musiała się bronić. A jeżeli jej się to nie uda,

to będzie musiała przyznać jej rację, a to z kolei nie wchodziło w grę. Bo ona jest przykładną żoną, taką, która od wielu lat robi wszystko, żeby tylko dogodzić mężowi. A skoro jest, dedukowała dalej, więc nie będzie miała się przed czym bronić i Anita niech swoje teorie wsadzi gdzieś między bajki.

Ale dobrze byłoby wiedzieć, co to za teorie.

Zerknęła na Anitę i pokiwała głową, wyciągając papierosa z paczki.

- Słucham cię.

- Grzeczna dziewczynka. - Anita uśmiechnęła się szeroko. - Więc od początku waszego małżeństwa jeździcie w góry, tak?

- W dalszym ciągu nie widzę związku, ale tak. Dwa razy tylko, gdy byłam w ciąży, później tuż po urodzeniu Michała, Daniel jeździł sam.

- Iwa, a ty lubisz góry?

- Co to za durnowate pytanie? Pewnie, że lubię...

- Od zawsze?

- Jasne! - Iwona wypuściła dym i wzruszyła ramionami, patrząc na dzieci, które aktualnie ćwiczyły na lalkach oddechy, bardzo dobrze. - Pamiętam, jak najednym z pierwszych spotkań z Danielem zaczęliśmy rozmawiać o tym, kto gdzie lubi spędzać wolny czas. Oj, gdy zaczęła czarować o Bieszczadach, o połoninach, o zadymionym schronisku, metalowych kubkach z gorącą herbatą i rumem, to wzięło mnie. Powiedziałam, że też to uwielbiam i tak zaczęły się nasze wędrówki po górach.

- A do czasu spotkań z Danielem, gdzie lubiłaś jeździć?

- Jak to, gdzie? - Iwona spojrzała na nią nieprzytomnie.

- Gdzie wyjeżdżałaś na wakacje, zanim poznałaś Daniela?

Iwona przyglądała się przez chwilę przyjaciółce, wietrząc co prawda podstęp, ale nie potrafiła go zlokalizować ani w tonie głosu, ani w treści pytania. Sięgnęła więc

pamięcią wstecz i przypomniała sobie beztrioskie wylegiwanie na plaży. Tak! Nagle z białostockich Bojar przeleciała w ciepłym słońcu nad morze. Poczwała zapach słonej wody, silny wiatr, taki, który przenikał na wskroś ubrania i pozostawiał swój dotyk na resztę dnia. A gdy leżała wieczorem pod ciepłym kocem, dalej czuła na nogach, brzuchu jego śmiałe smagnięcia. Woda ją zawsze hipnotyzowała, spacer wzdłuż niekończącego się brzegu przypominał wędrówkę do...

- Mamooo!!!!

Iwona otrząsnęła się, nie wiedząc w pierwszej chwili, gdzie jest. Kiedy zdarzyło jej się ostatnio tak odlecieć? Tak, żeby zapomnieć o całym świecie naokoło? Nie pamiętała. Spojrzała zdumiona na Anitę, a ta uśmiechała się bezczelnie.

- Mamo!!!

- Słyszę cię przecież. Co tam?

- Możemy zrobić siku do basenu?

- Nie. Marsz do domu.

- A czemu?

- Bo do basenu się nie sika.

- A czemu? - Michał potrafił być niezmordowany.

- A zdarzyło ci się, synku, łyknać tej wody, w której sobie teraz brykasz?

- No - potwierdził Michał, po czym wymieniwszy spojrzenia z siostrą, wyskoczyli jak oparzeni z basenu i pognali w kierunku domu.

Między przyjaciółkami zapadła cisza. Jedna zaczęła się intensywnie zastanawiać, dlaczego zapomniała o tym, co lubi, gdzie najlepiej wypoczywa, a druga spokojnie czekała, aż analiza dobiegnie końca. Wreszcie ciszę przerwała Iwona. Zgasła powoli niedopałek w popielniczce i przyrzekała się Anicie z wyrazem niedowierzania w oczach.

- Zapomniałam...

- Wiem.



- Dlaczego? I dlaczego tak niewiele było trzeba, jedno twoje pytanie, żeby sobie przypomnieć?

- Bo za dużo rzeczy ci się nazbierało.

- Jak to?

- Normalnie - Anita wzruszyła ramionami. - Obserwuję cię od dłuższego czasu, patrzę jak na spotkaniach, w których uczestniczy Daniel, wybierasz piwo, którego nie znosisz. Z nami zawsze sięgasz po czerwone, wytrawne wino. Wybrałaś pracę, którą on ci polecał, chociaż z księgowością masz tyle wspólnego, co ja z archeologią.

- Nieprawda - zaprotestowała słabo Iwona. - Wybrałam księgowość, bo to zajęcie o wiele bardziej dochodowe niż...

- No właśnie, niż co? - Anita machnęła ręką, po czym pochyliła się w kierunku przyjaciółki. - Zaczęłaś słuchać takiej muzyki jak on, wybierać te same książki, zachwycać się wyjazdami w góry, których przecież nienawidzisz. Ile razy wracałaś zmordowana do granic możliwości, a później musiałaś długo dochodzić do siebie po tym - tu Anita wzięła w cudzysłów wypowiedziane słowa - wypoczynku?

- Hola, hola, co ty właściwie usiłujesz mi powiedzieć? Taka jestem i tyle.

- Sęś w tym, że nie. Siedziałam cicho, może niepotrzebnie, ale po tej akcji z gotowaniem nie mogę dłużej patrzeć na to, jak się katujesz. - Położyła dłoń na ramieniu Iwony i uśmiechem próbowała załagodzić nieprzyjemne słowa.

- Wiesz co? Wsadź sobie te swoje teorie gdzieś!  
- Iwona straciła jej rękę i wyprostowała się gwałtownie na krześle. - Sugerujesz, że podporządkowałam mu się całkowicie, że nie mam własnego zdania i niewiele się różnię od tych gałganków, które szyję? Tak? To właśnie próbujesz powiedzieć?

- Iwa, daj spokój...

- Nie dam spokoju. Wiesz, to przykre, że w pewnym momencie dowiadujesz się, że własna przyjaciółka ma cię za nic, za popychadło, za... za... - wzdygnęła się i nie

znajdując już więcej słów na swoje oburzenie, ryknęła do dzieci: - Ubierać się! Wracamy do domu.

- Iwa, czekaj, zaraz przyjedzie Martyna, pogadajmy spokojnie...

- Tak? Spokojnie? Ona też ma takie samo zdanie o mnie, jak ty? Nie, to ja dziękuję bardzo. Już wystarczająco dużo się nasłuchiwałam. Przykro, chociaż nie, przykro to mało powiedziane... Ubierać się, powiedziałam. - Ruszyła w stronę basenu i zaczęła energicznie zbierać zabawki. - Sorry za bałagan.

- Iwona!

- Co? Masz mi coś jeszcze przyjemniejszego do zakomunikowania? Chyba niestety podziękuję, wystarczy mi na dzisiaj. Martynie też masz zamiar dać taką dobrą radę? To uważaj, bo w końcu faktycznie możesz zostać samiuteńka w tym pięknym domu, nawiasem mówiąc, chyba nie działa to na ciebie najlepiej. Za dużo dziwnych, niestworzonych rzeczy przychodzi ci do głowy. Daj spokój! - Machnęła ręką na widok otwierających się ust Anity. - Daj już spokój i nic nie mów.

\* \* \*

Łzy leciały jej ciurkiem po twarzy, więc co chwila ocierała je ze złością, nie mogąc się powstrzymać od płaczu. Tak, ze złości też można ryczeć, a jak się do tego doda ogromną dawkę rozczarowania, zawodu, przykrości, to z takim ładunkiem można sobie oczy wysuszyć na amen.

Z furią wciskała do pralki kolejne rzeczy. Jak ona mogła tak powiedzieć? Przyjaciółka od siedmiu boleści... Po tylu latach okazało się, co naprawdę o niej myśli... A przez ten cały czas? Siedziała w tym swoim pięknym domu, gotowała kolejne cud potrawy i ukradkiem podśmiewała się z nieudolności Iwony. Tak było, nie inaczej. Że niby teraz, po incydencie z gotowaniem... Proszę bardzo, tak kończą się babskie przyjaźnie. Zwierza się człowiek, czeka

na dobrą radę, mówi o swoich słabościach, a tu co? Nic, mają cię po prostu, i to już od dobrych paru lat, za idiotkę. Stęknęła, dociskając spodnie Daniela. Po czym z mocą zatrasnęła drzwiczki pralki i ustawiła program.

Dzieci siedziały grzecznie w piaskownicy i Iwona dałaby sobie rękę uciąć, że właśnie kopią grób i stawiają patyczkowy krzyżyk nad świeżo pochowanym robaczkiem. Ot, takie hobby jej potomstwa. Przyglądając się im przez szeroko otwarte okno, poczuła, że jej przyjaźń była takim właśnie robaczkiem. Nic nie znaczącym, malutkim, a teraz, na domiar złego - pochowanym. A może i dobrego? Przypomniała sobie wszystkie babskie wieczory, zarwane noce, wymienianie się ciuchami, anegdotami o facetach, wypite butelki wina... Co z tego, że z nimi piła wino, przecież lubiła piwo. Bardzo lubiła piwo. Przypomniała sobie też wyjazdy nad morze. Ot, po prostu zapadała decyzja, pakowały plecaki, a następnego dnia już brodziły stopami w sypkim piasku...

Kolejne łyzy zamazały jej obraz. Dość tego, zmarnowany czas. Ciekawe tylko, czy Martyna też ma o niej, Iwonie, podobne zdanie. Pewnie tak. Poczwała nagle, że jest samiuteńka. Tak jakby ktoś odsunął w jednej chwili dwie najbliższe osoby, które w trudnych chwilach zawsze były jej podporą. I tym kimś była Anita. Odwróciła się od okna i obrzuciła wzrokiem kuchenne szafki.

Boli, cholera.

Wyciągnęła z torebki telefon i papierosy. Zdaży się wywietrzyć, zanim dzieci wrócą, Daniel też nie powinien nic poczuć. Stanęła w oknie i wydmuchując dym, bawiła się telefonem. Zerknęła na wyświetlacz, nic, cisza. Nawet nie zadzwoni, żeby przeprosić. Ha, inna rzecz, że Iwona nawet by tego telefonu nie odebrała, ale Anita zadzwonić by mogła. Albo napisać SMS-a. Cokolwiek, dać znać, że jest jej przykro. Telefon uparcie przechodził raz po raz w tryb wygaszacza ekranu i ani myślał się odezwać. Więc Iwona postanowiła mu pomóc.

Bez dłuższego zastanawiania się, bez analizowania, wystukała. „Znasz wierszyk o Procie i Filipie? I tak się właśnie kończą przyjaźnie, dwa optymistyczne słowa, *please*, bo oszaleję...”. Wyślij, odbiorca: Jac. Wiadomość wysłana. Wiadomość dostarczono.

Co ja najlepszego wyprawiam, odłożyła telefon ze zgrozą. Co go może obchodzić, że dostałam właśnie kopniaka od najlepszej przyjaciółki, co go może obchodzić, że oszaleję? Dzięki wielkie, Anita, właśnie straciłam przez ciebie rozum.

Odrzuciła telefon ze złością i poszła ściągać poprzednią partię prania z balkonu. Znajome piknięcie zabrzmiało, gdy przekraczała próg dużego pokoju, powoli więc zrobiła zwrot.

„Cudowna kobieta z ciebie, a przyjaźnie babskie kończą się z zazdrości”. Uśmiechnęła się.

„No nie wiem, co do jednego i drugiego mam wątpliwości”...

„Hm, no to jakich optymistycznych słów użyć, żebyś nie oszalała?”

„Racjonalnych”

„Racjonalnych i optymistycznych, trudne...:)”

„Dasz sobie radę, inteligentna bestia z ciebie;)”

Co ja robię? Co ja najlepszego wyprawiam? Iwona oparła się o parapet i po omacku zaczęła szukać paczki z papierosami, cały czas wpatrując się w wyświetlacz.

„Czuję się mile połączony”

„I słusznie”

„Zostawmy moją inteligencję na boku, a skupmy się na tobie...”

„Zamieniam się w słuch...”

„Jest tyle ciepła w twym głosie miła, że nawet lodowiec z torbami byś puściła”

Iwona patrzyła z półuśmiechem na te słowa, gdy telefon zadrgał znowu w jej dłoni.

„Jest tyle wiary w twojej duszy, droga, że ocean spokojny boso przejść byś mogła”

„Jest tyle żaru w twoich słowach, piękna, że ogień z ogniska dałby ci się opętać”

„Wystarczy:) w zupełności...” Jezu, zakończyć to, szybko, jak najszybciej.

„Zawsze do usług, wać pani”

Jak ona powiedziała? Rycerzyk... Paskudnie powiedziała, jak w ogóle wszystko dzisiaj. A co by powiedziała na tego SMS-y? Znajac Anitę, uśmiechnęłyby się w ten swój wszystkowiedzący sposób i stwierdziła, że leci kiczem. Oczywiście z całym szacunkiem, albo bez niego, w zależności od tego, w jakim akurat byłaby nastroju. Czy wybitnie otwartym i szczerym, czy raczej w okrojonym pakiecie. Okrojonym, znaczy, ni mniej, ni więcej, tylko z dodaniem swojego charakterystycznego i ulubionego określenia: **z całym szacunkiem.**

Odłożyła w zamyśleniu telefon, pogłaskała klawiaturę i uśmiechnęła się krzywo. Od teraz nie będzie myśleć, co powiedziała by Anita, jak by zareagowała na to czy na tamto. Rozdział życia zakończony, piekielnie długi rozdział. Fakt, ale trzeba iść do przodu i nie pchać się tam, gdzie cię mieszają z błotem.

Cześć pieśni.

\* \* \*

- Mamusiu, dlaczego się malujesz? - nosek Oli wcisnął się między jej własny a małe lustro.

- Żeby być piękną.

- Jesteś piękna. - Ola zadyndała na krześle przysuwając twarz jeszcze bliżej.

- No to, żeby być jeszcze piękniejsza. Odsuń się, bo zaraz ci grzywkę pomaluję.

- A dlaczego robisz przy tym taki śmieszny dzióbek?

- Podobno każda kobieta tak robi, wiesz? - zaseple-  
niła Iwona, ciągnąc delikatną czarną kreseczkę po górnej  
powiece.

- Ja nie robię.

- No to będziesz robiła.

- Kiedy?

- Gdy zaczniesz się malować.

- Mamooo....?

- He?

- A dlaczego się malujesz?

- Już ci mówiłam.

- A wczoraj nie chciałaś być piękna? - Ola powróciła  
na swoje miejsce, czyli trzy centymetry od lusterka.

- Chciałam.

- To dlaczego się nie malowałaś?

- Eee... Ola, popatrz, gadasz, gadasz i za chwilę prze-  
gadasz bajkę albo Michał zajmie twój program i guzik  
obejrzyś.

- Mamooo...? - zaanonsował swoje przybycie Michał.

Puchatek rozciągnął mu się na koszulce tak, że sprawiał  
wrażenie przeraźliwie chudego, a sama koszulka, nie-  
gdyś ledwie zakrywająca pupę, teraz sięgała synowi aż po  
kolana. Nie ma nic lepszego na zbyt małą odzież nad rywa-  
lizację między rodzeństwem o program w TV.

- Jestem głodny.

- Ja teraz będę oglądać - oznajmiła Olka i ruszyła na-  
tychmiast do pokoju.

- Mamo, ona wczoraj oglądała, a ja nie. Ja nie mogę,  
dlaczego? Mamo, dzisiaj ja.

- No, kochaniutki - Iwona klepnęła go delikatnie  
w pupę - nie jęcz. Zaraz zrobię ci kanapki z masłem czeko-  
ladowym, chcesz?

- Chcę.

- No widzisz? A jutro...

- Ale oglądać też chcę. Dzisiaj. Jutro też. - Michał sta-  
nął w rozkroku, założył ręce tak, że dłonie wystawały mu

aż na plecy, ściągnął brwi i wystawił dolną wargę. Foch na całego.

- Ogląda w tej chwili Ola - Iwona zaczęła malować rzęsy.

- Ale ja też chcę.

- Michał... - zaczęła, ale w jej tonie nie było ani krzty stanowczości, co Michał wychwycił w mig, jak zwykle zresztą w konfliktowych sytuacjach.

- Mamooo, ona wczoraj oglądała, to niesprawiedliwe, mamooo, ja chcę...

- Co tu się dzieje, czy ja chociaż raz mogę wyszykować się do pracy w spokoju? - w drzwiach stanął Daniel opasany ręcznikiem.

- Możesz, możesz. - Iwona zerwała się od stołu. - Zrobić ci kawy?

- Sam sobie zrobię, Michał, co to ma znaczyć?

- Bo ja... chciałem...

- Wiem, co chciałeś, ale Ola pierwsza włączyła telewizor, a to znaczy, że co?

- Że... ogląda?

- Tak jest, według naszej niepisanej zasady, a niepisanej dlatego, że ty jeszcze nie czytasz. Ten kto pierwszy, ten...?

- Lepszy - dokończył zrezygnowany Michał, po czym usiadł przy stole, naciągając koszulkę na kolana. - Głodny jestem.

- No. Gdzie kawa?

- O widzisz, miałam wczoraj kupić, ale... zrobię ci rozpuszczalnej. - Iwona zakrzętnęła się przy szakach.

- Nie chcę rozpuszczalnej, chcę z ekspresu. - Mąż stanął w rozkroku i założył ręce.

- Dobra, zrób Michałowi coś do jedzenia, ja zaraz skoczę, świeże pieczywo też kupię.

Gdy wróciła, spiesząc się jakby ją gonił sam diabeł, ojciec z synem siedzieli w najlepszej komitywie i pogryzali kanapki z masłem czekoladowym. Jeden miał umazaną

prawie całą buzię, na której wykwitł błogostan, a drugi krańce wąsów, ale pod nimi też się kryło zadowolenie. Iwona przyjrzała się mężowi i skonstatowała ze zdumieniem, że nad ręcznikiem uformował się duży, miękki brzuch. Kiedy on się uformował, ten brzuch? Gdzie się podział kaloryfer? No dobra, może nie kaloryfer, ale żeberka? Czy ona już tak dawno nie widziała go w ręczniku... nie, przecież paradował codziennie, w przeciwieństwie do niej ukazując swoje wdzięki prawie w całej okazałości. Dlaczego więc go nie zauważyła...

- Co?

- Nic.

- Jak nic, przecież widzę, że mi się przyglądasz.

- A tak sobie patrzę. - Iwona z satysfakcją zauważyła, że usiłował wciągnąć to, co już się wciągnąć żadnym sposobem nie dawało. Podeszła do niego i pogłaskała po brzuchu. - Mężniejusz tu i ówdzie.

- Sama mężniejusz - burknął, odtrącając jej rękę. - Źle się odżywiam i takie są tego efekty. Niestety, weekendowe obiady u teściowej nie mogą wystarczyć na cały tydzień.

Auć!

Dlaczego nagle zaczął uderzać w najczulsze punkty? A może zawsze potrafił to robić, tylko że z czasem przybyło mu wiedzy o największych słabościach Iwony i wykorzystywał to perfidnie? Kiedyś tego nie robił. Pamiętała czasy, kiedy gryzł się w język, uśmiechał pobłaźliwie i całował w czubek głowy, traktując niedoskonałości żony jako cechy wyróżniające ją z tego tłumu kobiet, którymi zwykł się otaczać. Nie tak dawno wydawały mu się te niedoskonałości raczej zaletami niż wadami. Dlaczego tak strasznie się zmienił?

Wykładała pieczywo, łykając przytyk, dodając go do poprzednich i jak zwykle powstrzymując się od riposty. Od riposty, która nigdy nie przychodziła na czas. Po paru godzinach nagle olśniewało Iwonę, w głowie formowały się



słowa, którymi mogłaby odeprzeć mężowskie oskarżenia. Ale w tej chwili bolało. A w głowie miała pustkę.

- Co planujesz na dzisiaj? - spytał, włączając ekspres.

- To, co zawsze, poprasuję, spróbuję trochę popracować, przejdę się z dziećmi na spacer, może pojedę do mamy - mówiła do jego pleców, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że Daniel pyta z grzeczności albo z przyzwyczajenia i zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ją słyszy. A gdyby tak spróbować...? Powiedzieć mu jakiś nonsens? Na przykład, że planuje odstawić dzieci do mamy i pojechać na schadzkę z tajemniczym mężczyzną, którego spotkała wczoraj i który... Iwona uderzyła się w czoło. Upał najwyraźniej zaczął roztapiać jej szare komórki.

- Wrócę później, mamy spotkanie i nie wiem, do której się przeciągnie. A może byśmy się na piątek umówili z dziewczynami, co?

- Hm.

- Co? Dobrze byłoby przeprowadzić w końcu chrzest bojowy nowego nabytku Martyny.

To nie samochód, przemknęło jej przez głowę. Stała obok niego, oparła się o szafkę i bezwiednie zaczęła zbierać palcem resztki kremu czekoladowego z talerza Michała.

- No w sumie...

- Pojechalibyśmy do Tymków, sobotę mam wolną, dzieci będą miały się gdzie bawić... Nie jedz tego - obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, zmierzając już z kubkiem w stronę stołu - bo będziesz sama wyglądała jak słoiczek po kremie, hi hi hi! To ja go wczoraj kupiłem, gdzie reszta? Wyparowała, czy zajęły się nią dzieci?

Dobrze wiedział, że Iwona gustowała w słodyczach na równi z Olą i Michałem, a może nawet tak bardzo jak oni oboje razem wzięci. A wczoraj... tak, wczoraj zdecydowanie potrzebowała jakiegokolwiek osłody, więc opróżniła połowę słoika, jak zwykle stojąc przy oknie i używając do tego tylko i wyłącznie wskazującego palca.

- Bardzo śmieszne - wzruszyła ramionami, odkładając talerz do zlewu.

- Ojoj, już się nie obrażaj. To jak, zadzwonisz do dziewczyn? Gdzie moja gazeta? - rozejrzał się nieprzytomnie.

- Tutaj, masz. Nie wiem.

- Czego nie wiesz? - Daniel przesunął kawę, zerknął kontrolnie na zegarek, po czym wziął się do przeglądania prasy.

- Nie wiem, czy zadzwonię.

- Yhm.

- Do dziewczyn.

- Yhm.

- Najprawdopodobniej nie pojedziemy.

- Yhm... - Przewrócił stronę i w tym momencie dotarło do niego, co Iwona mówi. - Jak to nie pojedziemy? A dlaczego?

- Jakoś tak...

- Iwona, na litość, coś się stało?

- Nastąpiła pewna różnica zdań.

Iwona gorączkowo zaczęła się zastanawiać, czego właściwie miała dotyczyć ta różnica zdań, przecież nie powie mu, że chodziło o ich związek. Nie raz już zdarzało jej się wysłuchiwać reprimend za to, że opowiedziała dziewczynom to czy tamto. Daniel był przewrażliwiony na punkcie swojej prywatności. A gdyby teraz powiedziała, o co poszło, zjadłby ją z nogami, a później wypluł tylko sandałki. Brrr, może chodziło o Martynę, że się pokłócili... tak.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

- Jasne, u Martyny są jakieś problemy, a Tymka zdaje się w piątek i sobotę nie będzie. - Odwróciła się plecami i zaczęła zbierać okruszki z szafki.

- Szkoda. - Wrócił do lektury, wzruszywszy ramionami, i temat wydawał się na razie zamknięty. - Aha, Jacek wpadnie gdzieś koło dwunastej. Masz jego numer, prawda?

- Mam. - Iwonę coś połaskotało w brzuchu.

- To się jakoś dzwonicie.

- Tak... - powiedziała wolno. - A powiedz mi, czy on nie może odwozić ci tych wszystkich papierów do pracy?

- Dzisiaj nie odwozi papierów, tylko chemię, taką chemię, z której korzystamy. - Spojrzał na nią znacząco. - Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że przekładanie tego wszystkiego z samochodu do samochodu pod oknami firmy, nie jest raczej w dobrym tonie, tak?

- Tak, tylko...

Chciała mu powiedzieć, że przez przyjazdy Jacka czuje się uwiązana, że musi siedzieć w domu, a jeżeli wychodzi, to musi pędem wracać, żeby nie czekał, bo przecież on oczywiście też się gdzieś bez przerwy spieszy. A w ogóle... to chyba nie chciała być z Jackiem sam na sam. Nie chciała, żeby bawił się z dziećmi tak jak on, Daniel, dawno tego nie robił. Nie chciała, żeby Michał wpatrywał się w Jacka z uwielbieniem i raz po raz prosił o zrobienie niedźwiedzia. Jacek stawał wtedy na czworakach i ryczał donośnie, ganiając ich oboje po całym domu. Nie chciała, żeby pokazywał jej, jak się robi pulchnego omleta. Zaczynała się bać. Czy Daniel nie potrafił tego zrozumieć?

- Tylko co? - Zdenerwował się w końcu i rzucił gazetę na stół. - Przecież i tak siedzisz w domu i nic nie robisz, tak? A skoro nic nie robisz, to mogłabyś dać mu klucze od piwnicy. To tylko o to chodzi, kobieto, przecież nikt nie każe ci dźwigać kartonów. Chodzi tylko o klucze do piwnicy. Nawet to sprawia ci problem?

- Nie o to chodzi...

- A o co? Iwona, zrozum, ja się dwoję i troję, żebyśmy żyli na przyzwoitym poziomie, całymi dniami główkuję, jak zdobyć to czy tamto, a tobie sprawia problem, uwaga - uniósł palec do góry i zaczął cedzić słowa - otwarcie drzwi do piwnicy. Do piwnicy. Nie rozumiem.

- Ale Daniel, ja po prostu... - wyłamała ręce, patrząc na niego bezradnie i nie umiejąc przekazać tego, na czym najbardziej jej zależało. Dlaczego ludzki słownik jest tak cholernie ubogi i dlaczego coraz częściej pojawiają się

chwile, w których dobrze wie, że jakiegokolwiek słowa by dobrała, on i tak nie zrozumie.

- Przestań, proszę cię. Po prostu otwórz mu drzwi i daj te cholerne klucze. Chyba możesz to zrobić - wstał, łyknął kawy i nie patrząc na nią, wyszedł z kuchni. Wyszedł, zostawiając ją w połowie tłumaczenia, prawdę powiedziawszy - na samym jego początku; bezradną i po raz drugi w ostatnich dwóch dniach samiuteńką.

Dzisiaj wyjątkowo nie zaczekała, aż znajomy samochód zniknie z pola widzenia, wręcz przeciwnie, jeszcze nie zgrzytnął klucz w zamku, a ona już sięgała po paczkę papierosów. Chcąc zrobić, po raz pierwszy od wielu miesięcy, coś wbrew stawianym jej wymaganiom, wyszła z papierosem na balkon, zaledwie parę metrów od ich samochodu. Daniel zawsze przed odjazdem obrzucał krótkim spojrzeniem okna, jakby chcąc się przekonać, że zostawia wszystko w należyтым porządku. I dzisiaj też nie porzucił rutyny. Na widok stojącej na balkonie żony na chwilę zastygł zaskoczony, po czym pokręcił głową na znak zniesmaczenia.

Iwona najpierw poczuła się dziwnie zmieszana, ale po chwili nastąpiła dzika satysfakcja. Proszę cię bardzo, mężu. Oto ja. Tak, palę i nie boję się do tego przyznać. A tobie wara od... od... przynajmniej od tego.

- Mamo? - Ola stanęła w drzwiach i wpatrywała się w matkę z zaskoczeniem.

- Tak?

- Dlaczego palisz?

- To taki nałóg. Wiesz, co to jest nałóg?

Ola pokręciła głową.

- Na przykład twoim nałogiem są słodycze, rozumiesz?

- Nie rozumiem. Kanapki też?

- Może i też, ale nałóg to taka rzecz, bez której trudno ci się obejść, na którą zawsze masz ochotę. Zawsze masz ochotę na kanapki?

- No nie.

- A na słodycze?
- Pewnie. - Ola uśmiechnęła się ze zrozumieniem.
- Ale... mamoo...?
- Tak?
- A można mieć więcej niż jeden nałóg? - spytała niepewnie.
- Można, a dlaczego pytasz?
- Bo ja bez wielu rzeczy nie mogę się obejść. Chciałabym na przykład mieć wszystkie *pet shopy*... O, i jak oglądałam w telewizji te reklamy z lalkami Barbie, to ja, mamoo, też się bez nich nie mogę obejść, no i w ogóle dużo jest takich rzeczy. Czy to znaczy, że wszystkie są moimi nałogami?
- Niekoniecznie. To jest raczej maniakalna chęć posiadania, pobudzona stekiem bzdur, którymi faszeruje cię telewizja.
- Co to znaczy maniakalna?
- To znaczy, że masz na jakimś punkcie fisia.
- Nie mówi się fisia, mamoo.
- Mówi, mówi - Iwona odwróciła się od córki i zaciągnęła papierosem.
- To znaczy, że mam fisia na punkcie zabawek?
- A nie masz?
- Mam. - Ola przysiadła na piętach i zaczęła ciągnąć firankę. - A są różne fisie, nie? Tata ma na przykład fisia na punkcie pracy.
- No, nie da się ukryć.
- Ty masz na punkcie szycia sukienek... Wolę twójgo fisia, mamoo.
- Ja też - uśmiechnęła się Iwona, patrząc na małą, jasną głowę.
- A dlaczego mówi się „na punkcie”? To znaczy, że to taki malutki fiś czy jak? Nie rozumiem.
- Tak się mówi i tyle. Punkt znaczy tutaj jakąś dziedzinę, jakąś określoną część naszego życia. Popatrz - twój punkt to zabawki, mój sukienki, a taty praca. Rozumiesz?

- Nie za bardzo, bo moje zabawki nie mieszczą się w jednym punkcie, ich jest tak duuużo - westchnęła z żalem Ola, opierając głowę na kolanach. - A ja chciałabym mieć je wszystkie. Ech, nudzę się mamoo...

- Inteligentni się nie nudzą.

- To nie jestem inteligentna. - Wzruszyła ramionami córka i powtórzyła uparcie: - Nudzę się.

- W telewizji nic nie ma? - Iwona chwilowo miała dosyć przesłuchania, bo w jej głowie zaczął się właśnie rysować nowy strój dla osoby chcącej przebrać się za Barbie. I czuła, że im szybciej przeleje go na papier, tym mniej detali jej umknie. Ale Olka najwyraźniej nie zamierzała się łatwo zbyć.

- Przecież w telewizji są kotlety z bzdur, sama mówiłaś.

- Co? - W pierwszej chwili Iwona nie zrozumiała, skupiona na kolejnych warstwach fioletowego tiulu. - Aaa, nie kotlety, tylko steki.

- Mamo, ale steki to przecież jedzenie...

- Nie tylko. Oj, Olka, czekaj, muszę coś naszkicować.

- Iwona ruszyła w stronę małego pokoju.

- To ja pójdę z tobą. Ustami przecież nie rysujesz.

- Dziecko posłusznie podreptało z mamą. - Dlaczego mówi się mięso bzdur?

- Tu nie chodzi o mięso, chodzi o nagromadzenie, zbiór czegoś. - Iwona wzięła blok do ręki i złapała pierwszy lepszy ołówek.

- Mamooo!!! - dobiegło do nich z pokoju. - Bajka się skończyła!!!

- Zaraz będzie następna - krzyknęła w stronę drzwi i zaczęła rysować rękawy, kombinując od razu kolorystykę.

- Ale ja nie chcę oglądać!!!

- To wyłącz.

- Mamo, co z tym kotлетem, nie dokończyłaś. - Ola przyglądała się, jak ołówek tańczył po kartce, posłuszny długim palcom matki.

- Dokończyłam, nie męcz. Chodzi o nagromadzenie bzdur, na przykład...

- Mamooo, ja chcę pić...

- To się napij - krzyknęła teraz Ola i dodała w stronę mamy: - Ależ z niego dzieciak.

- Kompot się skończył!!!

- Ola, na litość, weź mu nalej czegokolwiek, bo mi ucieknie.

- Co ci ucieknie?

- Pomysł - sapnęła Iwona, raz po raz niecierpliwie odrzucając włosy z twarzy. - I spinkę mi przynieś. Proszę.

- To pomysły uciekają?

- Ola!

- Już idę, ale zaraz przyjdę. A chcesz moją spinkę z żabką?

- Cokolwiek - Iwona zacisnęła szczęki i odetchnęła głęboko parę razy.

Po chwili, z włosami przypiętymi byle jak ogromną, zieloną spinką ze szczyrzącą zęby ropuchą (kto i kiedy kupił Olce to paskudztwo?), zapadła między kartki. Z pomysłu na jedną sukienkę zupełnie nieoczekiwanie wyszła cała seria. Iwona wygrzebywała z pamięci bajkowe postacie, odtwarzała wiernie każdą fałdkę w suto krojonych spódnicach i dziękowała opatrności za swoje dziecięce upodobania. Za to, że każdy animowany film oglądała razem z dziećmi przynajmniej raz w całości, a niektóre fragmenty znała na pamięć. Fakt, że w swoich upodobaniach, co raczej oczywiste, przychyliła się bardziej do gustów córki, dowodził niezbicie, iż Michał niejednokrotnie był przegłosowany w kwestii wyboru tytułu.

Trudno.

Pobiegła do kuchni, nastawiła wodę na kawę i zajrzała do dzieci.

- A wy przebierzecie się wreszcie?

- A my się przebierzemy - odparły chórem, pochylając głowy nad puzzlami. - Zaraz.

Iwona wyróciła oczami. To „zaraz” niejednokrotnie trwało godzinami, ale że grzecznie się bawili, nie zamierzała im przerywać. Wiadomo, przerwana zabawa nie jest tak atrakcyjna i najczęściej się do niej nie wraca, a dzieciaki chodzą po domu i jęczą: mamó, nudzę się. Niech siedzą, dopóki entuzjazm do układania puzzli nie umrze śmiercią naturalną. A ona nie omieszka z tego skorzystać.

Wróciła z kuchni zaopatrzona w kubek z parującą kawą i zasiadła z powrotem do kartek. Podumała chwilę, po czym wyszła na balkon i wbrew zasadzie (kolejnej już dzisiaj, o zgrozo, co jeszcze mogę zrobić wbrew zasadom?) wzięła popielniczkę i postawiła między zaszkicowanymi kartkami. Zamknęła szczelnie drzwi i otworzyła okno na oścież. Daniel zawsze wzdygał się na myśl, co mogłoby się zdarzyć, gdyby zaproszyła ogień, gdyby ktokolwiek zaproszył ogień w tej „rupieciarni”. Poszłoby wszystko z dymem raz dwa. Setki ścinków, zapisanych kartek, bo wszystko to materiał łatwopalny, tak, tak. Iwona wzruszyła ramionami, jakby zależało jej na tym, żeby całą jej ciężką pracę diabli wzięli. Nie, zupełnie jej na tym nie zależało. Łyknęła kawy, zaciągnęła się głęboko dymem i ostrożnie odłożyła papierosa do popielniczki.

Tak. To będzie cała seria, mruzczała do siebie pod nosem. Można ją zatytułować - Księżniczki Barbie albo Magiczny Świat Barbie. Nakładając wstępne kolory na szkice, mierząc długość rękawów i robiąc projekty wykrojów, już widziała tę konkretną część swojego sklepu. Albo wypożyczalni. Wściekle różowa, wielka szafa otwarta na oścież, po obu stronach koniecznie lustra w złożonych ramach, w środku zaś, w równych rządkach, na małych fioletowych wieszakach miniaturowe cuda, pełne tiulu, koronek i zdobień. Do tego można skompletować masę dodatków, jakieś butki, pelerynki... To też mogłaby zrobić sama. Korony, diademy i inne drobiazgi trzeba by zamówić



oddzielnie. Ale hurtem pewnie byłoby taniej. Wciągnęła głęboko dym, sięgnęła po telefon i z przyzwyczajenia zaczęła wybierać numer Anity. Musi jej o tym powiedzieć, musi poinformować współniczkę o nowej kolekcji, która z powodu trendów obowiązujących wśród pięcio- i sześciolatek miała niewyobrażalne szanse powodzenia.

Chwila. Wcisnęła czerwoną słuchawkę, sprawdzając, czy połączenie już zostało nawiązane. Uff, nie, na szczęście. Idiotka...

Przecież już nie ma żadnej współniczki.

Nie ma też z kim podzielić tej euforii.

Westchnęła głęboko, wpatrując się w zarysowane kartki. No i co teraz? Wczoraj myślała tylko o sobie, o tym, że zostały zranione jej uczucia, ale nie brała pod uwagę wspólnych planów biznesowych. Bo jakby nie patrzeć, plany były. I to dalekosiężne. Miała nawiązać współpracę z przedszkolem, niejednym. Tymkowi projekt bardzo się spodobał, zwłaszcza, kiedy przypadkiem natrafił w szafie na zwoje koronek i jaskrawych materiałów uformowanych w zgrabne, malutkie kreacje. Podczas jednej z wieczornych rozmów doszli we troje do wniosku, że można zainwestować w ten sukienkowy interes, a Tymkowi przypadło w udziale bojowe zadanie przekonania Daniela o skuteczności przedsięwzięcia.

Iwona zmrużyła oczy. Pamiętała, jak Anita przekonywała go wtedy, jak odmalowywała krok po kroku kolejne etapy pracy, jak reklamowała Iwonę jako jedyną, która ma magię w paluchach i ogromne zacięcie do pracy. Przytulała się do męża, podstawiała herbatę, przysuwała talerz z ciastkami i w niebywały sposób zdołała go w końcu jakoś nakłonić, żeby „sam” wpadł na pomysł przemówienia Danielowi do rozsądku. Wykrzywiła się. Z niechęcią musiała przyznać, że Anita była mistrzynią subtelnej manipulacji. Potrafiła uderzać w takie struny, że Tymek nie tylko nie zdawał sobie sprawy, że jest sterowany jak marionetka, ale był święcie przekonany o własnej wyjątkowości.

Czy można się tego nauczyć, czy jest to po prostu kwestia charakteru? O ileż łatwiej żyłoby jej się z Danielem, gdyby posiadała tę sztukę. Przez wszystkie lata próbowała podpatrywać przyjaciółkę, stosować jej metody, ale z miernym skutkiem. Po prostu nie potrafiła.

Iwona przeciągnęła palcem po kartkach, z namysłem wybierając pierwsze szkice, przyglądała im się przez chwilę, naniosiła kosmetyczne poprawki, potem odsunęła na wyciągnięcie ręki, przekrzywiła głowę w jedną i drugą stronę, lustrując całość. Wreszcie westchnęła z satysfakcją i schowała parę kartek do foliowej koszulki. Reszta musi poczekać. Wieczorem się nimi zajmie...

Ciekawe, czy nią też Anita manipulowała? Czy dlatego tak świetnie się czuła w jej towarzystwie? Możliwe. Chociaż z drugiej strony, jak wytłumaczyć te ich niekontrolowane wybuchy śmiechu, to odgadywanie bez zbędnego tłumaczenia i na podstawie zaledwie jednego słowa, o co chodzi? Niejednokrotnie bywało, że faceci dostawali w ich towarzystwie białej gorączki, nie łapiąc w ogóle w czym rzecz. Nie mieli pojęcia, co je tak bawi, no i rzecz jasna, zawsze dochodzili do wniosku, że to oni są źródłem radości trzech przyjaciółek. Później trzeba było przeproszać i przez jakiś czas opisywać wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, ale potem przestawiały się znowu na swój tor. Tor monosylab, spojrzeń, gestów i pełnego zrozumienia.

Iwona przetarła oczy. Nie, nie ma teraz ochoty roztrząsać przeszłości i tej przyjaźni, która bynajmniej nie z jej winy zakończyła się ni stąd, ni zowąd. Jakie to wszystko jest nietrwałe, pomyślała filozoficznie i ruszyła do dzieci. Powoli, bez entuzjazmu i znowu z paskudnym uczuciem pustki.

- Co tu się dzieje? - Stanęła jak wryta w drzwiach dziecięcego pokoju.

- Puzzle układamy, mamó - odparł rezolutnie Michał, przytrzymując ni mniej ni więcej, tylko właśnie puzzla.

Przy ścianie. Połowa obrazka już na niej tkwiła zaprzeczając prawo grawitacji. - Jak sąsiedzi, prawda Ola?

- Prawda - niepewnie odparła siostra, wpatrując się w mamę. Zastygła między bratem a ścianą, z klejem w dłoni.

- Ola... - Iwone chwilowo zabrakło słów.

- Mamusiu, nie gniewasz się, prawda? To miała być niespodzianka dla ciebie, bo my te trudne kwiaty układamy i miało być jaśniej w pokoju, weselej, nie gniewasz się, prawda?

Iwona usiadła na dolnym łóżku piętusa. Oparła głowę o drabinki i przyglądała się ścianie pomalowanej niecałe dwa miesiące temu jej własnymi rękami.

- Mamusiu, dobrze się czujesz? - Ola rzuciła niezakrecony klej na dywan i podbiegła do matki.

- Ola... powiedz mi, dziecko, ile ty masz lat?

- No siedem. - Dziecko wzruszyło ramionami.

- A powiedz mi, czy siedmioletnie dziecko wie, że puzzli nie powinno się przyklejać do ściany? Zwłaszcza w świeżo wyremontowanym pokoju? Michał, odłóż to, proszę - rzuciła w kierunku syna, który wziął sprawę w swoje ręce i zaczął z wywalonym na brodę językiem smarować trzymany w dłoniach fragment układanki. Spojrzył na nią nieprzytomnie.

- Ale, mama, teraz nie można przerwać, zobacz, brzydko wygląda. - Poprawił spadającą z ramienia koszulkę i zadreptał z bosymi stopami w rozmazanym kleju.

- Zostaw to, powiedziałam, i idź myj ręce - ton głosu matki nie wróżył niczego dobrego, więc Michał ruszył w stronę łazienki.

- Kapatcie najpierw załóż.

- Ale gorąco.

- Nałóż kapatcie, powiedziałam.

Gdy syn wreszcie wyszedł, patrząc co chwila na stopy i nie mogąc zrozumieć, dlaczego kłapki, które zawsze stukały mu o pięty nagle przestały stukać, Iwona zwróciła się do córki.

- Ola, co się stało?  
- Nic się nie stało, chcieliśmy ci zrobić niespodziankę... Mamo...?

- Cisza, teraz ja zadaję pytania, wiem już, ile masz lat, a teraz może mi odpowiesz, czy siedmioletnie dziecko wie, co się robi z puzzlami?

- No wie.

- Aha, a ty też wiesz?

- Wiem. - Ola wzruszyła ramionami i marszcząc brwi, wpatrywała się w oczy matki.

- Nie rób min, tylko posłuchaj...

- Nie robię min. Mamo...? - wyciągnęła rękę w kierunku twarzy Iwony, ta jednak odsunęła się nieznacznie i wystawiła wskazujący palec.

- Nie ma mamo, słuchaj mnie, powiedziałam. Od dzisiaj jesteście cały czas na widoku, nie ma siedzenia za zamkniętymi drzwiami pokoju, nie ma zabawy tylko z Michałem, mam was cały czas widzieć. Nad podwórkiem się jeszcze zastanowię, ale też wolałabym, żebyście byli cały czas pod moim nadzorem. Nie jęcz, okazuje się, że chyba wróciłaś na poziom czterolatki, więc muszę cię cały czas pilnować. Tak samo jak Michała - mówiąc te słowa, widząc, jak Olga się kurczy, poczuła się paskudnie.

Nie ma nic gorszego jak zdegradować dziecko, nie ma nic gorszego jak wmówić mu, że zachowuje się beznadziejnie, że zawiodło nadzieje, że właściwie jest do niczego. Ile razy Iwona tłumaczyła sobie, że nigdy, przenigdy nie użyje takich samych argumentów wychowawczych jak jej matka. Nigdy nie da dzieciom poczuć się tak, jak ona zawsze się czuła. Zawsze poniżej oczekiwań. Oparła łokieć na kolanie, oparła czoło o dłoń i zamknęła oczy. - Też idź umyj ręce.

Boże kochany, nie chcę przecież moim dzieciom wpoić tej samej niepewności, z którą ja musiałam walczyć. Podniosła głowę i wpatrzyła się w niedokończony obrazek. Obrazek nędzy i rozpaczy. I nie da się ukryć, że zareagowała impulsywnie, w sposób, w jaki zawsze reagowała jej

matka. Ale jak miała się inaczej zachować? Dlaczego, do cholery, nikt nie napisał dokładnej instrukcji postępowania z dziećmi? Dlaczego zawsze, wbrew własnej woli i zamiarom, powtarzało się błędy wychowawcze rodziców?

Do jej uszu dobiegł szmer szeptów... Poczekać jeszcze chwilę, pomyślała, bo ja dalej nie wiem, co z tym zrobić, chwilę, proszę...

- Nie wchodź tam lepiej.
- Poczekać, zaraz dam ci klucze, nie wchodź, wujek.
- Uspokójcie się, dobrze. Mama to nie lew, a nawet jeżeli w tej chwili tak wygląda, to i tak damy sobie radę. Cześć! - W drzwiach stanął Jacek i jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Przede wszystkim rzuciło mu się w oczy, że „lew” ma rozmazane oczy, przypiętą do grzywki ogromną ropuchę i bliżej mu raczej do kupki nieszczęścia niż do króla zwierząt.

- Za lwa masz w dziób - rzuciła kupka spod uśmiechającej się żaby.

- Proszę bardzo, Iwona... Wiesz co? Zabiorę dzieci, pomogą mi trochę z drzwiami i w ogóle, a ty... Ty może zrób mi kawę? - Instynkt podpowiadał mu, że lepiej nie sugerować doprowadzenia się do porządku, bo będzie mógł zapomnieć o kawie i wstępie za próg tego domu.

- Dzieci są w piżamach - rzuciła przytomnie Iwona, przyglądając się dwóm głowom wystającym z obu stron Jackowych spodni.

- To my się szybciotko przebierzemy - wrzasnęły chórem głowy i wpadły do pokoju.

- O, bardzo dobrze, aja w tym czasie wyładuję, co trzeba z samochodu.

Ola pierwsza zrzuciła koszulkę nocną i wcisnęła się w bluzkę i legginsy, po czym podeszła do matki, położyła jej rękę na ramieniu i patrząc poważnie prosto w oczy, powiedziała:

- A mówiłaś mi, mamo, że kobiety się malują, żeby być piękniejsze, a to chyba nieprawda...

- Dlaczego? - Iwona spojrzała na córkę, nie rozumiejąc.
- Chodź już, Olka, chodź. - Michał w locie wkładał nogawkę krótkich spodenek.

Kawy, kawy! Proszę cię bardzo, ale wypijemy ją w dziecięcym pokoju, najlepiej z Michałem na moich kolanach, a Olką uczepioną twoich spodni. Co innego SMS, bezpieczny, wykluczający bezpośredni kontakt. Można w nim napisać wszystko, na co ma się ochotę, nie widząc twarzy, gestów, nie słysząc głosu. Co innego real, w którym człowiek, zwłaszcza człowiek niezbyt pewny siebie, cedzi słowa i stara się mówić tylko to, co niezbędne, nie pozwala wychodzić poza sferę domysłów, nie daje możliwości wyciągnięcia z tych słów najdrobniejszego dwuznacznika. Iwona, przechodząc przez przedpokój, po raz kolejny zarzuciła sobie wczorajszą bezmyślność, a wymyślając sobie od najgorszych, bezwiednie zerknęła w lustro. Co ta Olka mówiła, że nieprawda... Prawda... O żesz ty.

Stanąła jak wmurowana i wpatrzyła się w odbicie podstarzałej lolitki, z dziecięcą spinką w potarganych włosach i czarno-niebieskimi obwódkami wokół oczu. Żabi uśmiech jakby się nieznacznie poszerzył, więc Iwona zerwała paskudztwo z głowy i ruszyła do łazienki. Zła na siebie; bo przecież nie malowała się od... od dawna, zła na Jacka, delikatny taki, mógł powiedzieć, że wygląda jak upiór, obrócić w żart. Nie, on tylko poprosił o kawę, dobrze wiedząc, że będzie przechodziła obok lustra, że na pewno w nie zerknie, wiadomo, jak to kobieta, no i że później będzie się czuła z tą nadwyreżoną kobiecością nieco parszywie.

Świnia. Uwzięli się wszyscy na nią i tyle.

Ledwie zdążyła zmyć z twarzy ślady porannego upiększania, kiedy w drzwiach rozległy się wesołe głosy dzieci.

- Jak tam? Kawa już jest?

- Nie. Nie ma i nie będzie. - Oparła się plecami o ścianę, zakładając ręce z tyłu.

- O, a dlaczego? Ja się namęczyłem, natargałem... - Jacek przyjrzał jej się badawczo.

- Ja też się namęczyłam, wiesz...

- Wiem - uciał, mijając ją w przejściu, po czym mruwnął z uśmiechem - ale przynajmniej już wyglądasz tak jak zawsze.

- Dzięki wielkie, Jacek...

- Skoro ty jesteś zmęczona, to ja zrobię kawę, a ty sobie posiedź, najlepiej w kuchni. Chodź. - Wziął ją za ramiona i przesunął w kierunku wspomnianego pomieszczenia.

- Mama sobie nie posiedzi - oznajmił nieoczekiwanie Michał.

- A niby dlaczego?

- Bo musi nam odgrzać zupę. Głodny jestem. - Pogłaskał się po brzuchu i wskazał palcem na pępek. - Burczy mi.

- Brzuszek burczy, bo się kurczy - zaintonowała Ola Puchatkową piosenkę i pobiegła do kuchni. - Ja też.

- O, a co macie pysznego?

- Rosółek - oznajmił Michał. - Babcia gotowała, pyszny. Jeść!

- Dobra, to ja najpierw odgrzeję wam ten rosół, później napijemy się z mamą kawy i ustalimy, jak to dorośli - mruwnął okiem do dzieci - co z wami zrobić.

- Jak to? - zapytały chórem.

- Normalnie. Zbrodnia na ścianie została dokonana, kara być musi. Bezwzględna, surowa i straszna. Bójcie się - zagrział, wyciągając garnek, po czym zwrócił się do otumanionej Iwony: - Nie masz nic przeciwko?

Pokręciła tylko głową, bo na nic innego w chwili obecnej nie było jej stać. Poczwała, że jakąś część odpowiedzialności może na kogoś zrzucić. I że ten ktoś pomoże jej wyjść z podniesionym czołem z akcji wyciągania konsekwencji. Jacek miał rację, podciągnęła kolana pod brodę i wpatrzyła się w jego plecy. Usiądą i się zastanowią, co zrobić z małymi potworami. Tylko, czy on nie podchodzi

do sprawy zbyt żartobliwie? A jeżeli dzieciaki uznają to za świetną zabawę i przy nadarzającej się okazji wytną kawałek dywanu albo pomalują ścianę farbami, albo wykorzystają plastelinę do zrobienia na podłodze kwietnika. Nie wiadomo, co może im przyjść do głowy. Z drugiej strony... Oj, jak dobrze było poczuć, że nie musi się borykać z tym sama. Powoli jej obolałe i napięte od wczoraj mięśnie zaczęły się rozluźniać. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu pozwoliła komuś zająć się sobą.

Stwierdziła ze zdumieniem, że to może być przyjemne.

- Co się dzieje? - Jacek, rozparłszy swe długie i chude ciało na balkonowym krześle, od razu chciał przejść do sedna sprawy.

- Nic - wzruszyła ramionami.

Z pokoju dobiegały odgłosy zabawy w wojnę. Ze wznowionych co chwila triumfalnych okrzyków Michała można było wywnioskować, że właśnie wziął w niewolę wszystkie lalki Oli, która najzwyczajniej w świecie głośno protestowała.

- Przecież widzę, że coś jest nie w porządku.

- A masz pół dnia wolnego? - spytała, przyglądając mu się przymrużonymi oczami.

- Jak znam ciebie, pewnie przesadzasz, ale... - zerknął na zegarek - mam. Po południu muszę jeszcze obskoczyć ze trzy sklepy.

- Szkoda gadać, Jacku...

- Mów, bo wczorajszy SMS zabrzmiał cokolwiek rozpaczliwie.

- Nie, proszę cię, nie przypominaj mi wczorajszych błędów. - Znowu wzruszyła ramionami i przejechała palcem po brzegu kubka. - Nie będę ci więcej zawracać głowy....

- Dobra - podniósł ręce. - Temat ogólny na razie zostawmy w spokoju. Co masz zamiar zrobić ze swoją ścianą?



- Słuchaj, nie chcę, żeby zabrzmiało to niegrzecznie, ale to moja sprawa.

Powiedz, że nie, proszę, powiedz i pomóż, bo za cholere nie mam faktycznie pojęcia, co z tym zrobić.

- Pewnie, że twoja, tyle że mógłbym ci się do czegoś przydać.

- Do czego na przykład?

- Na przykład do równego ułożenia resztek tych puzzli i do wstawienia wokół nich ramki. Na przykład.

- Jacek, zlituj się, przecież po takiej akcji one nabiorą przekonania, że to była fajna zabawa i dlaczego nie spróbować dajmy na to... z dywanem.

- A niekoniecznie. Bo to będzie akcja połączona z wysiłkiem, ciężką pracą... Zobaczysz, jak im się każe ułożyć resztę, to już nie będzie taka frajda. Poza tym zrobi się jakiś wykład z mocnymi argumentami, zabroni się przez dwa dni oglądać telewizję i po sprawie. Tak mi się wydaje.

Iwona przechyliła głowę i przyjrzała mu się badawczo. Skąd u niego taka niezłomna pewność i pedagogiczna wiedza?

- A dlaczego tak ci się wydaje? - spytała tylko.

- Bo nas tak mama wychowywała, na intuicję, a wierzę mi, że z trzema facetami miała co robić. - Uśmiechnęła się na wspomnienie nie tak dawnych wybryków.

- No właśnie... Moja mama niekoniecznie posiadała intuicję i wychodzi na to, że odziedziczyłam to po niej. Chociaż wzbraniam się rękami i nogami, ale wszystko zachynam, wybaczyć wyrażenie, od dupnej strony - westchnęła.

- Zjechałaś Olkę?

- Tak jakby.

- Oboje powinni dostać po uszach. - Teraz on wzruszył ramionami i dodał asekuracyjnie, wyzbywając się wszechwiedzącego tonu: - Tak mi się wydaje.

Po chwili milczenia Iwona nie wytrzymała i powoli, a później coraz szybciej zaczęła mu opowiadać wczorajsze wypadki, tłumaczyła, że wysłała do niego SMS-y, bo czuła

się paskudnie. Że najprawdopodobniej wierzyła bezgranicznie w szczerą i bezkompromisową przyjaźń, a taka chyba nie istnieje. Że w domu stanowi jedynie zawadzący mebel, który nie ma żadnych atutów, a jedynie same wady. Wreszcie wyrzuciwszy wszystko z siebie, otworzyła szeroko oczy i zamilkła zmieszana. Wymruczała krótkie i niekoniecznie zrozumiałe „wybacz” i pobiegła do łazienki, bo dłużej nie potrafiła powstrzymać łez.

Gdy doprowadziła się do porządku, zastała całe towarzystwo w dziecięcym pokoju. Michał i Ola, ze średnio radosnymi minami, wybierali puzzle i mozolnie smarowali je klejem, a Jacek przyglądał im się, stojąc w środku zamieszania z założonymi rękami. Na sekundę oderwał wzrok od pracujących dzieci i uśmiechnął się do niej ciepło, podnosząc w górę kciuk.

# 6

Anita powoli wygładziła poduszkę i zerknęła na stojący obok łóżka zegarek. Po dziesiątej. Tymek powinien już być. Powinien być godzinę temu. Odsunęła chęć zadzwonienia do męża i zapytania, co go zatrzymało, o której będzie i dlaczego tak późno. Długo nie mogła się tego nauczyć, właściwie zawsze w takich momentach ogarniał ją niewytłumaczalny lęk o niego. Wtedy wyraźniej słyszała syreny wyjące gdzieś w mieście, słyszała piski hamujących ostro samochodów, ale wmawiała sobie, że to chora wyobraźnia tak ją nakręca.

Wróci. Zawsze wracał, wcześniej czy później. Ale zawsze.

Przeipytywanie go, gdy krążył gdzieś po szpitalu, z głową nabitą zupełnie czym innym, z myślami poświęconymi pracy, nie miało najmniejszego sensu. Owszem, zdawała sobie sprawę, że nie tylko praca może go tak bardzo zajmować. Z drugiej strony, zwłaszcza na początku małżeństwa, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego on nie umie o własnej żonie myśleć bez przerwy. Nieważne, czy w pracy, czy w samochodzie, czy podczas spotkania. Nie potrafiła tego zrozumieć.

Później nie miało to żadnego znaczenia, bo był. Wsuwał się w nocy do łóżka i przez sen czuła obejmujące ją mocno zimne ramiona. Czasami, gdy umknął jej powrót męża, budziła się i sprawdzała, czy wrócił. Wystarczyło, że lekko pogłaskała go po rękę, a już ją chwycił w kleszcze uścisku, zupełnie bezwiednie, nie przerywając chrapania.

Stała przy oknie. Powietrze sprawiało wrażenie za-  
styłego i zmęczonego całodziennym upałem, a tempera-  
tura niewiele różniła się od dziennej. Przesunęła dłoń po  
wiszących nieruchomo firankach i stwierdziła, że znowu  
przydałby jej się prysznic. W tym roku można było przy-  
znać raczej tym, którzy na podstawie niezbitych dowodów  
twierdzili, że klimat się ociepla. I bardzo dobrze, niech się  
ociepla. Anita nie miała nic przeciwko trzydziestostop-  
niowym upałom, choćby i przez cztery miesiące z rzędu.  
Nakupiła sobie w second handzie pięknych zwiewnych su-  
kienek, w których czuła się kobieco, wdzięcznie i bardzo  
lekką. Najchętniej paradowałaby w nich przez okrągły rok.

Ale ochłodzić się trzeba. Zeszła więc na dół, starając się  
omijać skrzypiące miejsca na schodach, bo niedawno wró-  
ciła Iga (nareszcie) i Anita nie chciała jej obudzić. Córka  
przyjechała okrutnie zmęczona, rzuciła torby w przedpoko-  
ju i cmoknąwszy Anitę w policzek, stwierdziła, że nie ma  
siły dzisiaj gadać, więc wszystko zrelacjonuje jutro.

Anita spojrzała na nietknięty bagaż. Kiedyś, bez chwi-  
li zastanowienia, rozsunęłaby zamek i wrzuciła wszystko  
jak leci do pralki, no może z pominięciem ulubionego  
kubka Igi, kosmetyków i prostownicy. Taaak, ale kiedyś,  
po pierwsze, torba nie zawierała prostownicy, a po dru-  
gie, Anita była przed wykładem o szanowaniu ludzkiej  
prywatności. A wykład zrobiła jej całkiem niedawno Iga,  
po powrocie ze szkoły odkrywszy ślady czyjeś obecności  
w pokoju. Ślady być musiały, bo nie oszukujmy się, brudna  
bielizna nie miała umiejętności wskakiwania tam, gdzie jej  
miejsce, czyli do pralki. Żadne argumenty jednak do cór-  
ki nie trafiały i Anita, chcąc nie chcąc, wczuła się w rolę  
słuchacza, jak najbardziej biernego. Dowiedziała się wie-  
lu rzeczy o tym, jak łatwo stracić czyjeś zaufanie, o tym,  
jak bardzo dorastająca kobieta (tak właśnie powiedziała jej  
piętnastoletnia córka) potrzebuje swojej przestrzeni, prze-  
strzeni, w której może czuć się pewnie, której nikt nie skała  
swoją obecnością.

I weź tu, człowieku, bądź mądry. W jednej sekundzie zmieniasz komuś pieluszki, wycierasz zasrany, za przeproszeniem, tyłek, a w drugiej ten zasrany, za kolejnym przeproszeniem, tyłek, domaga się niekalania prywatności. Zabrakło gdzieś etapu przejściowego, takiego, w którym mogłaby, jako matka, przestawić się na tę wybuchającą kobiecość. Ot, po prostu pewnego pięknego dnia ukochany żółwik wylądował w kartonie, razem z najlepszymi lalkami, a na jego miejsce wskoczyły takie akcesoria jak tusze do rzęs, wody toaletowe i prostownice. Niekoniecznie wszystko w liczbie mnogiej.

Otworzyła lodówkę i z ciężkim westchnieniem wyciągnęła jogurt pitny. Co z tego, że w wychowywaniu maluchów miała wieloletnią praktykę? Zawsze uważała, że później jakoś to będzie, że najważniejsza jest płaszczyzna porozumienia, którą się wykształci na samym początku. A tu dupa. Okazuje się, że w pewnym momencie ta płaszczyzna robi się coraz cieńsza, coraz bardziej delikatna, a chwilami ma się wrażenie, że w ogóle jej nie ma. Może ona też powinna w jakiś sposób ewoluować? Ta płaszczyzna? Na pewno. Tylko jak? Czy ma zacząć opowiadać dokładnie, z najdrobniejszymi detalami, różne historie z własnego nastoletniego życia? Chyba nie, bo Iga traktowała zawsze ten okres jak prehistorię.

Anita dokończyła jogurt, z dna kubka wygrzebała łyżeczką resztki, schowała naczynie do zmywarki i powlokła się na górę.

\* \* \*

Rano obudził ją zapach kawy. Zerknęła na poduszkę męża, wymiętoszona prawidłowo, więc spał w domu. Przeciągnęła się powoli i zeszała na dół.

- O której wróciłeś? - Ziewnęła szeroko.
- Późno - odparł i cmoknął ją w czoło.

W jednej dłoni trzymał kubek z kawą, w drugiej, w bezpiecznej odległości, plik dokumentów, które zawzięcie studiował. Odstawił na chwilę kubek, sięgnął do teczki i nie patrząc na Anitę, wręczył jej mały świstek papieru.

- Jesteście umówione, to znaczy Martyna, na dzisiaj, tu masz wszystko. Adres, nazwisko, telefon, w razie jakichkolwiek niedomówień powołaj się na mnie. To najlepszy specjalista, więc niech Martyna nie szuka nikogo innego. Mówię jak lekarz o lekarzu.

- Pamiętałeś... Super.

- A jak miałbym nie pamiętać, skoro przez dwa dni suszyłaś mi głowę. - Zerknął na nią przelotnie i uśmiechnął się. - Spójrz w lusterko albo najpierw się uczesz.

- A tam... - Anita machnęła ręką i przeczesła palcami włosy, zbierając je na karku. - Iga wróciła.

- Wiem, wiem, o mały włos połamałbym nogi, wchodząc wczoraj po ciemku do przedpokoju... Gdzie to jest... cholera - mruknął, wracając do swoich notatek. Rzucił je na chwilę, pochylił się nad teczką i zaczął czegoś gorączkowo szukać. Wyciągnął kalendarz, przewertował, odłożył.

Anita westchnęła. No cóż, nie pogada sobie o poranku z mężem, a szkoda. Bo miała o czym rozmawiać, czy raczej z czego się zwierzyć. Chciała, żeby wysłuchał, spojrzał trzeźwym okiem, może coś doradził. Zarówno w kwestii dojrzewania (o zgrozo) Igi, jak i w kwestii chwilowego, oby, zawieszenia kontaktów z Iwoną. Poza tym, tak ogólnie chciała pogadać. Nieważne o czym, o pogodzie, o urlopie, o czymkolwiek.

Pogawędka musiała jednak zaczekać, bo teraz nie było sensu zwracać Tymkowi głowy. Po tylu latach małżeństwa była już w stanie rozpoznać, kiedy mąż był całkowicie przełączony na tryb „praca” i wiedziała, że jakiegokolwiek próby zwrócenia jego uwagi na sprawy dnia codziennego, równie ważne, spełzały na niczym. Albo na kłótni.

Kiedyś miała mu to za złe. Za wszelką cenę usiłowała nawiązać kontakt, zmusić do słuchania, bo przecież jej

sprawy były równie ważne. Więc mówiła, widząc z kolei jego brak zaangażowania, o zainteresowaniu nie wspominając, zaczynała się plątać, denerwować i w końcu zarzucać mu egoizm. On z kolei próbował podzielić uwagę na różne sprawy, by po chwili dojść do wniosku, że sprawy, które porusza Anita, zdecydowanie mogą poczekać. Przesławał więc słuchać do momentu, kiedy pod jego adresem zaczynały padać inwektywy. Nie pozostawał dłużny, a po chwili brał teczkę i wychodził, trzaskając drzwiami. Efekt był taki, że ewentualne problemy Anita musiała rozwiązywać sama, bo przez jakiś czas oboje chodzili naburmuszeni.

Z czasem więc doszła do wniosku, że pewne sprawy mogą poczekać. Ustępstwo? Możliwe, ale dla obopólnego dobra, bo po co bzyzczyć mu nad uchem, skoro i tak nie przyniesie to zamierzonego efektu, a ona sama zostanie potraktowana jak upierdliwa mucha?

Podeszła do chlebaka, wyjęła bułki, a z lodówki wędlinę, sałatę i pomidory. Trzy kanapki powinny wystarczyć, bo Tymek miał dzisiaj dyżur do czternastej, a później deko-  
wał się w swoim gabinecie.

- Zerkniesz do gabinetu? - zapytał, jakby czytając w jej myślach.

- Zerknę.

- Na dzisiaj mam cztery wizyty.

- OK, zajrzę jeszcze przed wyjściem. - Anita skrupulatnie pakowała kanapki w folię.

- Jakim wyjściem? - Spojrzał na nią nieprzytomnie.

- No z Martyną przecież.

- Aha! - Tymek wrócił z powrotem do pakowania teczeki.

- Słuchaj, czy ja mam z nią tam wejść? Bo nie wiem.

- Anita podała mu bułki.

- To tylko od niej zależy, jeżeli będzie chciała, to pewnie... Słuchaj, a dlaczego właściwie ten Czarek z nią nie jedzie?

- Bo na razie Martyna chce mieć pewność, jak to wygląda z jej strony - odparła wymijająco Anita.

Teraz nie było czasu, żeby wprowadzać Tymka w tajniki pożycia świeżo poślubionej pary. Zresztą, te tajniki w dużej mierze zostaną tylko między nimi. Między Anitą a Martyną. O pewnych rzeczach mężczyzna się nie informuje i tyle. Choćby się nie wiadomo, jak bardzo chciało pogadać.

- I tak będą musieli go przebadać - Tymek wzruszył ramionami, próbując spakować ostatnią bułkę.

- Będą, będą, ale na razie Martyna chce to zrobić po swojemu. Daj to! - Wyjęła mu teczkę z ręki, postawiła na stole i przełożywszy parę skoroszytów, umieściła kanapkę bez najmniejszego wysiłku.

- Dobra, daj, bo ja już jestem spóźniony. Lecę, pogadamy wieczorem. - Cmoknął ją w policzek.

- Hola, hola, panie doktorze?

- No co? - sapnął zniecierpliwiony, trzymając już dłoń na kłamce.

- Nic, jak dla mnie po domu możesz łązić bez spodni, ale w szpitalu pewnie zrobisz furorę. - Anita uśmiechnęła się założywszy ręce na piersiach.

- Cholera, cholera, spóźnię się...

Na schodach wpadł na półprzytomną Igę, jednak wystarczająco przytomną, by na widok półnagięgo ojca lecącego na złamanie karku przykleić się do ściany. Przeczekawszy spokojnie huragan, zeszała na dół i usiadła na jednym z wysokich stołków.

- Dom - westchnęła filozoficznie. - Ostoja, niezmiennosc, chwilami zagrożenie dla życia, jednak dające tyle otuchy...

- Co, zagrożenie życia? - spytała przekornie Anita.

Iga sarknęła, odrzucając z czoła przydługą, czarną grzywkę. Chwila, czy czasami nie nazbyt czarna?

- Dom, mam, dom. Nie łap mnie za słowa.

- Czyli w wolnym tłumaczeniu, cieszysz się, że wróciłaś?

- Pa, dziewczyny, widzimy się po południu. - Tymek wyleciał z mieszkania jak z procy.



Spojrzały na siebie i wzruszyły ramionami, uśmiechając się lekko.

- Tak, cieszę się.

- To dobrze, nam ciebie też brakowało. - Anita podeszła do córki i uściśnęła ją lekko za ramiona. - Wychudłaś znowu.

- Oj, jak ja lubię, kiedy to mówisz. - Iga zamajtała nogami z zadowoleniem, po chwili zaś znowu przybrała wielce mądrą minę i dodała: - Ale... czymże jest cielesna powłoka wobec nieskończoności?

- Czymś wielce istotnym - odparowała Anita. - Czy ciebie, kochanie, już tak na zawsze zmienili na tym obozie? I tylko tak będziemy rozmawiać?

- Oj, mamo, to bardzo istotne, jak się człowiek wyśławia, wiesz? To były nie tylko warsztaty polonistyczne, mieliśmy też elementy psychologii, filozofii.

- Cieszę się. Rozjaśniło ci się trochę w głowie? Wiesz już, na jakie chcesz iść studia? - spytała Anita, stawiając przed córką miskę płatków, polanych ciepłym mlekiem i niejasno przeczuwając, jaka będzie odpowiedź.

- Oczywiście. Albo psychologia, albo filozofia.

Ha, jestem wróżką.

- Aha, mamo, m u s z ę, po prostu muszę, przekłuć sobie nos.

- W ramach czego tym razem? Studiowania kultury afrykańskiej? - Anita wzięła się pod boki.

- No wiesz? - Iga mlasnęła z niezadowoleniem i przewróciła oczami, dając matce do zrozumienia, że ta jest myśleniem zbliżona bardziej do epoki kamienia łupanego niż do nastolatki.

- Nie wiem.

- Wszyscy sobie teraz przekłuwają, więc trochę głupio odbiegać od reszty, prawda?

- A nie lepiej byłoby pozostać indywidualistką?

- Mamo, miej litość, ja jestem indywidualistką, a kolczyk w niczym nie przeszkadza i niczego nie dowodzi.

- No więc skoro nie dowodzi, to po co ci on właściwie?  
Źle. Anita dała się wciągnąć w dyskusję, a miała po prostu postawić weto. I cześć pieśni. Koniec gadki. Temat się wyczerpał. Ale nie, dała córce możliwość dyskusji.

- Jak to po co? Takie są trendy, to jest teraz na czasie.

- Wiele rzeczy jest teraz na czasie, co nie znaczy, że musisz z nich korzystać.

- Jakich na przykład? - Iga zaczęła ofensywę.

- Buty na platformie, chociażby - palnęła Anita bez chwili zastanowienia. - Różowe lakierki, białe kozaczki...

- Na butach się skupiasz, mamoo...

- Nie ma znaczenia, na czym się skupiam - brnęła Anita, obracając w dłoniach kubek. - To, że większość nosi, wcale nie znaczy, że ty też musisz.

- Mamoo... miej litość, to kwestia gustu.

Iga, w przeciwieństwie do niej, spokojnie kończyła płatki. Uch, to dziecko było do niej podobne, były jak dwie krople wody, z nieznaczną różnicą w kolorze włosów i znaczną w kilogramach. Ale charakter, ten spokój, odziedziczyła po Tymku. - Mnie się takie rzeczy nie podobają, więc ich nosić nie będę.

- A kolczyki ci się podobają?

- Rzecz jasna.

- Powiem ci tak, moja droga, teraz muszę lecieć, zrobić porządek w gabinecie ojca, później jadę do miasta, ale do rozmowy wrócimy. Bo niekoniecznie mi się sprawa podoba. - Anita wycofała się delikatnie, starając z całych sił zachować autorytet. Ale miała niejasne wrażenie, że niekoniecznie jej to wyszło.

\* \* \*

Lekarz przyjrzał im się uważnie, gdy stanęły w drzwiach gabinetu. Zadbany, ciemne włosy tu i ówdzie poprzątkowane siwymi pasemkami, jasnozielony fartuch, który podkreślał jego ciemną karnację. Model, przemknęło Anicie przez

głowę. Od początku twierdziła, że to niezbyt dobry pomysł, żeby wchodziły razem do gabinetu. Ale Martyna tak bardzo prosiła. Teraz stały tu jak dwie idiotki, przynajmniej Anita czuła się, jak piąte koło u wozu. Jak idiotka właśnie. Przyjaciółka jakby wyczuła jej niepewność, wzięła ją więc za rękę i pociągnęła w kierunku doktorskiego biurka. O ironio, kto tu miał kogo pocieszać i komu dodawać otuchy? Anita wzięła się w garść i odwzajemniła uścisk.

Przypomniały jej się wizyty w gabinecie dyrektorki, kiedy stały z karnie pochylonymi głowami, ramię w ramię, trzymając się za ręce. Obiecywały nigdy, ale to nigdy, przynajmniej więcej nie zaglądać do torby pani Racznikowskiej, która uparła się, żeby tę torbę zostawić na przerwie między dwoma polskimi. Przedtem zaś zapowiedziała, że wyniki ostatniej klasówki to ona ma „o, tutaj”, po czym wskazała na swoją przepastną torbę, a odstawiwszy ją na krzesło, wymaszerowała z klasy. No kto by nie skorzystał z takiej okazji? Oczywiście, że musiały skorzystać. A później kajać się przed dyrektorką i wysłuchiwać tekstów o braku wychowania, chamstwie i nieszanowaniu cudzej godności. A kto kazał Racznikowskiej zostawiać tę swoją godność w klasie pełnej oczekiwania? No kto? Sama się prosiła.

Miały na swoim koncie całą masę podobnych przewinień. Drobnych grzeszków, które popełniały razem. Razem też z tego wychodziły. Razem pokutowały, siedząc w domu i wpatrując się smętnie w towarzystwo na podwórku przed blokiem. To im dodawało otuchy.

To, że były razem.

Teraz Anita też zwalczyła pokusę czmychnięcia i uściśnęła jeszcze raz dłoń Martyny, po czym odważnie spojrzała na lekarza.

- Mamy problem, panie doktorze - rzuciła wreszcie, siadając na jedno z krzeseł stojących naprzeciwko biurka.

- Taaak, rozumiem - odpowiedział doktor, przeskakując czarnymi oczami z jednej na drugą i nie rozumiejąc nic.

- Nie mogę zająć w ciąży - oznajmiła teraz Martyna, cały czas ściskając rękę przyjaciółki.

- Taak?

- Tak. Współzycie trwa od trzech lat, nie zabezpieczamy się w żaden sposób.

- Cykle są jak najbardziej regularne - Anita uznała za stosowne dodać tę cenną informację.

- Tak, cykle są regularne, tutaj proszę... Nie wiem, czy to ma sens, ale sporządziłam taki trzymiesięczny wykres temperatury. - Martyna zaczęła grzebać w torebce.

- Nie mówiłaś, że mierzysz.

- Nie mówiłam, ale wiesz, coś mi się już chyba kołowało w głowie - Martyna rzuciła Anicie przepraszające spojrzenie.

- To jeszcze przed ślubem... Nie pisnęłaś ani słowa... Weź jeszcze wyniki ogólne - doradziła przyjaciółce, wskazując na torbę.

- Jakie ogólne?

- No hormony, przecież jeździliśmy.

- Aaa, hormony, tak. - Martyna z powrotem sięgnęła do torebki.

Przez chwilę były tak zajęte sobą, że zupełnie nie zwracały uwagi na osłupiałego lekarza. Na meczach tenisa stołowego gracze tak szybko nie śledzą ruchu piłeczki, jak on przerzucał spojrzenia z jednej na drugą i próbował sobie ułożyć w głowie, dlaczego właściwie te dwie atrakcyjne, homoseksualne kobiety informują go o swoich problemach. Przecież to nawet nielegalne. Znaczący nie homoseksualizm, to kwestia etyczna, prywatna, sam osobiście nie miał nic przeciwko, ale takie pary nie mogą mieć dzieci. Utwierdziwszy się w przekonaniu, odchrząknął znacząco, po czym uniósł rękę do góry.

- Ja bardzo przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiem.

- Ale czego?

- Tego, że moja przyjaciółka nie może zająć w ciążę? Przecież tłumaczymy, współżyje regularnie, tutaj są badania. Proszę. - Anita podsunęła kartki doktorowi pod nos.

- Ale przecież... - chcąc nie chcąc, wziął wyniki do ręki.

- Panie doktorze - Anita miała już dosyć zadającego głupkowate pytania modela. Czyżby Tymek w wyborze lekarza sugerował się urodą? Co do cholery on sobie myślał... A może podejrzewał winę Czarka i podstawiał tego tu przystojniaka, żeby zapłodnił Martynę? Bo jakoś kompetencji medycznych Anita nie mogła uświadczyc w tym bez przerwy zdziwionym mężczyźnie. Postanowiła spróbować jeszcze raz, powoli i dobitnie tłumacząc: - Moja przyjaciółka stara się o dziecko już od dłuższego czasu. Bezskutecznie. Wreszcie postanowiła coś z tym zrobić i wybrała się do lekarza - tutaj Anita przemilczała poprzednią wizytę - to znaczy do pana, ale wyniki już mamy, o te tutaj. Panie doktorze?

- Tak?

- Czy coś jest nie w porządku przepraszam, że pytam, ale... - Martyna też wydawała się zbита z tropu, niby taki dobry specjalista, a tutaj proszę - pan sprawia wrażenie nieco...

Martyna przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, a nie znalazłszy, spojrzała bezradnie na Anitę, która natychmiast pospieszyła z pomocą.

- Zdekoncentrowanego - podpowiedziała usłużnie.  
- Proszę wybaczyć.

- Nie, nie - zaprzeczył szybko lekarz, wciąż spoglądając to na jedną, to na drugą i wciąż nie mogąc się zdecydować, czy te kobiety robią sobie z niego żarty, czy faktycznie dzisiaj coś z jego pojmowaniem świata jest nie w porządku. Wreszcie nie wytrzymał i patrząc na ściśnięte dłonie siedzących naprzeciwko niego... pacjentek... rzucił:

- Proszę wybaczyć...

No, jeżeli będziemy tu bez przerwy prosić się o wybaczenie, to daleko nie zajedziemy, przemknęło Anicie, kiwnęła jednak głową i uśmiechnęła się życzliwie.

- Tak?

- Proszę wybaczyć - kontynuował lekarz, mnąc w wypielęgnowanych dłoniach wyniki badań Martynty. Zaczynał nabierać rozpędu. - Panie tu przychodzą... razem, a przecież wiadomo, ja czegoś nie rozumiem, czy to tylko panie nie rozumieją, czy to jakaś farsa, nie wiem, co myśleć, ale... - przerwał zły na siebie, za nieumiejętność dobrania słownictwa, wreszcie wypalił: - Przecież pary homoseksualne nie mogą mieć dzieci.

Wytarł pot z czoła, odłożył wyniki i odetchnął z zadowoleniem. A wykonując po kolei te wszystkie czynności, stracił możliwość zaobserwowania klasycznego zbierania szczęki z podłogi. I to w podwójnym wykonaniu. Przyjaciółki wreszcie się pozbierały, popatrzyły na siebie, na złączone dłonie i chcąc nie chcąc, najpierw zachichotały, w końcu zaś ryknęły zdrowym śmiechem.

- Nie, pan faktycznie nie zrozumiał, proszę wybaczyć.  
- Anita wypowiedziawszy po raz kolejny te słowa, nie mogła się powstrzymać i zaczęła w niekontrolowany sposób się trząść.

- To nie tak - tym razem Martynta przysła jej z pomocą  
- to jest moja przyjaciółka, przysła mnie wspierać, a mąż to mężczyzna i to z nim właśnie usiłuję powiększyć rodzinę.

- To dlaczego go tu nie ma?

Tym pytaniem, zadany w sposób zdecydowanie średnio przyjemny, pan doktor sprowadził je obie na ziemię i uświadomił na powrót powagę sytuacji.

- Bo... jeszcze z nim na ten temat nie rozmawiałam.

- Nie pytam dlaczego - profesjonalizm zaczął wpływać z tonu i z całej postawy lekarza. - Muszę jednak poinformować panią, że o wiele lepiej byłoby, gdyby państwo - rzucił karcące spojrzenie na wierzącą się na krześle Anitę - przyszli razem. Zaoszczędziłoby nam to wielu nie-dopowiedzeń i wyjaśnień.

- Rozumiem panie doktorze, oczywiście, tylko, że...  
ja... - Martynta zaczęła się plątać.

- Powtarzam po raz kolejny - tym razem już łagodniej dodał lekarz, puszczając w niepamięć, że zrobiono go w trąbę, najwyraźniej nieświadomie i bez złych intencji - nie pytam dlaczego. Chcę pani uświadomić, że problem nie dotyczy tylko pani. Dotyczy was obojga, jako małżeństwa, natomiast pani, przychodząc tutaj, traktuje ten problem jako swój. Ot, z czysto psychologicznego punktu widzenia, w ten sam sposób może ten problem potraktować pani mąż. Nie, nie - dodał, podnosząc rękę na widoczne sygnały sprzeciwu - ja nie chcę nikogo oceniać, ja tylko tłumaczę pani, że to czysta psychologia. Wygodne podejście, wyparcie i masa innych pasujących wybornie zachowań, którymi człowiek próbuje radzić sobie z problemami. Tak więc, radziłbym przyjść razem.

- Oczywiście, panie doktorze, przyjdziemy - zapewniła gorąco Martyna - ale czy dzisiaj mógłby pan chociaż przejrzeć moje wyniki...?

- Naturalnie. I zbadam panią.

Spojrzał wymownie na Anitę, która zaczynała się już czuć nie jak piąte koło u wozu, tylko jak coś, co się do tego koła przyczepiło. Uznała więc, że nadszedł najdogodniejszy moment do odwrotu.

- W takim razie, ja poczekam... przed gabinetem. Do widzenia.

- Do widzenia i proszę mnie więcej w ten sposób nie nabierać - uśmiechnął się wreszcie do Anity.

\* \* \*

W parku Branickich roiło się spacerowiczów. Wszystkie ławki stojące w cieniu były oczywiście zajęte, głównie przez starszych obywateli Bialegostoku. Przez chwilę nieznanymi, po jakimś czasie zaczynali gawędzić jak przyjaciele. O pogodzie, o upalnym tego roku lecie, później o dzieciach, o wnukach, o polityce. Panowie podparci drewnianymi, przetartymi laskami zsuwali okulary na

czubki nosów i przyglądali się rozmówcom, przytakując, wzdychając i od czasu do czasu uśmiechając się lekko. Pannie w siatkowych kapeluszach, pamiętających stare, dobre czasy, wpatrywały się w fontanny i rozglądały wokół, szukając wzrokiem oddechów przeszłości. To miejsce miało swój specyficzny klimat od zawsze.

W każdym wieku działało na człowieka inaczej. Ale zawsze pobudzało wspomnienia, zwłaszcza aleja z ogromnymi tujami, odgradzającymi barwne kwietniki od części spacerowej.

Szły w milczeniu, mlaskając co chwila i zlizując ciekące po palcach lody (obowiązkowo mleczne, od wiek wieków niezienne). Wreszcie Martyna nie wytrzymała:

- Powiedz mi, co ja mam z nią zrobić?

- A co możesz? - Anita wzruszyła ramionami, dokładnie wiedząc, kogo przyjaciółka ma na myśli. - Przede wszystkim ty sobie usystematyzuj problemy, no wiesz, hierarchię ustaw.

- Nie bądź taka mądra. Hierarchię mam dawno ustaloną, wiadomo.

- Co wiadomo?

- Oj, Anita, dziecko jest dla mnie najważniejsze. A niemożność jego posiadania to problem numer jeden.

- Zgadza się.

- A problem numer dwa to ta obrzydliwa baba, która wchrzania mi się w życie na każdym kroku.

- Reasumując, mamy dwa problemy.

- Nooo.

- Reasumując dalej, dotyczą one was obojga.

- Mam, cholera, niejasne wrażenie, że trojga.

- Spokojnie. - Anita podniosła rękę do góry. - Was dwojga.

- No tak - Martyna westchnęła i pociągnęła przyjaciółkę na ławkę.

- Stoi cała w słońcu - próbowała oponować Anita.



- No i co, piegi sobie przysmażysz. Ja już nie mam siły łązić. Siadaj i mów dalej.

- Oj, Martyna, o czym tu mówić. Zresztą po ostatniej rozmowie z Iwoną w ogóle boję się komukolwiek o czymkolwiek mówić.

- Przejdzie jej. Ale wiesz, do mnie też się nie odzywa...  
- zastanowiła się Martyna, chrupiąc wafla. - Dobra, mniej-sza na razie o Iwonę, z całym szacunkiem, ale wróćmy do mnie. Gadaj, nie będę robić scen.

- Powtarzam, nie ma o czym. Macie dwa problemy. A ty o żadnym z nich nie rozmawiałaś jeszcze z Czarkiem. Gryziesz się, zastanawiasz, martwisz, złościsz. A on o niczym nie wie. Próbowалаś z nim pogadać?

- No przecież mówiłaś, że lepiej nie. - Martyna spojrziała zdziwiona.

- Uch, kobieto, nie mówiłam, że lepiej nie. Tylko, że lepiej nie wrzeszczeć, emocje powstrzymać.

- Na jedno wychodzi. - Martyna wystawiła twarz do słońca i przymknęła oczy. - Nie bardzo wiem, jak mogłabym o jednej i o drugiej sprawie mówić bez emocji. Dobra, dobra, rozumiem. Tylko wiesz co? Tak mi ciężko. - Spod powieki spłynęła łza. - Wcześniej, w czasach „sprzed” Czarka, miałam problem, sama go sobie rozwiązywałam, sama albo z waszą czy mamy pomocą. Jakoś to szło. W sumie cały czas miałam świadomość, że jestem sama. Sama dla siebie. Że tak właściwie na co dzień nie mam się na kim oprzeć. Później pojawił się on. W świadomości zakotwiczyło się przeświadczenie, że obok jest ktoś, kto pomoże, na kim będę mogła się oprzeć. A tu co? Dupa. Wraz z tym kimś pojawiło się jeszcze więcej problemów... Czy ty w ogóle wiesz, o czym mówię?

- Spojrzała na Anitę zażawionymi oczami.

- Wiem, no przecież, że wiem. - Pogłaskała ją po rękę i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczek.

- Tylko że, Martyna, musisz nauczyć się z nim żyć.

- No przecież umiem. Dzięki. - Martyna wzięła chusteczkę i wydmuchała nos.

- Niby tak, tylko, jakby to ująć, musisz odzwyczaić się od tego, że jesteś sama. I tak naprawdę tylko od ciebie zależy, czy on się stanie tymi mocnymi plecami do oparcia, czy nie. Jedno jest pewne, sam na to nie wpadnie. A ty? Popatrz sama, komu pierwszemu powiedziałaś o problemach z zajęciem w ciąży?

- Tobie.

- Zgadza się, ale sama mówiłaś w gabinecie, że już od jakiegoś czasu mierzyłaś temperaturę, sprawdzałaś cykle.

- Ale raczej nieświadomie.

- OK, niech będzie. - Anita przyglądała się gołębiom, kąpiącym się w płytkich miejscach fontanny. - Ale to do mnie przybiegłaś, gdy nabrałaś podejrzeń. Nie do niego. Owszem, pochlebia mi to, ale z drugiej strony, załatwianie sprawy przez osoby trzecie nie pomoże wam dojść do ładu między sobą. On najprawdopodobniej widzi, że coś się dzieje, ale wróżką nie jest. Babskiej intuicji też nie posiada, więc w jaki sposób ma wpaść na to, co cię dręczy? To samo może być z Dorotą... Nie pryčaj, tylko słuchaj. Może on w ogóle nie widzi w tej całej sytuacji niczego złego.

- To niech zobaczy - burknęła Martyna, rzucając chusteczkę do kosza.

- To mu przedstaw swój punkt widzenia.

- A jak nie zrozumie?

- Aaa, tu cię boli. Bardzo możliwe, że nie zrozumie, ale twój, jako żony i jako partnerki przede wszystkim, obowiązek to dać mu szansę zrozumieć.

- Wiesz co? Mówisz tak, jakby to było takie proste.

- Guzik tam. Wcale nie jest proste, ale wiem, że do zrobienia - westchnęła Anita, wspominając swoje potyczki z Tymkiem, liczne, ale konsekwentnie prowadzące do wyjaśnień, choćby za cenę kilkudniowych „cichych” okresów, za cenę nerwów i łez. Ale Anita nigdy nie odpuściła w tych najważniejszych sprawach, niektóre, owszem pozostawały w sferze niedopowiedzeń, ale te w hierarchii ważności stanowiły ostatnie szczeble drabiny. Tymek wolał

pewne rzeczy odkładać, zapominać, nie roztrząsać, bo bolało. Poza tym, według niego konfrontacje do niczego nie prowadziły. Tymczasem ona konsekwentnie, sytuacja po sytuacji, pokazywała mu, że jednak łatwiej razem.

- Mnie jakoś wychodzi, to i ty sobie dasz radę.

- Jak to wychodzi? - Martyna spojrzała na nią zdziwiona.

- Normalnie. Przecież nie powiem ci, że wychodziło, bo proces jakby w toku.

- Nie załamuj mnie.

- Martyna...

- He?

- Weź ty się w garść, babo. - Anita uśmiechnęła się dla złagodzenia słów. - Wszystko układa się tak jak powinno. Problemy są, zawsze będą, mniejsze lub większe, jakie tylko chcesz, ale przecież dasz sobie radę, tak? Jeśli nie ty, to kto?

- Dam, pewnie, że dam - mruknęła Martyna bez przekonania. - Pytanie tylko jak?

\* \* \*

Torby w przedpokoju nie zmieniły swego położenia ani o centymetr. Jeden rzut oka wystarczył również, żeby stwierdzić, że na pojemności też nie straciły. Anita sapnęła ze złością. Ona po powrocie skądkolwiek, o jakiegokolwiek porze by wróciła, nigdy nie zostawiała nierozpakowanych bagaży. Ze swoim zamiłowaniem do porządku gotowa była wstawiać pranie choćby o północy i dopiero po interwencji Tymka ładowała w łóżku, z poczuciem jednakowoż niesmaku. Niejednokrotnie przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, i czekała na lekkie pochrapywanie męża, po czym wysuwała się cicho z łóżka, wstawiała pranie i robiła obchód domu. Zanim pralka zdążyła przemleć ubrania, ona już tu i ówdzie wytarła kurze, przetrzepała poduszki i dopiero wywiesiwszy pranie, mogła zasnąć z poczuciem spełnionego obowiązku.

Iga najwyraźniej nie odziedziczyła tego po niej. Leżała na swoim łóżku na brzuchu i przebijając bosymi stopami, przeglądała jakąś książkę. Anita z trudem powstrzymała się od złośliwego komentarza, oparła o framugę drzwi i zapukała w nią lekko.

- O, cześć mamuś.

- Cześć. Jak tam, przestawiłaś się już na tryb domowy?

- Anita założyła ręce na piersiach.

- Przetawiłam... chociaż... - Iga przeciągnęła się, ziewając szeroko. - Chyba się zdrzemnę, bo mam duuużo godzin od odespania.

- Zdrzemnij się, zdrzemnij, ale najpierw zabierz te torby z przedpokoju.

- Oj, mamu, nic im się nie stanie, jeśli jeszcze trochę postoją. - Córka znowu ziewnęła.

- Im może nie, ale komuś i owszem, może się stać.

- Przecież nie zajmują całego przejścia.

- Iga! - Anita nie wytrzymała. - Ja po prostu mówię, żebyś je stamtąd zabrała. Później będę wstawiała pranie, więc rzuć po prostu brudy do kosza, a resztę sobie rozpakujesz, kiedy tam będziesz chciała.

Wychodząc, zarejestrowała jeszcze wzruszenie ramion. Gdy schodziła ze schodów, doleciała do niej informacja:

- Na jutro umówiłam się z kosmetyczką.

- Po co? - Anita przystanęła i odwróciła się w stronę głosu.

Córka stała dokładnie w takiej pozycji jak ona przed chwilą, tyle że patrzyła na matkę z o wiele większą pewnością siebie.

- Mówiłam ci. Chcę sobie przekłuć skrzydełko.

- Nóżkę sobie przekłuj najlepiej - sapnęła cicho Anita, głośno zaś dodała: - Nie ustaliliśmy jeszcze, co zrobić z tą twoją zachciewajką, więc na razie się z nikim nie umawiaj.

- Ale ja już się umówiłam - z naciskiem powtórzyła Iga. - U Martyny.

- To odwołaj wizytę - rzuciła Anita, wzruszając ramionami.

Przez jedną krótką chwilę odniosła wrażenie, że prowadzi jakąś paskudną grę, kto silniejszy, kto szybszy, kto... bardziej bezczelny.

- Albo ja to zrobię.

Iga zmrużyła kocie oczy.

- To pójdę gdzie indziej, nie ma problemu.

- Problem jest i bardzo cię proszę, nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Po pierwsze, nie umawiasz się nigdzie, dopóki nie porozmawiamy z ojcem i nie zastanowimy się, czy czasami nie jest za wcześnie na takie manifestacje.

- Na jakie manifestacje, mamó? - Iga przewróciła oczami. - To tylko koleczyk, ja nie wiem, dlaczego robisz z tego takie wielkie halo.

- Dosyć, Iga - Anita podniosła głos. - Jutrzejszą wizytę odwołujesz, a ja porozmawiam z tatą. Koniec.

- No wiesz...

- Powiedziałam koniec.

- Nie traktuj mnie bez przerwy jak dzieciaka - syknęła Iga ze złością, mijając matkę na schodach.

Wieczorem, gdy domowe przedszkole rozeszło się już po domach, pozabierane przez radosne i uduchowione babcie, a Tymek kończył ostatnią wizytę, Anita wyszła na balkon z butelką zimnego piwa i usadowiwszy się wygodnie na wielkich poduchach wiklinowych mebli, wzięła do ręki telefon. Wiadomości odebrane, Iga: „Śpię dzisiaj u Gośki”.

I tyle na temat. Po prostu informacja. Zwarta, konkretna, bez najmniejszego emocjonalnego zabarwienia.

Anita powoli odłożyła telefon na stół i przytknęła zimną butelkę do czoła. Dobra, świetnie, powinna się już przyzwyczaić do myśli, że Iga zaczyna, a właściwie już dawno temu zaczęła, żyć swoim życiem. Życiem, w którym rodzicowi nie relacjonuje się każdego dnia dokładnie co do minuty. Nie opisuje osób, które wzbudzają takie lub inne

emocje, zdarzeń zabawnych, smutnych, jakichkolwiek, aby tylko były warte wspomnienia.

Tak onegdaj bywało. Teraz, po dwutygodniowej nieobecności, Iga rzuca parę zdawkowych komentarzy, które mają na celu uspokoić matkę, po czym leci do przyjaciółki. Anita wcześniej nie zauważała zmian, wkradały się w codzienność, jak niektóre złośliwe zmiany mają w zwyczaju (zwłaszcza te związane z dorastaniem dzieci), nieopatrzenie przekształcały rzeczywistość i dopiero dłuższa nieobecność córki, czy raczej oczekiwanie jej powrotu, uświadomiły Anicie koniec pewnego etapu.

Była oparciem. Powiernikiem, pocieszycielem, przyjacielem. I przestała nagle być tym wszystkim.

Mało tego, w niewytłumaczalny sposób nagle stała się wrogiem. Bo jak wytłumaczyć zachowanie Igi? Jej spojrzenia, złośliwe komentarze? Tę niepojętą próbę sił. Najgorsze w tym wszystkim było to, że Anita zupełnie nie była do tego przygotowana. Czuła się jak sojusznik, którego nagle zaatakowano prostym ciosem między oczy. Wyszła naprzeciw z uśmiechem i wyciągniętą ręką, po której w nieoczekiwany sposób uderzono ją dość mocno i boleśnie. Uśmiechając się, ale niestety cokolwiek ironicznie.

Jak mogła przypuszczać, że na obozie Iga zmieni się nie do poznania?

Tylko do Krakowa, burknęła do swoich myśli, złapała komara, po czym wytarła dłoń w koszulkę. Po tym niezłym obozie coś się zmieniło. Cofnęła się pamięcią niedaleko, tuż przed wakacje. Przypomniała sobie ostatnie zakupy. Pojechały we dwie do galerii. Anita chciała uzupełnić swoją letnią garderobę, Iga domagała się koszulek i jakichś dzinsów. Zaserwowały sobie najpierw komedię z karmelowym popcornem w roli głównej, później obezły większość sklepów, mierząc, co popadnie, śmiejąc się z siebie i ogólnie rzecz biorąc, bawiąc przednio. Anita miała wrażenie, że są jak dwie, oddzielone wprawdzie jednym pokoleniem, ale przyjaciółki.

Uśmiechnęła się na wspomnienie pewnych białych spodni. Iga orzekła, że nie powinna ich sobie kupować, bo są „do bani”, poza tym „z całym szacunkiem, mamo, ale tyłek masz w nich ze trzy razy większy”. Taki argument wystarczył, żeby Anita zdjęła je czym prędzej, porzuciła i szybko o nich zapomniała. Aż do następnego dnia, kiedy Iga wmaszerowała do domu z uśmiechem zadowolenia na twarzy i w tych właśnie spodniach na tyłku.

- Cześć, żona. Przestraszyłem cię? - Tymek klapnął na fotel obok.

- Cześć, mąż. Odrobinę. Zamyśliłam się.

- Widzę. A dla mnie piwo gdzie? Pewnie w lodówce, co?

- I tu się zdziwisz. - Anita sięgnęła pod swój fotel i podała mu zimnąjeszcze butelkę.

- Ooo, cud - westchnął.

Wsłuchali się w ciszę, przerywaną od czasu do czasu terkotem przejeżdżającego samochodu.

- Pozamykałeś drzwi?

- Yhm.

- Słuchaj... - powiedzieli nagle jednocześnie.

- Dawaj pierwsza - machnął ręką Tymek.

- Nie, ty. - Anita dobrze wiedziała, że będzie się starał bardzo szybko skończyć jej temat, zrywając byle czym, nie komentując zanedo, żeby tylko jak najszybciej przejść do swojej sprawy. Poza tym, wystarczyło dać mu zielone światło. I faktycznie.

- Muszę chyba zmniejszyć ilość pacjentów.

- Jak to? - Podwinęła nogi pod siebie i oparła głowę o dłoń. - Tak się chyba nie da?

- No chyba nie. - Podrapał się w brodę. Zdażyła pokryć się od rana drobnym, ale widocznym już zarostem.

- Więc nie przyjmować nowych.

- Stało się coś?

- W sumie nie, ale stać się może i tego się boję - zamyslił się na chwilę, próbując znaleźć słowa. - Boję się

stracić intuicję. Boję się wpaść w rutynę. Nie chcę zacząć działać jak automat.

- Tymek, mógłbyś z łaski swojej powiedzieć, o co chodzi, bo to jakoś tak przerażająco zabrzmiało. - Podniosła głowę z fotelowej poduszki i wpatrzyła się w niego z napięciem.

- Nie, spokojnie, nic się nie stało. Przynajmniej nie u mnie. Jeszcze - westchnął. - Wczoraj przyjęliśmy chłopca z zaawansowanym zapaleniem płuc. Trzyletniego chłopca. Pacjenta naszego dobrego kolegi, Roberta. Miałem możliwość porozmawiać chwilę z matką małego. No i dobrze nie jest.

- Jaśniej...?

- Jaśniej... Próbowała się skontaktować z doktorem, bo młodego oczywiście leczyła prywatnie. Dzwoniła do niego parę razy. Albo miał zajęty numer, wiadomo, masa ludzi dzwoni, zrozumiały. Ale o to nie miała pretensji. Tylko że jak się już do niego dodzwoniła, poprosił o telefon za jakieś pół godziny, bo musi wyciągnąć kartę. Po tej pół godzinie był „poza zasięgiem albo miał wyłączony aparat”. - Tymek łyknął piwa i zapatrzył się w ciemne drzewa.

- Zdarza się.

- No właśnie nie powinno. Później, jak już się dodzwoniła, zapytał w czym problem, zdiagnozował przez telefon i poprosił o kontakt za trzy dni. Czyli po weekendzie. Wczorajem dzieciak zagorączkował, więc mama jeszcze raz wykręciła znany numer i usłyszała, że „Etiologii pan doktor nie może stwierdzić na podstawie jednodniowej gorączki, ciężko raczej wyczuć, czy to wirus, czy bakteria, więc poczekajmy trzy dni”. Hm, prawie go słyszę. - Tymek ze złością pokręcił głową.

- No i...?

- No i co; rano mały zaczął paskudnie kaszleć, gorączka skoczyła wyżej, więc mama znowu dzwoni, a on po rzuceniu uwagi, że proszę zadzwonić po czternastej, po prostu się rozłącza. Pojechali tam, wiesz? Zapakowali małego, przebili się przez miasto i punkt czternasta stali przed gabinetem.



Otwartym, bez pacjentów, bez pana doktora. Kolejny telefon i co słyszy matka? Że pan doktor próbuje właśnie jeść obiad, proszę zrozumieć, chce mieć też czas dla rodziny.

- To chyba przesadził.

- I to mocno. Zwodził ich, rozumiesz? Mam wrażenie, że od samego początku chciał, żeby tylko się od niego odczepili. Szlag.

- No i?

- No i nic. Ojca coś tknęło, żeby pojechać na pogotowie. Tam podobno pani doktor najpierw ich zjechała, że nie mają przy sobie legitymacji, a później stwierdziła to, co stwierdziła.

- Zapalenie?

- Kazała zrobić zdjęcie... Uch, Anita, kiepsko. - Wstał i wsadziwszy dłonie w kieszenie spodni, zaczął chodzić po balkonie.

- Kiepsko, zgadza się, ale bardzo cię proszę, nie odnoś tego do siebie, OK?

- A niby dlaczego? - Spojrzał na nią. - Niby dlaczego? Robert jest jednym z najlepszych specjalistów. Intuicja go zawiodła, popadł w sidła rutyny i... bum.

- Żadne bum.

- A właśnie, że tak. Anita, słuchaj, każdemu może się to zdarzyć. Boję się tego. Nie chcę w ten sposób odsyłać pacjentów. Zachował się jak cham, jak wyrocznia, jak półbożek, od którego wszystko zależy, a który ma wszystko w poważaniu.

- Spokojnie, Tym, on taki jest. Ma paskudny charakter i zawsze się zastanawiałam, dlaczego właściwie wybrał taki zawód. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to fakt, że w wyborze życiowej drogi kierował się ni mniej ni więcej tylko potencjalnym przychodem. Już dawno miałam ci powiedzieć, że zachowuje się tak, jakby zjadł wszystkie rozumy. O swoich pacjentach mówi w sposób co najmniej uwłaczający.

- A ty skąd wiesz?

- Miałam wątpliwą przyjemność zamienić z nim parę słów na ostatnim festynie i wiesz co? Proszę cię, nie

porównuj się do niego, bo człowiek albo to ma, albo nie i tyle. - Złapała go za łokieć.

- Co ma, a czego nie?

- To coś, dzięki czemu albo jest się dobrym lekarzem, ba, człowiekiem... albo nie.

- Ty moja mądra żono. - Pochyliwszy się, cmoknął ją w nos, po chwili zaś na powrót spowaźniał. - Wiesz, ta cała sytuacja uświadomiła mi, czym właściwie jest prywatna służba zdrowia.

- Brawo. Po tylu latach pierwszy raz?

- A co? Że za późno?

- Tak sądzę.

Anita wciąż nie mogła się przyzwycząić do tego, że po wizycie rzucało się lekarzowi pytające spojrzenie i sięgało do portfela. Wychowana była w czasach, kiedy o prywatnych instytucjach zaczynało się dopiero mówić, a lekarze brali... bo nie oszukujmy się, brali pieniądze po cichu, w nienagannie zapakowanych kopertach i ze słowami „nie trzeba” chowali pakunki w swoich teczkach. Oczywiście, nie wszyscy. Ale tak bywało. Później przysłała prywatna służba zdrowia i lekarz po prostu mówił, że należy się tyle a tyle. Zmiany, zmiany, wszędzie zmiany, westchnęła.

- I co wymyśliłeś?

- Jest zupełnie bezkarnym tworem.

- Mocne słowa.

- Ale tak jest. Powierza nam matka swoje dziecko z ufnością, płaci i wychodzi z założenia, że za te pieniądze złożyła odpowiedzialność na lekarzu. Że wręczając umówioną kwotę, przykryła dziecko bezpiecznym kloszem, pod który nie będzie miał dostępu żaden wirus ani nic, co zagrażałoby jego zdrowiu.

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam, Anita, sęk w tym, że nie przesadzam.

- Przesadzasz, bo we wszystkim trzeba zachować zdrowy rozsądek.

- Tutaj akurat, gdyby nie tata, to nie wiadomo, jakby się skończyło. A jeszcze, żeby było ciekawie, powiem ci, że nasz Robert kiepsko trafił, bo mamusia pracuje w gazecie. Píše artykuły do weekendowych wydań.

- No to faktycznie.

- Obiecała mi solennie, że temat pójdzie, nie wie jeszcze kiedy, ale już zaczęła zbierać materiały i artykuł się ukáže, oczywiście z Robertem w roli głównej. Mnie się też dostało - przyznał, siadając z powrotem w fotelu.

- Niesłusznie.

- Słusznie, niesłusznie, ale jedno wiem, muszę to wszystko tak zorganizować, żeby podobna wpadka nie miała miejsca. Koniec, kropka. - Łyknął piwa i spojrzał na Anitę.

- A ty?

- Co ja?

- Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać.

- Aaa, tak, o naszym dziecku - westchnęła, nagle tracąc chęć na mówienie czegokolwiek. Zrelacjonowała więc pokrótce dzisiejsze zajście i machnęła ręką. - Nie wiem tylko, czy walczyć z tymi kolczykami, czy dać sobie spokój.

- Dorasta nam dziecko - skwitował Tymek. Zapatrzył się w butelkę. Anita nie mogła pozbyć się wrażenia, że on ciągle jest na sali obok małego pacjenta z zapaleniem płuc. Że wsłuchuje się w oskarżenia jego matki i zastanawia, jak w ogóle może dochodzić do takich sytuacji. Podniósł na żonę lekko nieprzytomne spojrzenie.

- A z Martyną jak?

- Zostałyśmy lesbijkami - oznajmiła z mocą, chcąc go zbudzić z letargu.

- Jak?

- Normalnie. W oczach tego twojego lekarza. Czy kobiety nie mogą się trzymać za ręce, żeby zaraz nie wzbudzić idących daleko domysłów?

- W dzisiejszych czasach nie. - Tymek roześmiał się, wstał i przeciągnął.

- To głupie mamy czasy.

# 7

Martyna przegarnęła ręką liście ze ścieżki. Niektóre były poplamione cementem, niektóre podeptane, a wszystkie bez wyjątku już suche. Gdzieniedzie walały się kasztany, połyskując brązowo z kolczastych skorupki. Sproket wszystkie ochoczo zaczepiał, podbiegał do nich, trącał nosem, wpadał w liście i ogólnie rzecz biorąc, cieszył się jak szalony.

Podniosła głowę i wpatrzyła się w łysiejące gałęzie. Tego kasztanowca posadził ojciec i nie miała serca go wycinać, wbrew radom robotników, którzy uparcie twierdzili, że podczas budowy tak czy siak, zmarnieje. Zobaczymy, powiedziała im wtedy Martyna i gładząc znajomą od lat korę, szepnęła „wytrzymaj, daj radę”. No i wytrzymał, zadrapany tu i ówdzie, wznosił się dumnie ponad parterowym domkiem. Zależało jej na tym, żeby chociaż ten jeden element przeszłości pozostał nietknięty. Reszta wyglądała obco, mimo wielokrotnego przeglądania projektów.

Zapatrzyła się w ofoliowane jeszcze okna, na świeżą farbę na ścianach, spadzisty dach, nietknięty jeszcze zębem czasu. Wszystko wyglądało jak spod igły, w niczym nie przypominało domu, w którym dorastała, a który tak niedawno jeszcze tu stał. Specjaliści jednak byli bezwzględni. Przedstawili kosztorys renowacji starego, drewnianego budynku, a obok położyli projekt nowego domu, z wypisaną pod spodem kwotą, która była o wiele niższa od tej obok.

Mimo iż rodzice zgodzili się na wyburzenie domu bez wahania, to nie chcieli tu przyjeżdżać. Za każdym razem, gdy Martyna patrzyła na ucieleśnienie swych marzeń, zastanawiała się, czy warto realizować marzenia kosztem bólu najbliższych. Mogli jej perswadować, ile włązło, mogli tłumaczyć, że to teraz jej działka, jej dom, jej miejsce na ziemi, nic jednak nie pomagało, bo przychodząc tutaj, ciągle widziała oczyma wyobraźni stary, drewniany domek. Widziała huśtawkę rozwieszoną pomiędzy dwiema jabłoniemi. Był to raczej kawał grubego druta, który ojciec zawiesił na gałęziach. Na dole położył deskę, bo drut niemiłosiernie wpijał się w małe tyłki. Pamiętała, jak często gubiły tę deskę. Albo chowały przed sobą, żeby tylko mieć monopol na huśtanie. Później zapominały, gdzie była aktualna kryjówka i biegły do taty po następny kawałek drewna. Najczęściej nieoheblowany, zostawiający mnóstwo małych drzazg w nogach i... nie tylko.

Dopóki trwała budowa, dopóki to miejsce bardziej przypominało pobojowisko niż miejsce zamieszkania, nie czuła się nieswojo, choć żaden fragment podwórka nie przypominał miejsca, w którym się wychowała. Tymczasem teraz, zupełnie nieoczekiwanie, stanął tu piękny domek z jej marzeń, wymuskany, idealny, tyle że... ni przypiął ni przytątał do dawnego otoczenia.

Otrzeпаła ręce i machnęła w kierunku dwóch znajomych panów, zajmujących się wykończeniówką. Weszła do środka.

- Tato! - Martyna stanęła jak wryta w progu kuchni.  
- Co ty tu robisz?

- Herbatę piję - odparł spokojnie pan Henryk i odwróciwszy się z powrotem do okna, powiedział, wskazując palcem. - Widzisz dziecko? Taki sam widok. Dokładnie w tym miejscu musiałem zawsze siadać, zdumiewające, prawda? Nie wzdychaj, ile razy mam ci mówić. Jedno odchodzi, a najego miejsce przychodzi nowe, lepsze, może trwalsze...

- Może... - Martyna usiadła obok ojca, odsunęła folię ze stołu i pstryknęła czajnik elektryczny.

- A może na pewno? - Uśmiechnął się do niej. - Zostaw sentymenty. Wiem, że trudno, ale popatrz na to w inny sposób. To właściwie nie był nasz dom. Cudem ocalał, my wnieśliśmy do niego nasze życie, ale nie zbudowaliśmy go. Ktoś był tu przed nami.

- Tato, nie mów tak do mnie.

Martyna wzdrygnęła się, rozglądając niepewnie po kątach. Co z tego, że dom został zburzony, a resztki fundamentów gdzieś tam się ostały, ale miejsce? Miejsce na zawsze pozostanie zamieszkane przez poprzednich właścicieli...

- Przywołuję cię do porządku. - Pan Henryk podniósł palec wskazujący i pokiwał nim groźnie. - Już ja wiem, co sobie wyobrażasz, i ani mi się waży. Zostaw te nadprzyrodzone wizje wróżkom.

- Tato, żadne tam nadprzyrodzone. - Machnęła ręką, ale rozejrzała się jeszcze po kątach. Kątach pokrytych jeszcze folią, pachnących świeżą sosną i farbą.

- Już ja wiem, co mówię, wiem też, co ci chodzi po głowie - uśmiechnął się ojciec i położył dłoń na jej dłoni. - Odwaliłaś kawał dobrej roboty, bardzo dużo cię to kosztowało. Nie sap mi tutaj, tylko słuchaj ojca, nie mówię tylko o pieniądzach, mówię o wysiłku, o konsekwencji, o twoim upartym dążeniu do celu. Dumny jestem z ciebie, Martynko.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio słyszała takie słowa z ust rodziców. Chociaż znała ich opinię o sobie, to zazwyczaj wyrażali ją gestami i uśmiechem. Na słowach oboje raczej oszczędzali. A one są przecież takie przyjemne.

Uśmiechnęła się do taty z wdzięcznością.

- Dziękuję.

- Nie, kochana, to ja ci dziękuję. Dziękuję ci, że przywracasz tej ruinie blask, że włożyłaś tyle wysiłku, żeby to wszystko postawić na nogi. Ja już nie miałem siły i cieszę

się, że nie zawiodłaś naszego zaufania... Pięknie tu będzie. Następnego lata chyba będę mógł się gdzieś tu położyć na leżaku, z dobrą książką na kolanach, co? - mrugnął do niej.

- I ze szklanką zimnego soku w ręce... Masz jak w banku. Chodź, pokażę ci wszystko.

Wzięła ojca pod ramię i poprowadziła przez pokoje. Odgarniała deski leżące tu i ówdzie na podłodze, pokazywała, gdzie planuje urządzić sypialnię, jak ustawi meble w kuchni, że tutaj, o, naprzeciwko kominka stanie wielka kanapa... Już nawet upatrzyła sobie jedną, w stylu retro, z wielkimi fotelami. Zagraca, co prawda, pół pokoju, ale są wygodne, miękkie i takie przytulne, że nie mogła im się oprzeć. Tu się wstawi telewizor, tu ławę i jakiś regał, ale na razie trzeba skupić się na meblach do siedzenia, bo książki i naczynia mogą poleżeć sobie w kartonach, a oni tymczasem muszą gdzieś posadzić swoje cztery litery.

- Kiedy planujecie się wprowadzić?

- Wiesz, teraz, kiedy Czarek dołożył swoje oszczędności, to ruszyło z kopyta, kuchnia jest zamówiona, meble wstawię lada dzień, gdy tylko się posprząta ten bałagan.

- Wskazała podłogę i wzruszyła ramionami. - Ja chciała-bym jak najszybciej.

- Właściwie to już się można wprowadzać. Pięknie będzie.

- Tato, a powiedz mi...

- Mi - wszedł jej w zdanie ojciec, uśmiechając się przekornie, jak za dawnych dobrych lat.

- Powiedz mi, co cię właściwie natchnęło, żeby tu przyjechać?

- Hm, jakby tu... Halinka do nas przyjechała.

- Jaka Halinka? - Martyna nagle wyprostowała się czujnie.

- Halinka, a znasz w rodzinie jeszcze jakąś Halinę?

- Nie. Nie znam też takiej, która przyjechałaby sama bez dwuosobowej obstawy i bez zwierzyńca.

- No to poznasz. Przyjechała sama, bo reszta się pochorowała.

- Bez kota?

- Córkó, ja ci mówię, że ciotki się pochorowały, a ty pytasz, czy bez kota. - Skrzywił się z lekką przyganą, po czym uśmiechnął znacząco. - Bez.

- To dobrze. Żaden czarny kot nie przestąpi progu tego domu. Jak rozumiem, chciała się koniecznie przekonać, jak sobie radzę i czy Czarek się nie rozmyślił po tych paru miesiącach i nie dał dyla. Zgadza się?

- Uch, ale ty z siebie pępek robisz... No zgadza, zgadza.

- I nie mogła poczekać, aż reszta ozdrowieje?

Ojciec wzdrygnął się wyraźnie.

- Wiesz co, może to i dobrze, że nie mogła poczekać, ona jedna w zupełności wystarczy.

- Oj, tato, tato! Mamy pewnie po nią teraz pojechać i pokazać, jak sobie siostrzenica radzi na budowie, zgadza się?

- A co ty z tym zgadza?

- Czy nie mam racji? - Martyna wzięła się pod boki.

- Masz, oczywiście, że masz... - Ojciec wzruszył ramionami i spojrzał na nią niepewnie. - Ja wiem, że to bardzo brzydko z mojej strony, ale może by tak dzisiaj już, co? Może jak zobaczy, to szybciej pojedzie. Boże, przebacz.

Martyna roześmiała się, a potem wyciągnęła ojca z domu, a zamieniwszy parę słów z pracującymi mężczyznami, wepchnęła go do samochodu i pojechali po jednego z trzech najbardziej surowych krytyków w rodzinie.

- Witaj, moje dziecko. - Ciotka zatrzymała ją na wyciągnięcie chudych rąk i bacznie zlustrowała, po czym łaskawie pozwoliła musnąć powietrze obok dwóch upudrowanych policzków. - Ładnie jesteś opalona, tym razem nie zielona, hi hi, tylko mogłabyś trochę ciała nabrać. Tak,



zdecydowanie. Aniu - zwróciła się do matki Martyny - czy ona w ogóle coś je? Ach ci młodzi, w wiecznym pędzie, nawet nie mają czasu porządnie zjeść... - Nie puściła rąk Martyny, dopóki nie zerknęła na obrączkę. Jest. Znaczy, że mąż teoretycznie też powinien być.

- Oj, ciocia jak zwykle przesadza. - Martyna uwolniła się z uścisku ciotki i podeszła, by cmoknąć mamę w policzek, nie omieszkała przy tym rzucić jej pełnego otuchy uśmiechu.

- Przesadzam czy nie przesadzam, a ty zapamiętaj, że - podniosła chudy palec ku górze - mężczyźni zdecydowanie wołają kobiety przy kości. A ty przy kości masz nie za wiele.

Martyna miała na końcu języka pytanie, czy w tej kwestii ciotka kieruje się tylko literacką wiedzą, ale powstrzymała się i zerknawszy na zegarek, zaproponowała wycieczkę na plac budowy.

- Mamo, ty też pojedziesz?

- Hm - pani Anna westchnęła.

Wyraźnie było widać, że zerka w stronę łazienki, że chociaż chwilę bardzo chce odpocząć od radosnego świergotu siostry. Z drugiej strony widziała, jak bardzo zależy córce na tym, żeby nareszcie zobaczyła to, co zostało z ich dawnego domu. Jak został zmieniony. Widziała, jak bardzo Martyna potrzebuje jej aprobaty. Cóż, trzeba odłożyć własne kaprysy na bok i wesprzeć córkę, bo ona potrzebuje wsparcia o wiele bardziej niż Anna papierosa.

- Pojadę.

- Pospacerujesz sobie... - Martyna uśmiechnęła się z wdzięcznością i zasugerowała, żeby matka wzięła co trzeba z szafki w łazience.

- Ja siedzę z przodu, inaczej kapelusz mi się pogniecie. Martynko, tego zwierza mogłabyś sobie darować. - Ciotka władowała się do samochodu, obrzuciła pełnym obrzydzenia spojrzeniem Sproketa i zaczęła się mościć. Przez dłuższą chwilę Martyna musiała dokonywać niezbędnych

przesunięć, a to lusterek, a to foteli, żeby tylko uzyskać maksymalną widoczność przez zwoje koronek, rabaty kwiatowe i co tam jeszcze ciotka na swoim nakryciu głowy miała. - Dziecko, a ty za każdym razem musisz wszystko sobie tak przygotowywać?

- Nie, tylko wtedy, kiedy...

- Zasłaniasz jej, Halina - burknęła pani Anna z tylnego siedzenia, drapiąc Sproketa pod brodą.

- Ja? Ja zasłaniam? Ja nikomu nie zasłaniam, ja szczupła jestem - oburzyła się ciotka i zakręciła w fotelu, przez co Martyna musiała ponownie przeprowadzić procedurę ustawiania lusterek.

- Kapeluszem. Mogłabyś zdjąć to z głowy, nie byłoby problemu - dodała siostra.

- Ja nie robię nikomu żadnych problemów, nie przeszkadza ci, Martynko, prawda? - I dodała, nie czekając na odpowiedź: - Jedźmy już, jedźmy. A co ty tak szybko ruszasz, dziecko? Powoli trzeba, inaczej zaraz tu będzie nami szarpać. Oj, zmienił się Białystok, zmienił. Nareszcie chyba dopuścili do władzy, kogo trzeba, co? Powiało cywilizacją. Jeszcze parę lat temu...

- No, nie przesadzaj Halinko, nie przesadzaj.

- Nie przesadzam. Jeszcze parę lat temu zaniedbane toto było, zapuszczone...

- Halina!!!

- No co? Mówię, jak było. - Ciotka się obróciła i rzuciła siostrze pełne wyższości spojrzenie. - Teraz to zupełnie co innego, aż miło popatrzeć. Dziecko, wolniej, popatrzę sobie... A może przejedziesz obok pałacu?

- Nie, ciociu, to nie po drodze.

- Nie po drodze, nie po drodze - marudziła ciotka. - Człowiek chce zobaczyć, jak się rozwija miasto, a oni, że nie po drodze. Ty jakoś gwałtownie zmieniasz biegi, Martynko, a tu na światłach to najpierw drogowskaz wyrzucić...

Tutaj już ojciec nie wytrzymał i parsknął głośno śmiechem.

- Z czego, za przeproszeniem, Heniu, rżysz?

- Z drogowskazu.

- No i co cię tak bawi? Widzę przecież, że Martynka nie przestrzega podstawowych zasad ruchu drogowego, trzeba wyrzucać drogowskaz, żeby ludzie wiedzieli, gdzie jedziesz, tak, czy nie? O, jak pięknie teraz ta galeria wygląda. - Ciotka mlasnęła z zadowoleniem. - Aniu, może zajdziemy tam jutro, co? Mogłabym sobie jakiś kapelutek kupić...

Ci, którzy mogli, wzniesli oczy ku niebu, wypatrując tam jakiegoś znaku dla dodania otuchy, ci zaś, którzy nie mogli, czyli kierująca, pozwolili sobie tylko na cichutkie westchnienie.

Ciotka bardzo ostrożnie przemierzała wszystkie pomieszczenia i mruczała coś pod nosem. Ciężko było wyczuć, czy z aprobatą, czy raczej z naganą. Martyna darowała sobie obserwację cioci, a skupiła się na mamie.

Pani Anna weszła równie ostrożnie, ale na jej twarzy, zamiast nieufności zagościł natychmiast wyraz szczerego podziwu. Spojrzała na córkę i uśmiechnęła się przepraszająco. „Wybacz kochanie, że dopiero teraz... ciężko mi było”. „Wiem, mamuś, mnie też”.

Martyna złapała ją za rękę i, tak jak wcześniej ojca, zaczęła zaznajamiać ze swoimi planami, radosna, że spotykają się one z ciekawymi i praktycznymi pytaniami, i aprobatą. Nagle zrozumiała, że do tej pory nie potrafiła w pełni cieszyć się tym domem i związanymi z nim planami. Że wykonywała wszystko automatycznie, z precyzyjnym, ale pozbawionym emocji planem.

Zdała sobie sprawę, jak wiele znaczyło dla niej zdanie rodziców i ich akceptacja.

- Czy ty wiesz, dziecko, jak będzie duło od tych okien?

- Ciotka obszedłszy wszystko, zanotowała niedociągnięcia i minusy najbardziej według niej rażące.

- Nie będzie duło. - Siostra wskazała na wychodzące na taras przestronne okna dużego pokoju z kominkiem.  
- To plastiki.

- Plastiki, nie plastiki, gdy jest duża przestrzeń, to na pewno będzie wiało, innej możliwości nie ma. - Ciotka wsparła się pod boki. - U nas są małe okna, i co? Wieje jak licho, dlaczego dziewczyny się pochorowały? Tak, prawda, że lato było strasznie gorące i zbyt szybko spadła temperatura, czego słabsze organizmy nie wytrzymały. - Tutaj poprawiła znacząco kapelusz. - Ale ten wiatr, co nam wlatywał przez okna, też zrobił swoje.

- Wy mieszkacie w starej kamienicy. Swoją drogą to dziwię się, że jeszcze wam tych okien nie powymieniali  
- wytknęła pani Anna.

- Nie powymieniali i nie powymienią. Po naszym trupie. Na dole sobie paniusia zażyczyła wymienić okna i co teraz ma? Co ma, pytam? Grzyba ma. - Pani Halina rozejrzała się po przestronnym pokoju. - A tutaj to będzie hulać i dmuchać. A jak nie, to grzyb się załęgnie. A dzieci? Co z dziećmi, się pytam. Powinny w jak najlepszych warunkach dorastać. A nie w grzybie. Martynko, kochanie - w tym momencie ciotka zmieniła nieznacznie ton głosu i spojrzała znacząco na brzuch siostrzenicy.  
- A ja już myślałam, że może masz jakąś radosną nowinę do zakomunikowania?

- Eee, ajaką? - Cojak co, ale Martyna nie miała ochoty wnikać w swój osobisty problem. Na pewno nie przy ciotce. Spojrzała więc bezradnie na rodziców, czekając na pomoc. Ale się nie doczekała, bo oboje wbili w nią spojrzenia podobne do ciotczyego.

- Jak to jaką? Kiedy nam się rodzina powiększy.

- Nie wiem.

- A czego tu nie wiedzieć? Czas już najwyższy ku temu, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie. Nie zwlekaj, Martynko, bo im dalej tym później, tym więcej chorób może

mieć dzieciątko, a ty możesz mieć problem z donoszeniem ciąży. A jeżeli przyjdzie ci próbować ileś tam razy...

- Dość! - Martyna zacisnęła pięści, wolała sobie w tej chwili nie wyobrażać, że gdy już uda jej się zająć w ciążę, to będzie mogła poronić... Nie, nie, niech się ciotka zamknie.

- Mówię przecież, że to naukowo jest...

- Ciociuuu, wystarczy...

- Ale czego wystarczy? - Ciotka z niezadowoleniem zmarszczyła brwi, jak ta gówniara w ogóle śmiała jej przerywać i jakim prawem nie pozwalała wykazać się wiedzą.

- Zamknij się, Halina. - Pani Anna przybyła wreszcie córce z odsieczą, ostro i zdecydowanie, bo tylko w ten sposób można było zatrzymać lawinę pytań. - Martyna teraz nie będzie z tobą rozmawiać o niczym, nie widzisz?

- Widzę - zasyczała ciotka, obrażona, oczywiście, ale nie zamierzała dać spokoju ani tym bardziej się zamknąć. Zwietrzyła jakiś problem i nie wyjdzie stąd, dopóki się nie dowie, o co chodzi. Musi przecież zawieźć nowiny czekającym tam, w Łodzi, siostrom. - Tylko nie wiem dlaczego, czyżby coś z mężem nie tak?

- Ciociu... mamu... tato... - Martyna przerzucała spojrzenia z jednej osoby na drugą, zatrzymała się w końcu na matce i wzruszyła ramionami zrezygnowana. - Miałam wam powiedzieć... inaczej, tylko nie było jakoś okazji. Mamy problem, więc nie wiem, jak to będzie z dziećmi. Naszymi dziećmi. Chodzę na badania, jedną serię mam za sobą, przyjmuję leki, staramy się, ale zbyt wielkich szans nie ma. Tak wyszło. Nie chcę teraz wchodzić w detale, bo jakoś nie mam siły, po prostu tak wyszło.

Oczy pani Anny zaskliły się niebezpiecznie. Stanął jej w oczach jasny, mały pokój na poddaszu, ze spadzistym dachem, z wiadrami żółtej farby na podłodze. Usytuowany tuż obok dużej sypialni. Przygotowany, oczekujący na małego mieszkańca.

Nie wytrzymała i pociągnęła Martynę za sobą. Wyszły przed dom i usiadły na schodach, nie patrząc na to, że całe były pokryte czymś białym.

- Pal, nie oszczędzaj się.

- Jak? Skąd wiesz?

- Oj, mam, proszę cię - westchnęła Martyna zrezygnowana. - Wyszło jak wyszło, wybacz. Gdyby ciotka tak nie naciskała, może bym wytrzymała i poczekała na jakiś dogodny moment i powiedziała wam jak człowiek, wybacz.

- Ja ci nie mam nic do wybaczenia. - Pani Anna mocno zaciągnęła się dymem, raz i drugi. - Ja tę zórzę pakuję dzisiaj do pociągu, razem z jej nieszczęsnymi kapeluszami. I powiem jej wyraźnie, że dopóki nie zrozumie, w jaki sposób się postępuje z innymi ludźmi, to niech się lepiej nie pojawia.

- Daj spokój, mam. Myślisz, że to coś da?

- Nie wiem czy da, czy nie da. Ale tak dalej być nie może. Nie będą wiecznie terroryzowały całej rodziny. A już na pewno nie moich dzieci. - Spojrzała na córkę i przysunęła się bliżej. - Jak tam?

- Nie wiem. Chciałabym powiedzieć, że dobrze, ale chyba tak nie jest. Przynajmniej nie do końca. - Martyna wzięła do ręki leżący nieopodal patyk i zaczęła przegarniać nim liście. - Widzisz, Czarkowi do szczęścia wystarcza Sproket. - Pies usłyszawszy swoje imię wślizgnął się pyskiem pod dłoń pani. - Nie, nie mogę powiedzieć, że mnie nie wspiera, tylko on nie czuje takiej silnej potrzeby jak ja. Ja chciałabym zrobić wszystko. Rzucam wszystko i lecę zrobić badania, na przykład. A on ostatnio mi powiedział, że przez ten tydzień nie może, bo nie ma go kto zastąpić. Wiesz, są rzeczy ważne i ważniejsze. Ja się złoszczę, bo on nie chce, on się wścieka, bo ja nie rozumiem...

- Dlaczego nie mogę do nich pójść? - Zapiszczała ciotka w głębi domu.

- Bo ci nie pozwalam. Stój albo siadaj, nigdzie nie idziesz, bo dosyć już wyrządziłaś szkody - zagrzmiał ojciec i głośno czymś szurnął.

- Oho ho, dawno nie słyszałam, żeby się tak wściekła - szepnęła Martyna.

- Bo też nikt nie posiada tych szczególnych umiejętności wściekania go, oprócz moich sióstr... no i mnie... czasami - uśmiechnęła się pani Anna. - A wracając do ciebie, czy brak wam płaszczyzny porozumienia?

- No, chwilami.

- Dziwisz się?

- Mamo, pewnie, że się dziwię. Wybrałam męża w wieku, w jakim, nie oszukujmy się, raczej już się mężów nie wybiera. Jestem dojrzałą kobietą, on dojrzałym facetem, więc nie powinniśmy mieć problemów z dogadaniem się, prawda?

- Teoretycznie tak. Tylko pamiętaj o kompromisach, o...

- Mamo, proszę cię, nie zaczynaj jak Anita.

- Ma rację, ma długi staż małżeński, wie co mówi. Pamiętaj, że ja mam jeszcze dłuższy, no i... Nie przerywaj mi, proszę... Pamiętaj o tym, że chociaż panowie podobno mają instynkt ojcowski, to nijak się ma do naszego, macierzyńskiego. Trudno im to zrozumieć. Musisz się uzbroić w cierpliwość.

- Aj, łatwo ci powiedzieć.

- Może i łatwo, ale tobie też będzie łatwiej, jeżeli nie będziesz musiała z nim walczyć, jeżeli będziesz mogła się na nim oprzeć, jeżeli czasem powstrzymasz swój długi jęzor. - Pani Anna przytuliła córkę, żeby załagodzić ostre słowa.

- Ale to nie jest takie proste.

- Nie jest, ale dasz sobie radę.

Który raz już to słyszała? Czy oni wszyscy nie pokładają w niej zbyt dużo wiary? Bo Martyna zaczynała odczuwać zmęczenie, zaczynała powoli nabywać przeświadczenia, że niekoniecznie da sobie radę. Innymi słowy wpadła w dół. Kiedy indziej rozbawiłaby ją może skruszona mina ciotki,

która właśnie wylądowała na tylnym siedzeniu obok Sproketa i spod przyciśniętego ronda kapelusza zerkała niepewnie na pozostałych pasażerów.

Kiedy indziej tak, ale nie dzisiaj.

Odwiozła rodzinę i pożegnała się przy samochodzie. Zadzwoiła do salonu, żeby poprzekładać znowu swoje klientki, po czym skierowała się na osiedle Sybiraków. Po drodze zajechała do sklepu na Mieszka, kupiła ziemniaki, cebulę, kiełbasę i boczek wędzony. Dorzuciła jeszcze dwa jogurty, jajka i mąkę, po czym wtarabaniła to wszystko do samochodu i pojechała do domu.

Anita zawsze mówiła, że na chandrę najlepsze jest pitraszenie. Albo zakupy. Na zakupy trzeba mieć ochotę i trzeba mieć z kim się wybrać. A ona chwilowo nie miała. Wzięła się za gotowanie. Tak, zrobi Czarkowi pyszną babkę ziemniaczaną, on mówi blin... Śmiesznie. Zakasała rękawy i zaczęła obierać ziemniaki, na patelni już skwierczała cebula, a kiełbasa czekała na swoją kolej na desce. Sproket przysiadł na puszystym ogonie i wyciągnął nos w kierunku patelni.

- Co, piesku, głodny jesteś? Tobie też skapnie kawałek, obiecuję.

Tak, zrobi mu pyszne jedzenie, dawno nie było ku temu okazji. Mama ma trochę racji. Przecież Martyna nie była, obiektywnie rzecz ujmując, wymarzoną żoną. Wracała do domu późno, zmęczona, głodna, zdolna tylko do tego, żeby walnąć się przed telewizorem albo z książką, nieskora do rozmowy. Nagadała się przecież w salonie. Rzadko gdzieś wychodzili, bo nie miała czasu albo po prostu nie dawała rady.

Muszę to zmienić, przyrzekła sobie. I zacznę od dzisiaj. Nie ma już potrzeby tyrać od świtu do nocy. Dom jest na ukończeniu, umebluje się go z czasem, a teraz... Teraz musimy się zająć sobą. Tylko ciągle było jej ciężko nauczyć się funkcjonowania w związku. I liczenia się z czyimiś



potrzebami. Do tej pory była sama, miała zachcianki - spełniała je. Kolejny ziemniak wylądował w garnku. Miała jakąś potrzebę - proszę bardzo, przecież nie muszę się na nikogo oglądać, patrzeć, czy ta moja potrzeba współgra z potrzebą tej drugiej osoby. Jeżeli czegoś nie chciała, to sprawa prosta, nie robię tego. Teraz?

Teraz było inaczej.

Przepuściła ziemniaki przez maszynkę. I musi o tym pamiętać, bo straci człowieka, na którym tak bardzo jej zależy. A przez co? Przez swoje głupie, staropanieńskie przyzwyczajenia. Należy się przemóc.

Energicznie wrzuciła plastry boczku na dno blaszki. Teraz już Sproket nie wytrzymał i wsadził nos w naczynie. Trzeba się przypomnieć, bo pani najwyraźniej zamierzała nie dotrzymać obietnicy i nie dać mu ani kawałeczka.

- Poczekaj, kolego. - Martyna delikatnie odsunęła go łokciem i sięgnęła po skórki odcięte z boczku. - Kultury trochę, a nie tu z pyskiem się pchać. Proszę bardzo, to na razie musi ci wystarczyć. Reszta później, gdy już się upieczą, dobra?

Sproket wydawał się usatysfakcjonowany, usiadł więc grzecznie przy swojej misce i z wywieszonym jęzorem czekał na smakołyki.

- Proszę bardzo. - Martyna wsypała mu pozostałości z cichą nadzieją, że nie zaszkodzą, i przysiadła w kucki obok jedzącego psa. - Widzisz, muszę się nauczyć paru rzeczy. Żyć z nim, a nie obok niego. Z twoim panem znaczy.

Wstała energicznie i rozłożyła na blachę ziemniaczaną masę. Tak właśnie robi. A gdy dogadają się w innych sprawach, dojdą też do porozumienia w sprawie dzieci. Wytłumaczy mu, a on zrozumie.

Wstawiła blaszkę do piekarnika, otrzepała dłonie i przyznała Anicie rację. Coś w tym jednak jest. Człowiek mechanicznie wykonuje znane od lat czynności, a głowę

ma dzięki temu puściutką i zadziwiająco jasną. Musi częściej gotować.

Ambitne plany wyjaśnienia sobie wszystkiego wzięły jednak w łeb wraz z trzaśnięciem drzwi wejściowych i słowami:

- O, Martynka, już jesteś? Zobacz, kto nas odwiedził.

- Czarek stanął radosny w drzwiach kuchni. Miała nadzieję, że radosny na widok żony, ale tuż za nim pojawiła się jasna i jakże znieawidzona głowa.

- Cześć, Martyna - powiedziała głowa, po czym błysnęła hollywoodzkim uśmiechem.

- Cześć. - Uśmiech pojawił się niejako automatycznie, w głowie zaś zaświtała piękna wizja. Oto blacha, którą Martyna dzierży w rękawicach kuchennych, łąduje ze świstem na ufryzowanej czuprynie, siejąc spustoszenie i zamęt. Sprawia, że z twarzy przybyłej znika paskudny uśmiech, a pojawia się grymas niedowierzania i bólu. O tak... Wizja jednak znikła, bo rękawice zaczęły przepuszczać ciepło i Martyna syknęła z bólu. - Siadajcie, gotowa już.

- Cudownie pachnie. - Czarek z lubością wciągnął zapach i przymykając oczy, przysunął żonę do siebie. - Jesteś wspaniała, kochanie. A ten zapach, tak, ten zapach przypomina mi tę niezastąpioną babkę, którą robiła twoja mama, pamiętasz, Dorota?

Martyna wysunęła się z jego objęć i jak automat podeszła do szafki, po talerze. Dźgnęła ją. Czy to jest koloryzowanie? Czy on powinien zachwycać się kulinarnymi wspomnieniami z czasów, podobno bardzo odległych, kiedy ich przyjaźń miała nieco ciaśniejszy charakter? Czarka i Doroty? Chyba nie powinien... A skoro nie powinien, to dlaczego tak robi? Z nieświadomości czy z chęci dopieczczenia Martynie? Tylko dlaczego miałyby to robić. Rozstawiła talerze i sięgnęła po blachę.

- Pamiętam, pamiętam, do tej pory wspomina, jaki miałeś na tę babkę apetyt - roześmiała się dźwięcznie

Dorota. - Mówi, że nikomu przed tobą ani nikomu później nie udało się pochłonać ponad połowy blachy za jednym zamachem. Wiesz, Martyna? Taki miał apetyt.

- Tak?

- Pewnie. - Dorota łyknęła mleka i przegryzła kawałek. - Moja mama dodawała zawsze kaszy manny.

- Taaak, no i dzięki temu była taka puszysta - rozmarzył się Czarek.

- Kto, mama? - Dorota przekornie przechyliła głowę.

- Nie - roześmiał się. - Twoja mama to chucherko. Babka. Ale tobie, kochanie, też pysznie wyszło.

Kawałek miękkiej potrawy utkwiał Martynie w gardle wielką kluchą i nie zamierzał przesunąć się dalej w kierunku żołądka. Sięgnęła po mleko, przepchnęła kluchę niżej. Mnie też pysznie wyszło. Też.

Zerknęła na Dorotę, która tymczasem odsunęła talerz od siebie i oparła się o ścianę, wbijając wzrok w Martynę. Na jej ustach błąkał się wiele znaczący uśmieszek i Martyna nagle zdała sobie sprawę, że między nimi dwiema toczy się jakaś idiotyczna rozgrywka. Niezrozumiała, beznadziejna i zupełnie pozbawiona sensu. Chociaż może nie? Na czym właściwie zależało Dorocie? Żeby odzyskać dawnego faceta? Żeby zrobić jej na złość i uświadomić, że jako żonie wiele jej brakuje do ideału? Że z Czarkiem łączy ją o wiele mniej niż jego dawną kobietę?

Sproket grzecznie usiadł na podłodze przy kolanach Martyny i wbił w nią ciemne oczy. Dobrze wiedział, kto tu rozgrywa kulinarne karty, komu ma się przypochlebić, żeby dostać chociaż kawałeczek tej cudnie pachnącej mazi, która szybko znikała z talerzy. Martyna poklepała go po głowie, na co zareagował swoim uroczym uśmiechem i bardzo czytelnym mlaśnięciem języka.

- Chodź, psino, tu u mnie zostało trochę. - Dorota pochyliła się w stronę Sproketa, ułożywszy na dłoni jedzenie. On jednak zerknął w jej kierunku jednym okiem, po czym położył łapę na kolanie swojej nowej pani.

- No chodź, tobie też nakładam. - Martyna miała ochotę dać mu teraz gwiazdkę z nieba albo największą i najświeższą kość, wdzięczna za ten mały objaw lojalności.

- A może to dla niego za tłuste. - Dorota na powrót oparła się o ścianę, wycierając dłonie w chusteczkę. - Co, Czarek?

- Uhm, dołóż mi też. Nie powinien...

- Nie je tego codziennie - ucięła zdecydowanie Martyna, patrząc z głębokim uczuciem na swojego sojusznika. Nieważne, że zależało mu tylko na jedzeniu. Zupełnie nieważne. Wiedział, kto tu rządzi. To było najważniejsze. W dziwny sposób dodało jej to otuchy i nieoczekiwanie dla samej siebie siadła się na kolana męża.

- Jak tam, smakowało?

- Mmm, pycha, uwielbiam, gdy wracasz wcześniej. - Cmoknął ją mocno w policzek i powrócił do jedzenia.

- Teraz będę częściej.

- O, coś się stało?

- A co się miało stać. Dzisiaj byłam na działce, oglądałam postępy. Czarek, zdążymy przed zimą, wiesz?

- Cudo, to znaczy, że nadchodzące mrozy będziemy mogli przekocować przed kominkiem. - Mrugnął do niej znacząco.

- Tak, z kieliszkiem w dłoni, z wichurą za oknami i w ogóle.

- Ykhmm - Dorota, zmrużywszy oczy, przyglądała im się uważnie, chociaż spojrzenie zogniskowane było raczej na twarzy Martyny. - A jak wam napada śniegu, to będziecie ramię w ramię odśnieżać, ech, niepoprawni romantycy. Czarek, zrobisz mi herbaty? Wiesz, jaką lubię, bo... jakoś się tą babką zatkałam. - Wzruszyła ramionami przepraszająco. - Sorki.

- Ja ci zrobię. - „A do tego dosypię cyjanku” pomyślała.

Martyna podniosła się z mężowskich kolan, czując się nagle straszliwie głupio. Przypomniały jej się czasy wczesnoszkolne, dokładnie rzecz biorąc - zerówka. Wtedy na

zabój zakochała się w jakimś Roberciku. Roberto, dziecko urocze, co chwila prezentował głębokie dołki w policzkach, A czym wykaszał konkurencję? Jako jedyny posiadał pachnące, chińskie gumki w precyzyjnych kolorach, a posiadał ich tyle, że zawsze bez najmniejszych skrępowań dzielił się tymi chińskimi cudami z aktualną wybranką serca. Tłukły się o niego. Teraz Martyna nie mogła się pozbyć wrażenia, że cofa się do tych szczenięcych lat, a przez zabiegi Doroty zaczyna rozgrywać jakąś idiotyczną gierkę, jak małolata walcząca o chińskie gumki.

Pochyliła się nad Sproketem, w zamyśleniu poczochnęła go pod brodą i dała sobie polizać dłoń. Po czym, zupełnie bezwiednie, czekając, aż się zagotuje woda i czując na sobie świdrujące spojrzenie Doroty, przejechała palcami po krawędziach kubka. Postawiła herbatę przed gościem i usiadła po turecku na podłodze, a najedzony i zadowolony Sproket natychmiast się do niej doturlał i liznął po policzku.

Martyna wyłączyła się. Uśmiechała się od czasu do czasu, kiwała głową i udawała, że jest pochłonięta rozmową tej dwójki w równym stopniu, co oni sami. Tymczasem, przeczesując gęstą sierść posapującego sennie psa, zastanawiała się, jak właściwie doszło do tego, że musi konkurować z jakąś babą o własnego męża. Wniósł ją do posagu, jak niechciane porcelanowe filiżanki, z tą różnicą, że filiżanki dało się zapakować w karton i wcisnąć do piwnicy. Doroty w karton zapakować się nie dało. Niestety. Stanowiła nieodłączny element ich życia i o ile na początku małżeństwa Martyna w ogóle nie zwracała uwagi na to, jak często Czarek spędza czas w jej towarzystwie, o tyle teraz zaczynała mieć wrażenie, że zdarza się to bez przerwy.

Kto był winny? Czy nie ona sama, spędzając każdą wolną chwilę w salonie? Przecież tym samym dawała tej zoździe zielone światło. Masz, zaopiekuj się nim, ja nie mam czasu.

Martyna podniosła głowę i rzuciła przelotne spojrzenie na kobietę rozpierającą się swobodnie przy ich kuchennym

stole. Była taka zadbana. Jasne pasemka układały się miękko wokół twarzy. Twarzy zawsze umalowanej. Paznokcie nosiły ślady pieczołowitych zabiegów kosmetycznych za każdym razem, gdy Martyna ją widziała. Spojrzała na swoje palce, zagłębiające się raz za razem w sierści Sproketa. Kiedy o nich zapomniała? Przecież codziennie była w salonie, Beata już parę razy namawiała ją na nowe odcienie. Błysnęła cienka obrączka.

- Martyna... - dobiegł ją głos Czarka, a po chwili wypielegnowana dłoń Doroty spoczęła na ramieniu Martyny. Otrząsnęła się.

- Tak, słucham was, tylko na chwilę...

- Dorota cię pytała o coś.

- Tak? - spojrzała w lekko przymrużone oczy.

- Chciałabym zostać twoją przyjaciółką. Taką wiesz, od serca.

- Co? - Martynie zaczęło się wydawać, że przysnęła.

- Taką prawdziwą, bo w pracy, to...

- Poczekaj. - Martyna podniosła się z podłogi, strącając jej rękę. Nie wytrzymała. - Ja mam przyjaciółki, takie od serca, prawdziwe. Wystarczy mi ich.

- Jak mogłaś? - Czarek spacerował w tę i z powrotem po ich niewielkim pokoju.

- Co jak mogłam?

- Jak mogłaś w ten sposób się do niej odezwać?

- Czarek...

- Ona chciała się z tobą zaprzyjaźnić, od początku chciała, gdy tylko jej powiedziałem, że poznałem cudowną kobietę, z którą chcę spędzić resztę życia. - Czarek zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Martynę z wyrzutem. - Od razu powiedziała, tak bardzo chciałabym się z nią zaprzyjaźnić.

- Czarek...

- Nie wierzę po prostu. Ty, taka łagodna kobieta, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi się zrobiło głupio, nie wiedziałem, jak mam się zachować.

- Dasz mi wreszcie dojść do głosu? - Martyna zatrzymała go, kładąc mu dłonie na ramionach. Z całej siły powstrzymywała się, żeby nie wyrzeszczeć wątpliwości, które nią targały od paru miesięcy. - Ja nie jestem pewna, czyją ona chce być przyjaciółką.

- Co? Co ty pleciesz?

- Nie wiem, czyją chce być przyjaciółką, czy twoją, czy moją. Odnoszę wrażenie, że jednak twoją. To nie ze mną próbuje się umawiać, to nie do mnie do salonu przychodzi, wreszcie to nie ze mną siedzi i rozmawia, czy robi Bóg wie co, kiedy ciebie nie ma w domu. Tylko z tobą.

- Oszalałaś? A dlaczego niby z tobą ma siedzieć, ciebie prawie wcale nie zna.

- Otóż właśnie.

- Martyna - zdjął jej ręce ze swoich ramion i znowu ruszył w wędrowkę po pokoju - czy ty słyszysz, o czym my rozmawiamy? Przecież to już jest moja przyjaciółka, jest mi bardzo bliska, znamy się wiele lat, wiele razem przeszliśmy.

- Nie jestem pewna, czy czas przeszły to forma uzasadniona w tym przypadku. - Założyła ręce na piersi i odwróciła się do okna.

- Jak to?

- Najzwyczajniej w świecie. Cały czas przechodzicie, a jedyna zmiana, jaka zaszła, to pojawienie się kolejnej osoby na drodze waszych wspólnych doświadczeń.

- Proszę cię, nie ironizuj.

- A co mam robić? - Odwróciła się do niego gwałtownie, nie usiłując powstrzymać łez, a Sproket cicho zaskowyczał i ułożył się obok szeroko rozstawionych stóp Czarka. O, tyle z lojalności zwierzęcej. - Wracam do domu, a w tym domu kto? No oczywiście, że wy. Gotujecie sobie akurat...

- Chciałem ci przygotować obiad, a ona mi pomagała, do cholery, Martyna!

- Nie krzycz na mnie, OK? Nie krzycz. Nie odpuszczasz sobie wieczornego SMS-a do niej, tak? - Martyna z wściekłością otarła łzy. Nie chciała płakać, nie chciała mówić tego, co mówiła, ale wydawała się w tej chwili sama sobie rozpedzoną lokomotywą, której nie sposób zatrzymać. - Po pracy gdzie jedziesz? Do kogo?

- Martyna, na litość boską, ja cię nie poznaję. Przecież ona niedawno się rozwiodła, jest w ciężkiej sytuacji, więc jak ja niby mam nie odpisywać jej na SMS-y, skoro potrzebuje paru ciepłych słów. - Czarek przyglądał jej się szeroko otwartymi oczami, zupełnie jej nie rozumiejąc.

- Czego jeszcze potrzebuje? - syknęła ze złością. - I co jesteś jeszcze w stanie jej zaoferować?

- O co ci chodzi? Nie podoba ci się, że pomagam ludziom? Że jestem ciepły, uważaj, bo teraz cię cytuję, współczujący i taki zupełnie inny.

- Otóż nie, nie jesteś inny. Jesteś ulepiony z identycznej gliny, co reszta. Sama nie wiem zresztą, czy to glina, czy inne badziewie.

- Martyna!

- Nie wrzeszcz na mnie, powiedziałam, że interesuje cię bardzo, w jaki sposób ona przeżywa swój rozwód. A to, w jaki sposób ja przeżywam to, że nie mogę mieć dziecka, to już cię nie interesuje. Albo zdecydowanie mniej. Nie masz czasu, żeby o tym porozmawiać, nie masz czasu, żeby mnie pocieszyć, pójść chociaż na jedną wizytę. Jest problem. Nasz problem, a ty nie jesteś w stanie pomóc mi go rozwiązać.

- To nie jest nasz problem - zacisnął pięści i wpatrzył się ze złością w Martynę.

- Cooo?!

- To nie jest nasz problem, tylko twoja obsesja. O niczym innym nie potrafisz mówić, o nic innego mnie nie pytasz, moje zdanie się nie liczy. Od paru miesięcy



każesz mi się kochać na zawołanie, pod dyktando termometru i wskazań lekarza. Bo jajeczko... - przedrzeźniał ją. - Nie obchodzi mnie twoje jajeczko, interesujesz mnie ty, twoje ciało, a pod dyktando nie potrafię żyć. Nie potrafię czerpać w ten sposób satysfakcji z seksu. Mam dość biegania po testy ciążowe, sterczenia nad kawałkiem plastiku i wpatrywania się w niego jak w wyrocznię. - Podszedł już bardzo blisko Martyny i strzelał słowami prawie szeptem, ale mocno, ostro. - A później stawiania cię na nogi przez czternaście dni cyklu, kiedy maraton zaczyna się na nowo. Mam tego dość.

Zamilkł równie nagle, jak zaczął mówić, przestraszony sensem przebrzmiałych właśnie słów. Odwrócił się, usiadł na kanapie i schował twarz w dłoniach. Po chwili wstał, podszedł do niej.

- Martyna...

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z których równo i prawie bez przerwy płynęły łzy.

- Martyna... przepraszam. - Chciał ją objąć, ale podniosła ręce do góry i wyminawszy go, ruszyła zdecydowanym krokiem do przedpokoju. Założyła kurtkę, wytarła ze złością oczy i pobiegła do łazienki. Dało się słyszeć głośne wydmuchiwanie nosa i szloch. - Martyna... Gdzie idziesz? Posłuchaj...

- Nie chcę cię już słuchać. - Zawiązała buty i nie patrząc na płaczącego się między nogami psa, wyszła zamykając cicho drzwi.

Przez chwilę miała problem z trafieniem kluczykiem w stacyjkę. Kątem oka widziała Czarka w oknie i chciała się od niego jak najszybciej oddalić. Najchętniej wymazałaby z pamięci całą rozmowę, cofnęła czas, nie zaczęła tematu. Z drugiej strony dobrze się stało. Dobrze jest wiedzieć, na czym się stoi, czego można się spodziewać po

człowieku, którego w pewnym momencie swojego życia zaczyna się uważać za podporę, zajedyne w swoim rodzaju wsparcie. Nagle to wsparcie wydało jej się okrutnie kruche, miała wrażenie, że ten mur, który od jakiegoś czasu uosabiał Czarek, skruszył się w mgnieniu oka. Poczuła, że znowu jest sama.

Skierowała się najpierw na Bojary, ale po chwili zmieniła zdanie i mknęła już w kierunku Zielonych Wzgórz. Teraz nie jest jej potrzebne ryzyko. A jadąc do Anity, mogła usłyszeć, że w czymś tam Czarek miał rację. Teraz Martyna potrzebowała całkowitego wsparcia, nieracjonalnego potwierdzenia swoich odczuć. Wdeptania Czarka w ziemię jak wylazła po deszczu rosówkę. Chciała usłyszeć, że zachował się jak cham, prostak, świnia i kolejny paskudny szowinista, który nie ma bladego pojęcia o kobietach. To chciała usłyszeć.

Krytycznie do bólu i zgodnie z jej aktualnym stanem ducha. Anita w swojej szczerości mogła jej tego nie zapewnić. Natomiast Iwona a jakże. Zawsze można było liczyć na jej pełne współczucia potakiwanie.

\* \* \*

- Otwieraj, to ja. Nie jesteś zajęta, położyłaś już dzieci spać i musisz mieć dla mnie czas - zawyła do domofonu w odpowiedzi na niewyraźne „Halo” Iwony. Po chwili zabzyczał zamek w drzwiach oświadczający łaskawie, że można wejść. Aby nie na długo. To już akurat Martyna sobie dopowiedziała, bo niestety, jej druga przyjaciółka - pokłócona z Anitą na amen chyba pierwszy raz od bardzo wielu lat, jeżeli nie od samego początku znajomości - Martynę też omijała szerokim łukiem. O ile telefony od Anity ignorowała, o tyle Martynę zazwyczaj zbywała krótkim „Cześć, jestem zajęta, dzieci to, dzieci tamto, Daniel wrócił”. O, w wynajdywaniu wymówek, które niekoniecznie były zgodne z prawdą, Iwona była mistrzynią. Tyle, że tym

razem Martyna nie da się zbyć. Nie ma takiej opcji. Załomotała do drzwi.

- Otwieraj. Natychmiast.

- Pali się? - Iwona stanęła w drzwiach z założonymi na piersiach rękami. Coś w twarzy przyjaciółki kazało jej jednak powstrzymać się od dalszych sarkastycznych uwag.

- Tak.

- U ciebie?

- Tak - wysapała Martyna. - Pali mi się grunt pod nogami.

- Chodź.

- Ja po prostu nie wiem, ale coś mi od początku mówiło, że ten związek nie ma szans powodzenia. - Martyna doskonale знаła drogę do kuchni, więc szła, mówiła i co chwilę odwracała się, żeby upewnić się, czy każde słowo dociera do Iwony bez szwanku. - Zaczęło się od czego? No od czego, pytam? Ha, źle się zaczęło. Można powiedzieć, że się o niego potknęłam, tak? Oczywiście, stanął mi na drodze, zaplątał i bęc. Stało się, oczy w oczy, noga boli, obaj złapali mnie bez reszty za serce, rozumiesz?

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz. Gdybyś rozumiała, od razu byś powiedziała albo przynajmniej próbowała powiedzieć, żebym się dwa albo i trzy razy zastanowiła, zanim się zgodzę na ten cholerny ślub. Cześć, Daniel - rzuciła Martyna w stronę dziecięcego pokoju. Michał ujeżdżał właśnie tatę i ryczał wniebogłosy ze szczęścia.

- Jacek. Cześć!

Mąż Iwony zaprezentował się od przodu i faktycznie okazał się wcale nie mężem Iwony, tylko znajomym, który gdzieś tam na którymś sylwestrze, jednym albo i dwóch zamajaczył między oparami alkoholu.

- Jacek, cześć - powtórzyła bezmyślnie Martyna, wzniosłszy nieco brwi. Odsunęła od siebie wszelkie pytania na później, podeszła do dzieci, dała się wyściskać,

a przyjrzawszy się przez chwilę zabawie, podjęła swoją wędrówkę do kuchni.

- Co się stało, kawy ci zrobić? - Iwona oparła się biodrem o parapet.

- Ech... - Chwilę trwało, zanim Martyna na powrót zebrała myśli i przypomniała sobie przerwany wątek. - Zrób. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały jasno i wyraźnie, że nie powinnam się z nim wiązać. Rozumiesz? On mi wcale nie był pisany. Tam - Martyna wskazała niebo za oknem - tam miałam to wszystko zupełnie inaczej poukładane.

- Gdzie tam, za oknem?

- W gwiazdach. W gwiazdach, ignorantko.

- Skąd wiesz? - Iwona wzruszyła ramionami.

- Ajak wytłumaczysz mój fatalny od początku do końca ślub?

- Wcale nie był fatalny.

- Jak to nie był? Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, wszystko.

- Martyna, co się dzieje, powiesz mi wreszcie? - Przyjaciółka postawiła jej kubek przed nosem i usiadła naprzeciwko, wpatrując się w nią uważnie.

- Źle się dzieje. - Po czym Martyna, dukając, zrelacjonowała przebieg ostatnich paru tygodni.

Opowiedziała o wizytach, o wszystkich tych dniach, którymi rządziła niepewność i nadzieja. O tym, jak ta nadzieja potrafi lec w gruzach w ciągu jednej chwili. O tym, jak ciężko jest wytłumaczyć drugiemu człowiekowi tę głęboką potrzebę, która w tej chwili zawładnęła nią bez reszty. Wyrzucała z siebie wszystko, zadowolając się kiwnięciami głowy i pełnymi współczucia pomrukami, jakie wydawała z siebie Iwona. Wreszcie, na samiułkim końcu, wspomniała o wrzodzie na tyłku imieniem Dorota. Tutaj już nie była w stanie powstrzymać się od ironicznych komentarzy, nie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby jak najwierniej

przedstawić wszystkie zaistniałe, a przecież tak dla niej paskudne sytuacje. No, może trochę tylko ubarwiając.

- Wiesz co? - Iwona była do głębi wzburzona.  
- Dobrze zrobiłaś, bo co ona sobie wyobraża? Czego ona właściwie chce?

- Chce z powrotem Czarka, to wszystko.

- Jak to? I ty mówisz tak spokojnie? Martyna, nie poznaję cię.

- To mnie poznaj. Mnie - mężatkę, mnie - kobietę, która chce mieć dziecko i nie może go mieć. Kobietę, która przegrywa na całej linii z jakąś zrobioną na bóstwo dziunią. Wiesz co? - Martyna obróciła kubek w tę i z powrotem.

- W sumie wcale się nie dziwię, że wszystkie huragany, zwłaszcza te większe, nazywają żeńskimi imionami. Mam wrażenie, że przez moje życie przefruwa właśnie Alicja czy inna Katrina i sieje całkowite spustoszenie.

- Przesadzasz.

- Nie, nie przesadzam, a najgorsze w siłach natury jest to, że nijak nie możesz ich powstrzymać. - Martyna wsparła głowę na dłoniach.

- No, kto jak kto... Dobrze mu powiedziałaś, bardzo dobrze. I tak trzymaj, Martyna. Trzymaj się swego. - Iwona pogłaskała przyjaciółkę po ramieniu. - Niech się zdecyduje i niech zrozumie, że tak nie wolno się zachowywać.

- Kto? Ona? Ona świetnie rozumie, czerpie z tego satysfakcję i ma ubaw po pachy.

- Nie ona, to Czarek ma zrozumieć.

- Czarek... Nie wiem. Chwilami mam wrażenie, że trochę brakuje mu kręgosłupa.

- I dopiero teraz to zauważyłaś? - Iwona sapnęła z powątpiewaniem.

- Nie wiem, rozumiesz? Nic już nie wiem. Było mi dobrze. Marzyłam o czymś, miałam za czym tęsknić. A teraz, gdy już to mam, przynajmniej połowicznie, to nagle okazuje się, że trzeba bardzo uważać z marzeniami, bo one

mogą się później wydawać niekoniecznie takie różowe jak w wyobraźni. Wiesz, co mam na myśli.

- Chyba tak...

Zamyśliły się tak głęboko, że nie usłyszały wejścia Jac-ka. Dopiero ciche chrząknięcie spowodowało, że uniosły głowy.

- Ja już będę leciał. Michał zasnął, a Olka przegląda ja-kieś książki, u siebie w łóżku - poinformował zwięźle.

- O, cudotwórca. - Iwona pokiwała ze zdumieniem głową. - Mnie ułożenie ich do łóżek zajmuje zawsze trochę więcej czasu.

- Zgadza się, jestem magikiem. - Ukłonił się z uśmie-chem. - Nie przeszkadzam, spadam. Aaa... jutro może przyjadę, to dokończymy... - zamachał ręką niezdecydowa-ny, jak dobrać słowa.

- Dobrze, przyjeżdżaj. - Iwona uśmiechnęła się do nie-go ciepło. - Dzięki.

- Nie ma sprawy. Na razie.

- Pa.

- Cześć. - Martyna odprowadziła go wzrokiem, po czym spojrzała na Iwonę i nie spuściła z niej wzroku, dopóki nie usłyszała trzaśnięcia drzwi. - O co chodzi? Wy-najmujesz go do opieki nad dziećmi?

Iwona poprawiła się na stołku, wzruszyła ramionami, ale nie przestawała się delikatnie uśmiechać.

- Nie.

- No więc?

- Po prostu, pomaga.

- A Daniel gdzie? - zainteresowała się Martyna.

- Na szkoleniu. W Szczecinie - udzieliła zwięźłej in-formacji Iwona, a nie mogąc już znieść świdrującego spojrzenia przyjaciółki, wstała od stołu i wyruszyła na po-szukiwanie papierosów.

- Migasz się.

- Nie migam się, tylko odpowiadam. Ty pytasz, a ja odpowiadam... I co planujesz zrobić? Z tym wszystkim...

- Ja już wiem mniej więcej, co planuję, wiem też, że jakoś ze mnie wszystko opadło, gdy ci się wygadałam. Nie wiem natomiast - tutaj Martyna wyciągnęła wyprostowany palec w kierunku Iwony - co ty kombinujesz.

- Nic nie kombinuję, daj spokój.

- Przecież widzę.

Martyna uważniej przyjrzała się przyjaciółce. Nie uszło jej uwagi, że na włosach połyskiwały świeżo nałożone pasemka, zauważyła też, już od progu, powiększone i podkreślone delikatnym makijażem oczy. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak. Iwona malowała się od święta. Na co zresztą mogła sobie pozwolić, będąc szczęśliwą posiadaczką wielkich oczu w ciemnej i gęstej oprawie. Zgodnie jej tych oczu zawsze zazdrościły. A tu proszę.

- Co widzisz? Niczego nie widzisz. Martyna, poczekaj chwilę, zajrzę do dzieci - Iwona wróciła po chwili, zamknąwszy drzwi wejściowe na klucz, przymknęła kuchenne i usiadła z papierosem naprzeciwko Marty-ny, po czym popatrzyła na nią ze wzniesionym ku górze podbródkiem.

- No? Czy ty też chcesz mnie w jakiś cudowny sposób oświecić? - zapytała zaczepnie.

- A ty nie mogłabyś sobie darować?

- Wiesz co? Zostawmy temat Anity, jakoś niekoniecz-nie mam ochotę o niej rozmawiać.

- Ty zaczęłaś, przez analogię.

- No więc kończę. - Iwona westchnęła, dobrze wiedząc, że kobieta siedząca naprzeciwko nie daruje i wy-ciągnie z niej w końcu choćby strzępki informacji. - Jacek mi pomaga.

- W czym?

- W rozkręceniu ciuchowego interesu - wydusiła w końcu z siebie.

- Iwa!

- Co? Pomaga i tyle.

- Ale mnie nie chodzi o to, czy ci pomaga, czy nie, przecież to wasze wspólne przedsięwzięcie, to marzenie twoje i Anity.

- No właśnie, moje i Anity. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby każda realizowała je we własnym zakresie.

- Iwa, to wasze marzenie, wspólne. Miałyście zacząć w tym roku.

- No i widzisz, nie wyszło, nic na to nie poradzę.

- Iwona wstała i zaczęła chodzić po kuchni. - Słuchaj, Martyna, jakoś nie wyobrażam sobie, żebym się mogła dogadać z kimś, kto uważa mnie za nieudacznika i osobę bez kręgosłupa. Po prostu sobie nie wyobrażam.

- Co ty pleciesz!

- Nie plotę, dasz mi dokończyć? Nie wiem, jakie ty masz zdanie o mnie, możliwe, że takie samo jak Anita, nie wiem, wnikać nie będę. Ale to, co ona wtedy powiedziała, tego... tego się nie da niczym wymazać.

Iwona usiadła wreszcie i odetchnęła głęboko, złość gdzieś się ulotniła. Wzięła do ręki samochodzik Michała i zaczęła go obracać w dłoniach.

- Brakuje mi jej. Brakuje i to normalne, ale ile razy próbowałam sobie wyobrazić nasze relacje po tej rozmowie... nie byłam w stanie. Martyno, ja zaczęłabym pilnować każdego słowa, cenzurować wszystko, co mówię, co robię. Patrzeć na to pod jej kątem. Nie byłabym już sobą. A to nie o to chodzi, nie?

- Przecież cię nie skrytkowała.

- A co zrobiła? Można to ująć inaczej, próbowała mnie uświadamiać. Najedno wychodzi, uwierz mi. Mniejsza z tym. Nie mam ochoty o tym gadać. Koniec, kropka. A Jacek... Kurczę, pojawił się któregoś dnia, zerknął na moje rysunki, przerzucił wszystkie szkice i powiedział, że są genialne. Rozumiesz? Od iluś tam lat słyszę, że trzeba wreszcie wywalić te śmieci, a tutaj proszę, inny człowiek inaczej to postrzega. Sprawił, że zaczęłam wierzyć w siebie. Rozumiesz?

- Rozumiem.



Martynie zabrakło odwagi cywilnej, żeby przypomnieć, że przecież przy każdej sposobności próbowały ją we dwie z Anitą przekonać o wartości jej projektów. Widocznie chodziło o portki. O to, żeby ich zawartość, w tym przypadku trafiło na Jacka, wyraziła się w sposób pochlebny. Zawartość się wyraziła, zachwyciła i niewiele trzeba było, żeby Iwona zaczęła inaczej nosić głowę i zachowywać, żeby zdobyła w zdumiewająco szybkim czasie pewność siebie. Martyna pokiwała głową z niedowierzaniem. Damsko-męskie zależności. To, czego we dwie nie potrafiły zrobić przez naście lat, udało się jakiemuś tam koleśowi w ciągu niespełna dwóch miesięcy. Ciekawe, czy tak samo szybko można dzięki facetowi stracić pewność siebie. Pewnie tak. Pomyślała o Czarku i słowach, które padły. Każde przypominało cegielkę położoną na granicy przestrzeni między nimi.

Wymieniły jeszcze parę zdawkowych uwag, chcąc pominąć tematy najbardziej kontrowersyjne, jakby położył się między nimi cień konfliktu Anity z Iwoną. I coś jeszcze. Coś ulotnego, czego Martyna nie potrafiła rozgryźć ani ubrać w słowa. Nie starała się też za bardzo bo układała już w głowie scenariusz powrotu do domu i ewentualnej rozmowy z mężem.

Do rozmowy jednak nie doszło. W oknach panowała nieprzenikniona ciemność, a na szafce w przedpokoju znalazła kartkę z nabazgranymi paroma słowami. „Przykro mi. Zadzwon, gdy wrócisz, pojechałem do Doroty. Kocham cię”. Martyna zacisnęła kartkę w pięści, po czym rzuciła ją na podłogę. Zadzwon? Kocham cię? To dlaczego pojechałeś do niej?

Spojrzała w swoje zaczerwienione oczy i po raz kolejny doszła do wniosku, że nie nadaje się do życia w małżeństwie. Dom był pusty, zimny i bezosobowy bez Czarka. Weszła do kuchni i nie zapalając światła, wyjrzała przez okno.

Jak to możliwe, że tyle czasu żyła sama i było jej dobrze, a te parę miesięcy przewróciło jej życie do góry nogami? Przytknęła nos do zimnej szyby i przyglądała się małemu obłoczкови, który rósł z każdą chwilą. Potarła ramiona. Brakowało go. Tak mocno, że ten brak czuła wręcz fizycznie. Jak uda jej się zasnąć, bez wtulenia w ciepły brzuch, bez splątania stóp z jego stopami?

Wzdrygnęła się, przez chwilę patrzyła na telefon, zastanawiając się, co właściwie mogłaby mu powiedzieć, gdyby zdecydowała się zadzwonić. I nic nie przychodziło jej do głowy. Znowu wróciły bolesne słowa, którymi ją obsypał, a na które teraz nie znajdowała odpowiedzi.

Jeszcze nie.

## 8

Iwona zajrzała do dzieci. Michał jak zwykle leżał w poprzek łóżka, nogi zwisały mu nad podłogą, a nogawki spodni podciągnęły się na uda. Ściągnęła je niżej, przełożyła delikatnie stopy syna na prześcieradło i przykryła kołdrą. Zamruczał coś niewyraźnie przez sen, przewrócił się na bok i po chwili z powrotem rozkopał kołdrę, klepiąc nogami całkiem rześko. Iwona dotknęła stóp, stwierdziła, że są ciepłe i machnęła ręką. Niech śpi nieprzykryty. Ola tymczasem zwinęła się w kąciku łóżka, przyklejona do ściany, jakby się kontrolowała, nawet przez sen, żeby nie spaść z piętrowego łóżka.

Zastanawiali się z Danielem, czy kupno piętusa to dobry pomysł, czy Olka się nie połamie, ale w końcu zwyciężył argument oszczędzenia powierzchni użytkowej pokoju. Tym bardziej, że z każdym dniem, z każdą przybywającą zabawką, ta przestrzeń kurczyła się coraz bardziej. Iwona obrzuciła wzrokiem odwieczny bałagan, sterty bardzo, ale to bardzo ważnych papierów, porzrzućcane klocki, tor dla samochodzików i po raz kolejny doszła do wniosku, że takie łóżko to jednak dobry wybór. Oparła się o framugę i obrzuciła wzrokiem cały pokój. Spojrzenie zatrzymało się na puzzlowych kwiatach, które po dodaniu ramki prezentowały się teraz jak prawdziwy obraz.

Uśmiechnęła się lekko. Daniel dostał białej gorączki na widok tego obrazka. Gotów był zdzierać go własnymi rękoma, a po chwili biec do piwnicy w poszukiwaniu resztek

farby, które musiały, no musiały, zostać po remoncie. Iwona wygięła usta, prychnąc cicho. Nie pobiegł w końcu, bo na drodze stanęły mu dwie podkówki i lekko załzawione oczy własnych dzieci, a temu już Daniel nie był w stanie się przeciwstawić. Machnął więc ręką, palnął gadkę umoralniającą, ustawiając resztę rodziny pod zbezczeszczoną ścianą, ale dzieło zostało.

Zamknęła drzwi do pokoju dzieci i szczerzej otuliła się szlafrokiem. W domu panowała cisza niezmacona żadnym głosem z telewizora, żadną rozmową telefoniczną. W dużym pokoju paliła się tylko lampa obok fotela, w którym wieczorami Iwona lubiła robić sobie wygodne siedzisko ze stertą poduszek, kocem, ciepłą herbatą i jakąś smaczną książką. Poza tym nic.

Spokój.

Samotność.

I dzień, który się powoli kończył, dodając do życia kolejne wspomnienia.

Sięgnęła do półki z płytami i przejechała palcem po tytułach na okładkach. Zaczęła wyciągać *List do R.*, ale wsunęła ją powoli z powrotem, dociskając palcem do samego końca półki. To nie była jej muzyka. Lubiła, owszem, ale to Daniel zaszczerpił w niej miłość do Dżemu. Czy była to miłość prawdziwa, czy tylko zauroczenie? Nie, nie chciała tego teraz słuchać. Nie chciała myśleć o mężu. Pojechał, nie ma go, ma dom dla siebie, ma ciszę dla siebie i może ją wykorzystać w przyjemny dla siebie sposób. Przejrzała płyty jeszcze raz i jeszcze.

Gdzie zniknął Tom Petty? Pearl Jam? Przysunęła nos do półki i tym razem powoli przeglądała tytuły. Dlaczego Daniel zostawił tutaj tylko swoją muzykę? Zaraz, zaraz, coś jej się przypomniało. Któregoś dnia, tuż po remoncie, mówił jej, że bez sensu zagracać miejsce płytami, których już się nie słucha. Tak, wymienili półkę na mniejszą, a to, czego ona lubiła słuchać, wylądowało w pawlaczu, w przedpokoju, w starym kartonie. Bo się nie mieściło.

W Iwonie zawrzało. O nie, kochany. Zrzuciła z siebie szlafrok, wzięła z kuchni taboret i wyciągnęła swoje skarby z najwyższej półki szafy. Zdradzone, zapomniane skarby.

Po krótkiej chwili nastąpiła selekcja, a do szafy powędrowały tym razem ukochane zbiory Daniela. I nie ma, że boli. Jeżeli chce je przechowywać w pokoju, proszę bardzo. Niech sobie zafunduje własną półkę. Koniec. Zastanawiała się przez chwilę, czy da radę wcisnąć karton z powrotem, ale po paru nieudanych próbach (spadał, cholernik, prosto na jej głowę) cisnęła z taką siłą, że nie było go widać. Coś tylko zgrzytnęło z tyłu, a Iwonie przemknęło przez głowę, że dobrze by było, gdyby zgrzytnął i dokończył żywota któryś z Danielowych aparatów, miał ich pięć. Wszystkie o wartości muzealnej, wszystkie zepsute i darzone przez niego chyba większą miłością i szacunkiem niż własna żona.

Po chwili pogrążony w półmroku pokój wypełnił się miękkim głosem, obwieszczającym Iwonie, że została wynisniona, że zobaczył anioła... Oparła głowę i zamknęła oczy. Po chwili wstała, wzięła z barku kieliszek i nalała sobie czerwonego wina. Zabrała z kuchni papierosy, uchyliła okno i wróciła na fotel.

Łatwo Martynie powiedzieć. Przemysł to, zastanów się. Nie raz i nie dwa Iwona zastanawiała się nad paskudną sytuacją, jaka wytworzyła się między nią a dwiema przyjaciółkami. Bo nie da się ukryć, że relacje z Martyną też się zepsuły i to bardzo. Ale za każdym razem, gdy o tym myślała, ogarniała ją mało racjonalna złość na Anitę. To ona była wszystkiemu winna.

Iwona przypaliła papierosa i wolno wypuściła dym, delektując się możliwością palenia w cywilizowanych warunkach, w wygodzie, z kieliszkiem dobrego wina w dłoni. Rzadko mogła sobie pozwolić na taki luksus, bo w obecności Daniela nie wchodziło to w grę. Westchnęła z zadowoleniem, ale po chwili zmarszczyła brwi. O tak, była zła. Bo przecież tęskniła za nimi dwiema i to bardzo.

Przy każdej nadarzającej się okazji chwytała za telefon, chcąc o coś zapytać, w czymś się poradzić. Szybko jednak przychodziło olśnienie, że nie powinna dzwonić. A przez kogo? Przez Anitę właśnie.

W klasyczny sposób redukowała swoje złe samopoczucie, obwiniając kogoś innego. Stawała w obliczu paradoksu, któremu ludzie się poddają tylko po to, żeby nie przyznać się do swoich błędów. Bo to przecież takie niewygodne. Jak można pewnego dnia usłyszeć, że powinno się zaważczyć o swoją godność i szacunek w związku, że trzeba pokazać swoje potrzeby i egzekwować ich spełnianie? A następnie przyjąć to godnie na bary, podpisując się pod stwierdzeniem, że jednak bliżej ci do wycieraczki niż do partnerki?

Otóż nie można. Przynajmniej w mniemaniu Iwony. Zacisnęła mocno oczy i nie widziała siebie. Czy raczej postrzegała siebie tak, jak chciała. Stworzyła własny wizerunek oddanej, usługowej małżonki, która trafiła na wrednego faceta, który z kolei nie potrafił docenić, jaki to skarb ma pod swym dachem. Skarb nie pamiętał również, czy raczej nie chciał pamiętać, że obie przyjaciółki niejednokrotnie próbowały jej uzmysłowić pewne rzeczy. To nie był pierwszy raz, kiedy Anita wkraczała na śliski grunt poddaństwa Iwony.

Tyle, że nigdy nie robiła tego w tak otwarty sposób. Zawsze starała się operować aluzjami, porównywać do czegoś, ale zawoalowany sposób miał ten plus, że można go było rozumieć przynajmniej na dwa sposoby. I te właśnie sposoby Iwona zręcznie wybierała. Mniej lub bardziej świadomie omijała sedno sprawy. W momencie, gdy sedna ominąć się nie dało, przemilczeć i uciec przed nim też, w momencie, kiedy została przyciśnięta do muru i obnażona, włączyła wszystkie mechanizmy obronne i całą winę zwała na nielojalność Anity. Nielojalna. Zachowywała się, jakby zjadła wszystkie rozumy.

Iwona prychnęła w opróżniony do połowy kieliszek i wyciągnęła zdrętwiałe nogi spod tyłka. Obie z Martyną słuchały jej jak wyroczni. Zawsze. Już w szkole podstawowej wystarczyło, że Anita podniosła paluszek do góry, a one milkły wpatrzone w nią jak w obraz. Tak trzeba zrobić, to wypadałoby w ten albo w tamten sposób ułożyć, mówiła swoim cichym głosem, machając cienkimi warkoczami.

Jeździć windą nie wolno, więc nie jeździły, chociaż Iwonę korciło urządzenie wycieczki w dół i w górę, jazda z parteru na jedenaste piętro i z powrotem w pobliskim wieżowcu. Raz zabrała się z innymi dziećmi i do tej pory pamiętała, ile frajdy sprawiła im później ucieczka przed panią, która akurat sprzątała klatkę schodową i nijak nie mogła złapać windy, żeby wwieźć wiadro na górę. Ot, taki sobie dziecięcy wybryk. Ale pamiętała również pełną wyrzutu minę Anity, jej spojrzenie, takie karzące, zasadnicze.

Właśnie, główny problem Anity polegał na tym, że od szczenięcych lat była dorosła. Taka mała stara. Pełna zasad, najprawdopodobniej wyspanych z mlekiem matki, zawsze racjonalnie myśląca i stająca w opozycji do wszystkich ciekawszych pomysłów Iwony. Tyle, że Anita miała w sobie coś takiego, co kazało bezwolnie jej słuchać.

Zaszumiało jej w głowie, a pusty żołądek zaburczał ze złością. Właśnie tak zawsze było. Ilekroć Iwona miała ochotę zrobić coś szalonego, coś spontanicznego, napotykała na opór. W domu - mamy, która wiecznie była z niej niezadowolona. Można było wyłazić ze skóry, a i tak nie spełniało się jej oczekowań. No i zawsze stawiała za wzór tę chodzącą doskonałość. Anitę. Która z kolei stopowała Iwonę na podwórku albo w szkole.

Właściwie, jak to się stało, że tyle lat były przyjaciółkami? Dlaczego? Iwona wyprostowała się nagle w fotelu. Przecież powinna jej nie cierpieć, omijać szerokim łukiem, a tymczasem przez tyle lat trzymały się, kurczowo za ręce. We trzy. Wybiórcza pamięć wyselekcjonowała wszystkie

przykre momenty, jakie miały miejsce w ciągu tych lat. Zasnuła mgłą te, których Iwona nie chciała teraz widzieć. Gotowała się więc w środku, analizowała to, co chciała, tylko że... jakoś jej to samopoczucie nie poprawiało.

- Nie pójdę w tych rajstopach, mamó. - Olka usiadła i na znak protestu założyła chude ręce na piersiach.

- Pójdziesz.

- Nie, nie pójdę. - Założyła jeszcze nogę na nogę i nie wyglądało na to, żeby miała ochotę zmienić zdanie.

- Olka!

- To są chłopskie rajstopy, mamó...

- Hi hi hi! - uznał za stosowne wtrącić się Michał, ale wzorem siostry też usiadł na łóżku i nie zamierzał się ubierać.

- To nie są chłopskie rajstopy - wycodziła Iwona przez zęby, zerkając na zegarek. - Idę układać włosy, gdy wrócę, macie być ubrani.

Po powrocie zastała sytuację o tyle zmienioną, że Michał zamiast siedzieć na łóżku, siedział na podłodze i wyciągał z pudełka kolejne modele samochodzików. Z licznych doświadczeń wynikało, że za chwilę nie będzie gdzie postawić nogi, nie wspominając o znalezieniu reszty garderoby dzieci.

- Michał!!!

- Tak? - podniósł nieprzytomnie rozczochraną głowę.

- Dlaczego się nie ubierasz?

- Bo Ola też się nie ubiera. - Spojrzał na siostrę i jakby nigdy nic wrócił do zabawy.

- Olka!!!

- Nie założę tych rajstop.

Iwona po raz nie wiadomo który poczuła się postawiona pod ścianą. I to przez kogo? Przez własne dzieci, dzieci w wieku lat czterech i siedmiu. W jaki sposób nad nimi



zapanować? Jak pokazać, kto tu jest szefem? Gotowa była iść do sypialni, zamknąć drzwi i udawać, że jej nie ma. Bo niestety wychodziło na to, że dzieci w sprytny sposób przejęły zachowania ojca i traktowały mamę jak on. Lekceważąco, starając się na każdym kroku pokazać, że mają w poważaniu jej komendy i zalecenia. To ona musiała ustąpić. Za każdym razem. Jeszcze trochę, a trzeba będzie skorzystać z pomocy sławetnej super niani, która i dzieci i rodziców ustawia do pionu. Może gdyby się Daniel nasłuchał paru prawdziwych słów, zakładając, że rzeczywiście by je usłyszał, przestałby paskudnie odzywać się do żony? Przestałby podważać jej decyzje, a zaczął je popierać. Uch! Na razie musi jednak sama sobie poradzić. Tylko jak?

Spojrzała bezradnie na ignorujące ją dzieci. Michał wywalił już wszystkie samochody, a Olka ostentacyjnie wyciągała przed siebie bosą stopę i przyglądała się paznokciom. Przecież ona musi założyć te cholerne rajstopy. Nie ma znaczenia, że są zielone. Takie akurat dzisiaj wybrała jej matka i te ma założyć. A dlaczego właściwie, zamruczał jej w głowie głos Anity, nie upieraj się tak stanowczo, niech ma możliwość wyboru, niech ma wrażenie, że sama decyduje.

Hmm, sapnęła Iwona z jednej strony zła na ten głos, z drugiej... Faktycznie, chodzi przecież o to, żeby się mały babol wreszcie ubrał, bo inaczej nie zdąży do szkoły. Mniejsza o kolor. Iwona rzuciła jej dzisiaj na łóżko pierwsze lepsze rajtki, jakie jej wpadły w ręce, więc nieoczekiwanie dla samej siebie rzuciła:

- To może powiesz mi, dlaczego nie weźmiesz sobie innych?

Z zaskoczeniem zaobserwowała zdumione spojrzenie, jakim ją obdarzyła córka.

- A mogę?

- Nawet powinnaś. Słuchajcie, mamy piętnaście minut, inaczej i jedno i drugie się spóźni.

- Ja nie mogę - oburzył się Michał. - Dzisiaj wycieczka.

- No, kochany, jeżeli się nie ubierzesz, to na wycieczkę nie zdążysz. - Iwona wzruszyła ramionami i ponownie spojrzała na przegub ręki. - Czternaście minut. Popatrz, Ola już się ubiera, to chyba tylko ty nie zdążysz. Ha, proponuję wam zrobić wyścigi, ciekawe, kto wygra - rzuciła, wychodząc.

- Ja wygram, mamo. - Ola złapała rajstopy i zaczęła je wciskać na palce. - Ja jestem większa.

- O nie! - Brat porzucił zabawki i dokopał się do przygotowanych wcześniej przez mamę ubrań. - Ale ja mam krótsze nóżki. Ja będę pierwszy.

- Zobaczymy, zobaczymy, sama nie wiem, komu mam kibicować.

Stanęła za drzwiami i przytknęła dłoń do ust. Jak to? Tak po prostu? Bezboleśnie? Bez płaczu, pretensji i wrzasków? Odwróciła się i zerknęła przez uchylone drzwi. Więc nie chodziło o kolor, o to, że chłopskie, tylko tak dla zasady?

Bo to ludzie są. Małe, charakterne ludzie.

\* \* \*

Gdy małe ludzie zostały odstawione (o czasie!) do instytucji publicznych, Iwona ze zdumieniem stwierdziła, że tego ranka po raz pierwszy od jakiegoś czasu nie boli ją głowa. Czy tak to trzeba załatwiać? Dumiała, wybierając mizerne o tej porze roku pomidory. Czy nie trzeba walczyć i robić wszystkiego za wszelką cenę? Czy to faktycznie takie proste, czy dzisiaj jej się po prostu udało?

Spojrzała na słońce jaskrawo przebijające się przez brunatne liście i odetchnęła z zadowoleniem. Chciała wierzyć, że przez przypadek wpadła na genialną metodę wychowawczą, że to jednak nie był fart, zbieg okoliczności czy jakieś tam widzimisię dzieci. Uśmiechnęła się do kobiety sprzedającej warzywa i owoce, przyjrzała się jeszcze ogórkom

i jabłkom, po czym zapakowała całą torbę i zadowolona ruszyła z powrotem do domu.

To nie był zbieg okoliczności. Dzisiaj właśnie wpadła na genialną metodę, uświadomiła sobie, że nie trzeba walczyć. Ha, eureka!

Rozochociona, po powrocie do domu chwyciła telefon i zadzwoniła do Daniela, jednak po kilku sygnałach uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej nie odbierze, bo jest na jakimś ważnym spotkaniu. Trudno. Zabębniła palcami w kuchenny blat i po chwili namysłu wybrała numer mamy. Skoro z dziećmi nie trzeba walczyć, to może i w kwestii kulinarnej też popełniała ten sam błąd? Za bardzo się starała, kładła zbyt duży nacisk na to, żeby zrobić potrawę idealnie, ściśle według wytycznych, nie sprawdzając czy to wagi mięsa, czy wielkości warzyw? Możliwe. Przecież takie jajka, na przykład, są średnie, duże i takie całkiem małe. A płaty mięsa? Pierś piersi nierówna.

- Mamo, będę gotować rosół - poinformowała, słysząc nosowe „halo”.

Czemuż mama była zawsze taka zasadnicza. Halo. Widi przecież, że to ona, Iwona, więc mogłaby pokusić się o jakieś „Cześć, córko”, ale nie, zawsze było to „Halo”.

- Daniel jest? - natychmiast padło zwięzłe pytanie.

- Nie ma, jest na szkoleniu.

- A dzieci są?

- Mamo, dzieci są w szkole i przedszkolu. Powiedz mi, co będzie mi potrzebne. Kura, tak?

- A ktokolwiek w twoim pobliżu jest? - Matka była nieustępliwa.

- Nie ma, mamo...?

- Pytam, bo jeżeli nikogo nie ma, to ani się waży dotykać garnka.

- Dzięki - sapnęła Iwona i nieco oklapła, przypominawszy sobie jednak dzisiejszy triumfalny poranek dodała: - Jeżeli mi nie powiesz, co mam robić, to zadzwonię

do kogoś innego, nie ma znaczenia do kogo - dodała z naciskiem.

- Jak to nie ma znaczenia?

- Normalnie, bo podejrzewam, że każda kobieta potrafi ugotować rosół, więc każda mi pomoże.

- Każda. Oprócz ciebie.

- Mamo. - Iwona głęboko nabrała powietrza i rozejrzała się za torebką, z której wystawała paczka papierosów.

- Postanowiłam, że dzisiaj wejdę do grona gotujących rosół i od ciebie zależy, czy mi w tym pomożesz, czy nie.

- A co ty się taka zawzięta zrobiłaś, no i przede wszystkim, jak się odzywasz do matki, czy...

- Mamo! Potrzebuję paru informacji.

- Korpus potrzebny.

- Pokoju... - dodała bezwiednie Iwona.

- Jakiego pokoju, dziecko drogie, ja ci dobrze radzę...

- Oj mammo, wiem przecież, że kurczący, tak mi się powiedziało.

- Albo indycy.

- Nabzdycy... Dobra, już nic nie mówię.

- A mów sobie, co chcesz, ja ci usiłuję pomóc, a ty sobie ze mnie żarty robisz. To niepoważne, wiesz? Potrzebna jeszcze marchew, pietruszka i seler, ziele, pieprz, liść. Powrucasz wszystko i powinien wyjść rosół, ale czy wyjdzie, śmiem wątpić.

- Jak zwykle we wszystko, co robię - mruknęła zajadle Iwona.

- Proszę?

- Nic, mammo, dzięki. Chcesz, żeby cię wnuki odwiedziły w tę sobotę?

- O ile ich do tej pory nie potrujesz, to oczywiście. Ale tak na wieczór, dobrze? Bo popołudnie mam zajęte. Życzę smacznego, a gdy już ci przejdzie ten dziwny humor, to możesz do mnie zadzwonić i wtedy porozmawiamy.

Pstryk. Czas połączenia minął. Koniec. Dziękujemy bardzo.

Iwona zawzięta się jednak, pobiegła do pobliskiego sklepu, kupiła za radą sprzedawczyni dwa skrzydełka, a w warzywniaku dokupiła jeszcze jarzyny. Podniósłszy wysoko czoło, dopytała, jak właściwie... bo ona zawsze takie dwie lewe do gotowania. A uzyskawszy odpowiedź, ruszyła pędem do domu, żeby tylko ani jedna dobra rada nie uleciała z jej głowy.

I tak oto wiara czyni cuda.

Dzieci po powrocie do domu wciągnęły głęboko powietrze i zdumiały się niepomierne. Bo oto w domu pachniało. Świeżo ugotowanym jedzeniem. Mało tego, że pachniało. Rzuciły buty byle jak w przedpokoju i popędziły do kuchni, prześcigując się na zakrętach. Ola pierwsza dopadła garnka, podniosła pokrywkę i na widok obiecujących żółtych oczek pływających po powierzchni zupy, uniosła brwi wysoko, aż pod równo przyciętą grzywkę. Spojrzała na matkę. Iwona stała oparta o drzwi i uśmiechała się triumfalnie.

- Babcia była?
- Nie.
- To kto ugotował rosół?
- Ja. - Iwona parsknęła śmiechem.
- Mamo... Ty przecież nie gotujesz. - Michał już pchał paluchy, żeby się przekonać, czy zupa na pewno jest jadalna.
- Poparzysz się, chłopie. - Iwona pacnęła go delikatnie po dłoni. - Poza tym precz z brudnymi łapami od mojego debiutu.
- Ale zjeść będziemy mogli?
- A dobre?
- Mamo, mnie już burczy w brzuchu

Dzieci nadawały jedno przez drugie i wpatrywały się na przemian to w siebie, to w matkę. Z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Będziecie mogli. Najpierw do łazienki marsz. Później się przebrać, a za dwie minuty widzę was przy stole, raz, raz, raz.

- Zostaw to, Michał, pobrudzisz mi cały ręcznik! - dobiegło po chwili z łazienki.

- Nie pobrudzę...

- Właśnie, że pobrudzisz, mama zawsze mówi, że masz dokładnie myć ręce.

- Ty też.

- Ja myję, a ty tylko pomazesz mydłem...

No, no, mama mówi, myślałby kto. Iwona nie pamiętała, kiedy ostatnio słyszała, żeby którekolwiek z dzieci ją cytowało. Zawsze było „Tata mówi”. He he, Simon mówi... Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jej plecy wyraźnie się wyprostowały, ruchy wyrażały pewność siebie. Nalewała własnoręcznie ugotowaną zupę.

Po raz pierwszy w życiu jej zupa była jadalna. Wiedziała, bo tuż po ugotowaniu, parząc sobie język, pochłonęła cały talerz w szczerym zdumieniu i zachwycie. Co prawda pierwsza porcja makaronu wyszła zdecydowanie zbyt *al dente*, nie umniejszało to jednak walorów smakowych potrawy.

Iwona po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła, że trzyma w ręku ster, że umie prowadzić, a łódka jej życia (pokusiła się o barwną metaforę), nie dryfuje miotana dmuchnięciami wszystkich naokoło, ale posłusznie obiera kurs według widzimisię sterującej.

To było cudowne uczucie, doszła do wniosku, przyglądając się dzieciom, przebranim, umyтым i pożerającym jej zupę w ciszy. Przerywali co chwila zdecydowanymi siorbnięciami. Po chwili usłyszeli parę dzwonek do drzwi. Iwona usadziła Olkę spojrzeniem i czym prędzej pobiegła otworzyć. Nieważne, kogo niosą dobre duchy, niech to będzie mama, Martyna, może Daniel, a może i nawet być listonosz... Chociaż coś wyraźnie jej mówiło, że o fraumę będzie się opierał ktoś inny.

Ktoś, o kim ostatnio myślała w całkiem niekontrolowany sposób. Ot, po prostu pojawiał się w jej głowie, uśmiechał, patrzył, dotykał. Którego wypędzała stamtąd

posłuszna głosowi rozsądku, a który uparcie wracał, bo to przecież stanowił ostatnio częsty dodatek do dnia. Iwona łąpała się na tym, że czeka na niego, że chciałyby usłyszeć jego zdanie na ten, czy na inny temat. Przypomniała sobie, jak bardzo przyjemna może być rozmowa z mężczyzną, który traktuje cię jak równego sobie, który nie patrzy na ciebie z góry. Potrafi kiwać ze zrozumieniem głową i odstąpić od swego zdania, nie tkwiąc w ślepym uporze przy swoim, i potrafi przyznać rację. Dać jej to zapomniane uczucie pewności siebie. Pewności, że jest coś warta.

Gdy zastanawiała się ostatnio, kiedy w ogóle miała takie poczucie, jedna sytuacja przychodziła jej do głowy. Średnia szkoła, a ona napisała pracę z polskiego na wolny temat, jako jedyna odważyła się przedstawić swój punkt widzenia. Nie pamiętała teraz, co ją do tego skłoniło, bo coś musiało, pamiętała tylko pełne aprobaty spojrzenie nauczycielki. No i dziewczyny. Martyna i Anita łąpały ją dumnie za ramiona. Tak było.

A teraz on. Zakradł się z fakturami, cichcem, niepozornie, a udało mu się postawić wszystko na głowie. Jej postrzeganie świata i samej siebie przede wszystkim. Dlatego teraz szybko szła przez przedpokój, widząc go niemal przez drzwi, tą wiedźmową pewnością, niczym nieuzasadnioną, tym przecuciem, które czasami każe nam spojrzeć w zupełnie innym kierunku. Gdy przecucie okazało się trafne, nie mogła się powstrzymać i rzuciła się na niego z radością, całując prosto w usta.

Przez chwilę poczuła, że cały zeszytniał, ale zanim zdążyła się od niego odsunąć, przyciągnął ją mocniej do siebie. Poczuła, jak te zaskoczone przed chwilą usta oddają pocałunek. Ciepły, pachnący kawą, przyzwalający na wszystko.

- Mamooo??? Mogę jeszcze?

Odsunęli się od siebie jak oparzeni. Iwona podniosła dłoń do ust i patrząc Jackowi prosto w śmiejące się oczy, odkrzyknęła:

- Już idę. - Po chwili zaś dodała ciszej. - Chodź. Ugotowałam zupę.

- Ooo, wujek, cześć. Jeszcze jedną łyżkę, mamó albo...

- Michał zerknął na Jacka. - Też będziesz jadł?

- Chyba się nie oprę. - Roześmiał się, siadając naprzeciwko Olki i nie odrywając wzroku od Iwony.

Ona w ogóle nie zdawała sobie sprawy ze swojego wyglądu. Co chwila odrzucała włosy, oczy jej błyszczały, w krótkiej spódniczce i bluzce luźno spadającej z ramienia i odsłaniającej białe ramiączko stanika, sprawiała wrażenie młodszej, beztroskiej i takiej szczęśliwej. Na ustach błąkał się niepewny uśmiech. Czy to do niego? Czy na wspomnienie tego, co przed chwilą zaszło? Nie był pewny, czy czasami nie powinien uciekać stąd, gdzie pieprz rośnie. Dopóki jeszcze jest jakaś szansa, że będzie posłuszny swoim nogom, że te oczy, uśmiech, to białe ramiączko nie zahipnotyzują go do reszty. Później nie będzie możliwości, żeby zgodnie z własnym sumieniem wyjść stąd o własnych siłach. Z każdą chwilą jednak czuł, że sumienie przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, że jedyne, co liczy się w tej chwili, to krzątanina tych drobnych stóp, ta kobieta, która zawładnęła nim zupełnie niepostrzeżenie, bez reszty.

Oparł się o ścianę. Muszą wyjaśnić to, co zaszło w drzwiach. Nie wyjdzie więc, dopóki nie usłyszy wyraźnego polecenia. Dopóki nie zostanie wyrzucony na zbity pysk.

- Skoro wujek też będzie jadł, to i mnie dołóż mamó.

- Ola wyciągnęła przed siebie pusty talerz, bekając donośnie.

- Nie.

- Jak to nie? Mamooo - jęknęła żałośnie.

- Normalnie. Najadłaś się już. Odbiło ci się. Najpierw więc mówisz „przepraszam”, później „dziękuję za pyszną



zupkę". Tak mówisz - Iwona nie zdawała sobie sprawy, że mówi do córki stanowczo, krótkimi jasnymi zdaniem, nie dając możliwości sprzeciwu.

- Dziękuję. Jutro też będzie?

- Będzie. - Roześmiała się Iwona, chowając talerz do zmywarki. - Chyba się udało pokonać upiorne warzywa.

- I mięsko - podpowiedział Michał, po czym przechylił talerz i resztę zupy wysiorbał prosto z talerza. - Mięsko też było.

- Michał...

- No co? Pycha, nie, wujek?

- Zgadza się. - Jacek na chwilę przerwał jedzenie i podniósł oba kciuki do góry.

- Cieszę się - powiedziała zdawkowo Iwona.

Całowała go, całowała go, całowała... Chwilowo postanowiła nie myśleć nic więcej. Pozwoliła latać motyloom po całym brzuchu i nie zastanawiać się, co najlepszego zrobiła.

\* \* \*

Po posiłku Jacek został wciągnięty do dziecięcego pokoju. Przedtem spojrział na nią, a ona wzruszyła ramionami, uśmiechając się lekko.

- Musimy pogadać, zostań...

Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Klapnęła pomiędzy znajomymi skrawkami materiałów i wtedy motyle też usiadły na chwilę, tak jakby zmęczyły się łomotaniem skrzydłami o ściany jej żołądka. Iwona oparła łokcie o blat biurka i złożywszy dłonie, zaczęła mocno pocierać nimi policzki. Czuła, że ją palą, wiedziała, że ma w tej chwili na twarzy dwa purpurowe placki. Pojawiły się tuż po przyjsciu Jacka i jak na razie nie zamierzały zniknąć.

Co ja najlepszego zrobiłam? Rzuciłam się na niego jak napalona małolata i pocałowałam go. Na wspomnienie dotyku ust Jacka motyle wznowiły swój trzepot, przyłożyła

dłoń do miejsca tuż pod piersiami, jakby chciała je uspokoić. Tylko, że się cholery nie dawały. Pierwszy raz, od kiedy wyszła za męża, właściwie pierwszy raz, od kiedy zaczęła spotykać się z Danielem, pocałowała kogoś innego. Mętlik, totalny mętlik w głowie. Z jednej strony wyzywała się od idiotek; niewiernych, napalonych i bez zasad, z drugiej zaś nie mogła pozbyć się uczucia, które ogarniało ją od palców aż po czubek głowy. Uczucia przyjemności, zaskoczenia, niepewności i tej niejasnej chęci przekonania się, co może kryć się za lekko uchylonymi już drzwiami. Coś nowego. Nie te utarte szlaki, przewidywalne do bólu zachowania, i uczucia, jakie ze sobą niosły. Tylko coś zupełnie innego.

Nowego. Przyjemnego.

Wzdrygnęła się na dźwięk śmiechu Michała i zerwała z krzesła. Co ona najlepszego wyprawia? Dwoje dzieci siedzi w pokoju obok, a jej po głowie chodzą myśli, co by było, gdyby zdradziła Daniela? Matko kochana! Wybiegła z pokoju w poszukiwaniu papierosów.

Jacek siedział na podłodze i zmagał się z klockami, w czym wiernie asystował mu Michał, Olka majstrowała coś przy swoim biurku i od czasu do czasu rzucała w ich stronę niewybredne komentarze.

Iwona na palcach przeszła do kuchni i zaczęła się zastanawiać, czy nie pogonić Jacka. Powiedzieć, żeby poszedł w diabły, żeby nie przynosił więcej żadnych faktur, nie mieszał w ich życiu. Bo to, że namieszał, nie ulegało wątpliwości. Ja, Iwonę, udało mu się zmienić, czuła to przecież. A dzieci? Zaciągnęła się mocno. Uwielbiały go, spędzały z nim o wiele więcej czasu niż z Danielem. Tak, tak właśnie robi. Położy młode spać, usiądzie i wygarnie mu wszystko. A później powie do widzenia, żegnam, pa.

Tylko co ze sklepem? Miał pomóc. Nieważne, znajdzie się ktoś inny, pogodzi się z Anitą i wróci do pierwotnego biznesowego planu. I wszystko wróci do stanu poprzedniego. Ona zamknie się w sobie, znowu zacznie przypominać skorupiaka, na którym wszyscy sobie używają do woli...

Nie! Nie zamknie! Iwona zacisnęła pięść i puknęła nią mocno o parapet. Nie zamknie. Teraz już wie, jak ma się zachowywać, teraz odzyskała pewność siebie, więc da radę. Sama.

A jeżeli nie da? Jeżeli ta pewność zacznie być znowu podkopywana i zniknie, nie od razu, tylko po jakimś czasie? Przecież, jeżeli Daniel będzie się zachowywał tak jak zawsze (a dlaczego miałyby zachowywać się inaczej), to z dnia na dzień będzie miała coraz słabsze przekonanie o własnej wartości. Aż w końcu go zabraknie. Przekonania. Albo wartości.

- Szlag - syknęła do swojego odbicia w szybie.

Kiedy to się wymknęło spod kontroli? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że skoro zaczęło się wyliczanie alfabetu, to nie można było zawiesić literki „a” w próżni, nie można było zostawić tego pocałunku bez komentarza. Trzeba dopowiedzieć resztę. Westchnęła głęboko, niepewna, jak ta reszta będzie brzmiała i poszła kapać dzieci.

- Mamo...? - zagadnęła Ola z wysokości swojego łóżka, podpierając się na łokciu.

- No co tam?

Iwona jednym uchem słuchała wiadomości. Panowie rządzący wyzywali się właśnie od najgorszych i skupiali na kolejnej aferze, która zwykłego śmiertelnika w żaden sposób nie dotykała. Ani pośrednio, ani bezpośrednio. Iwona miała tego dość. Im dłużej żyła na tym świecie, tym bardziej to, co się działo na scenie politycznej, ją interesowało. Tym więcej dostrzegała absurdów.

- Śpiewaliśmy dzisiaj...

„Czas skończyć z agresją”, dobiegł donośny apel z dużego pokoju.

- Co?

- No na akademię, nie słuchasz mnie...

- Słucham, mów. Najaką akademię?

- No szkolną. Wytypowali mnie do śpiewania pierwszej zwrotki hymnu. Sama będę śpiewać.
- O proszę. - Iwona zerknęła na córkę i uśmiechnęła się ciepło. - Super, cieszysz się?
- No pewnie. - Olka przewróciła się na plecy i podniosła kołdrę na stopach, po czym dodała: - Tylko trochę się boję.
- Czego? - Iwona wstała, oparła się rękoma o łóżko córki i spojrzała na nią uważnie.
- No wiesz, scena, ja sama. Ajak zapomnę?
- Nie zapomnisz, poćwiczmy.
- Łatwo ci mówić, to przed całą szkołą będzie. - Ola zrobiła podkówkę.
- „Należy pamiętać o naszym kraju! Przede wszystkim...”, zagrzmiało z dużego pokoju.
- Mamo, czy ci panowie muszą tak krzyczeć? - Michał skrzywił się. - Wujkuuu! Przyciszysz?
- No i? - Iwona znowu zwróciła się w kierunku Oli i wzdygnęła się na myśl o chwili, która zbliżała się wielkimi krokami, i na tę pustkę w głowie, której nie potrafiła zapełnić sensownymi słowami.
- No i nic. A jak mnie wyśmieją? Bo źle zaśpiewam, pomylę się albo w ogóle zapomnę tekstu. Boję się mamo.
- Spod kołdry spojrzały na Iwonę wielkie oczy pełne lęku. Ciekawe, czy moje w tej chwili wyglądają tak samo, przemknęło jej przez głowę.
- Czy chcesz zrezygnować?
- Nie wiem. Boję się.
- Słuchaj, Oluś... - Iwona poprawiła prześcieradło i spojrzała poważnie na córkę. - Powiedzieć ci coś?
- Tak.
- Ja kiedyś też miałam podobną sytuację.
- Ty? Przecież ty nie śpiewasz. Nigdy.
- Teraz nie, kiedyś śpiewałam - ucięła Iwona. - Opowiedzieć ci, jak było?

- Mów! - W spojrzeniu córki pojawiło się zainteresowanie.

Dzisiaj odkrywała matkę na nowo i sama nie mogła się zdecydować, czy jej się to podoba, czy nie. Chyba raczej się podobało. Poprawiła się więc w łóżku i nastawiła uszu.

- Też zostałam wybrana do zaśpiewania piosenki. Całej.

- Co to za piosenka?

- Taka wakacyjna, harcerska. - Iwona machnęła ręką. - Nieważne jaka, ważne, że nauczyłam się jej na pamięć, śpiewałam ją wszędzie, po cichu i całkiem głośno, prawie bez przerwy. Gdyby mnie ktoś obudził w nocy i kazał zacząć od końca, pewnie dałabym radę. Umiałam ją jak nikt, tyle że na myśl o tym, że mam wystąpić przed całą szkołą, oblatywał mnie strach, pociły się ręce i miałam wrażenie, że nie dam sobie rady. Byłam chyba w twoim wieku. Poprosiłam panią, żeby wytypowała kogoś innego. - Iwona wzruszyła ramionami i pogładziła kołdrę. - W końcu wszyscy znali tę piosenkę, do apelu było jeszcze dużo czasu, więc każdy mógł zaśpiewać. No i się wycofałam. A później...

- Nie zaśpiewałaś? - Ola podniosła się na łokciach.

- Nie.

- No i co, mów.

- Później stałam na apelu i patrzyłam jak na scenę wychodzi Anita.

- Ciocia?

- Tak. Jak kłania się, pamiętam tę aulę w starej szkole. Wydawała nam się ogromna, czerwone kotary zwisały od wysokiego sufitu po samą podłogę, a od czasu do czasu, gdzieś na wysokościach pojawiał się gołąb.

- Jak to?

- To była bardzo wysoka, bardzo stara sala, wiesz?

- No, ale gołębie. - Ola popatrzyła na matkę powątpiewająco. - Wkręcasz mnie.

- Nie wkręcąm. Sufit był cały rzeźbiony, wisiał na nim piękny żyrandol... - Iwona zaczęła odtwarzać w pamięci widok dawnej auli. - Słuchasz, czy nie?

- No pewnie. Mów.

- No i Anita wyszła na scenę, starą, drewnianą, wielką scenę. Wydawała się na niej taka malutka. Trzymałam za nią kciuki i w pierwszej chwili odetchnęłam z ulgą, że jednak zgodziła się mnie zastąpić. Gdy jednak zaśpiewała pierwszą zwrotkę, tak gładko, bez problemu, poczułam paskudne ukłucie zazdrości. A gdy już skończyła śpiewać, gdy rozległy się brawa, pomachała do widowni i lekko, powiewając warkoczami, zbiegła ze sceny. A ja wtedy miałam wrażenie, że się uduszę. Zaciskałam mocno pięści, zła na siebie, że odstąpiłam jej swoje oklaski, zła na nią, że zajęła moje miejsce, wściekła na zachwyty tych wszystkich ludzi. Wściekła na zachwyty, który należał się mnie. To paskudne uczucie, córeczko.

- To co, mam zaśpiewać?

- Oczywiście. - Iwona zniżyła głos, bo Michał już posapywał przez sen, pogłaskała córkę po głowie. - Oczywiście, że masz zaśpiewać, nigdy sobie nie darujesz, jeśli stehórzysz.

- Ale mam... A jak mi się nie uda?

- Uda ci się. Jesteś mądra, dzielna, no i pięknie śpiewasz. A ja będę stała w kąciku i zaciskała mocno kciuki, żeby ci wyszło jak najlepiej.

Będę stała i patrzyła na ciebie, a ty zrobisz to, co mnie się kiedyś nie udało, dodała w myślach.

- Przyjdiesz, prawda?

- Pewnie, że przyjdę. - A po cichu dodała: posłucham, popatrzę i poryczę się ze szczęścia. - A teraz śpij już.

- Mamo? A wujek zostanie na noc? - dobiegło nagle spod kołdry.

Iwoną wstrząsnęło.

- Co też ty opowiadasz, wujek musi mi pomóc ze sklepem, pamiętasz, mówiłam ci.

- No mówiłaś. A kiedy tata wraca?

- Jutro. Śpij. - Iwona zgaszyła światło i zatrzymała się przy drzwiach. Najchętniej wpakowałaby się teraz pod kołdrę córki, schowała głęboko głowę i nie wychodziła stąd w ogóle. Ale trzeba. Ramiona opadły jej nisko.

- Mamo?

- Olka, śpij już...

- A powiedz mi, umiesz drugą zwrotkę naszego hymnu?

- Oczywiście - odparła bez namysłu Iwona.

- To zaśpiewaj.

- Michał już śpi, obudzę go - próbowała się wymigać.

- To chodź tu do mnie i po cichutku - zażądała Olka.

Iwona podeszła więc, niepewna, kiedy ostatnio śpiewała hymn. Nie pamiętała. A drugą zwrotkę...? Nagle słowa same przyszły jej do głowy i zaczęła cichutko swoim czystym głosem, od dawna nieużywanym do śpiewania:

„Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę” i tutaj równie cicho dołączyła się Ola:

„Będziem Polakami,

Dał nam przykład Bonaparte,

Jak zwyciężać mamy”.

Gardło Iwony ścisnęło się niebezpiecznie na dźwięk tych dwóch głosów, tak do siebie podobnych, a śpiewających słowa, które zawsze miały dla niej ogromne znaczenie, gdyż kojarzyły się z czymś wzniosłym i ponadczasowym. Zdołała tylko szepnąć Oli „dobranoc” i czmychnęła z pokoju dzieci, nie chcąc obnosić się ze swoją słabością.

Oparła się plecami o ścianę, opuściła głowę i zamknęła oczy. Nagle zapach i dłonie Jacka na jej ramionach przypomniły o rzeczywistości. Spojrzała na niego niepewnie, zsunęła te dłonie i pokręciła głową.

- Później, Jacek. Kiedyś.

- Nie chcesz pogadać?

- Nie. Nie teraz. Wybacz - uśmiechnęła się przeprasząco, z wyrazem twarzy jednoznacznie mówiącym „odejdz”.

Przyglądała mu się przez okno, gdy wsiadał do samochodu, przygarbiony, szczupły. Czuła, że udało jej się zrobić to, co powinna. Tylko dlaczego odczuwała taką paskudną pustkę?

Motyle odleciały w siną dal.

Wsiadły razem z nim do tego czerwonego samochodu, drzwi się za nimi zamknęły, a spustoszenie, które zasiały trzepotem swych ruchliwych skrzydeł pod piersiami, Iwona odczuwała teraz bardzo dotkliwie.

I po co to komu potrzebne...?



## 9

- Weź gwiazdki. - Anita przesunęła pudło z foremkami do ciastek w kierunku Martyny siedzącej naprzeciwko, przy dużym stole.

- Gwiazdki już były, popatrz ile. Choinki walniemy.

- Choinki za duże, mało podzielne i w ogóle.

- Ale później tak ładnie je można ozdobić. Oj, daj spokój, przecież jeszcze masz dwie porcje tego ciasta.

- Mam albo i nie mam. Musi wystarczyć na dwie rodziny, tak?

- Nooo, dwie duże rodziny - przytaknęła Martyna.

Siedziały we dwie w dużej kuchni Anity i piekły świąteczne pierniki. Obie w nastrojach minorowych, mimo zbliżających się świąt. A może przez nie właśnie? Bo przecież to taki szczególny czas, który spędza się w towarzystwie najbliższych, i który powinien promieniować rodzinną atmosferą, miłością, radością, migocącym światłem choinki i innymi tego typu pierdołami. A tu co? A tu dupa.

Anita była na ścieżce wojennej z własną zakolczykowaną córką i jedną z najlepszych przyjaciółek. Nic nie zapowiadało rychłej zmiany obecnego stanu rzeczy. Na domiar złego święta miały się odbyć u nich, w pełnym komplecie dwóch rodzin. Pełnym, to znaczy również w obecności czarnej owcy rodziny Tymoteusza, mianowicie brata, Adama.

Martyna zaś, mimo obrączki na palcu, wciąż spała sama, przytulona tylko do wysłużonego jaśka, który już tyle łąz

wchłonał, że właściwie powinien lada dzień rozpaść się na kawałeczki. Czarek wyprowadził się nie wiadomo gdzie, bo doszli do tego, że muszą dojrzeć do pewnych decyzji, przemyśleć je, przewartościować i zastanowić się, czy ich związek rokuje na przyszłość. O różanej raczej nie mogło być mowy. Ilekroć Martynie jawiła się przed oczami postać Doroty, tylekroć nie potrafiła się powstrzymać od łomotania pięścią, w co popadnie.

Anita westchnęła, układając kolejne ciastka na blaszce.

- Nie odzywał się ostatnio?

- Nie. Podejrzewam, że teraz czeka na mój ruch.

- Martyna wzruszyła ramionami, a zrobiła to tak energicznie, że wycięta choinka rozleciała jej się w palcach.

- Cholera.

- Dorzuć do miski, zaraz zagniotę następny placek. Przecież ty już wykonałaś swój ruch.

- Masz na myśli moją wizytę w najbardziej płodnym okresie? Proszę cię, nie przypominaj mi nawet - na samo wspomnienie Martyną trzęsło.

W akcie desperacji, zupełnie bezmyślnie, bez zastanowienia i owładnięta wyłącznie chęcią posiadania dziecka, zadzwoniła do Czarka. Uzyskała informację, że jest u Doroty, że może przyjechać. Schowała więc dumę głęboko w kieszeń i zapisawszy adres, pojechała. A tam poprosiła Czarka na chwilę sam na sam, po czym oświadczyła mu bez zbędnych ceregieli, że akurat jest w najlepszym momencie jajeczkowania, że dobrze by było, gdyby teraz, za chwilę, najlepiej w sypialni Doroty, zrobili wszystko, żeby potomek zaistniał. Czarek zbaraniał, a później przybrał taki wyraz twarzy, że Martyna nie czekając na żadną odpowiedź, uciekła jak niepyszna.

- Trzeba było zadzwonić do mnie, a nie lecieć jak do rozplodowego samca.

- A ty co, przepraszam, posiadasz umiejętność zapładniania?

- Nie posiadam. Wzięłabym coś ciężkiego i rzuciła ci w łeb - sarknęła Anita. - Chcesz jeszcze wina?

- Dolej. Nic więcej mi nie pozostało, tylko upić się do nieprzytomności. A następnym razem zadzwonię, spokojna głowa - Martyna łyknęła sobie solidnie. - Ale nam te pier-niszszki wyjdą śliszszne.

- Uważaj, bo siii więcej nie naleję. Zdrówko. - Anita uśmiechnęła się do niej, po czym zabrała się za rozwałkowanie kolejnego placka.

Trzasnęły drzwi wejściowe, po chwili usłyszały tupot małych stóp.

- Ciociaaaa!!!! - Mały chłopczyk w czapce zsuniętej na bok, z zielonym gilem wiszącym u nosa, przypadł do Anity jak bomba.

- Adaś! Chłopie, co ty tu robisz?

- Przyjechałem - oznajmił, wciągając z furkotem to, co mu zwisało. - Patrz, ciocia - wskazał na szeroki uśmiech - zęby mi wypadły.

- Adaś, dziecko, jak ty się zachowujesz? Dobry wieczór doktorowo, przyniosłam placek, ten, co obiecywałam. Na święta to szybka robota, łatwa, a jedzenia tyle, że wystarczy dla całej rodziny. - Tuż za Adasiem wtoczyła się do kuchni pani Ludwika. - Mówiła pani, że przyjeżdżają starsi Zawińscy i pani doktorowej rodzice, to proszę, proszę spróbować.

- O, dobry wieczór. Dziękuję, że też pani pamiętała. - Anita uśmiechnęła się ciepło do sąsiadki i wzięła z jej rąk blachę z ciastem.

Niewiele trzeba było, żeby przełamać sąsiedzka Arktykę. Nie chodziło nawet o to, że zajęła się dziećmi podczas wakacji, nawet nie o to, że te dzieci przy okazji były pod stałą kontrolą Tymka. Chodziło o to, że udowodniła tym kobietom starszej daty, że młode pokolenie też potrafi podtrzymać ogień na domowym tygielku. Że żyje podobnie do nich, korzysta tylko z innych metod, a czasami używa „kosmicznego”, jak to mówili, sprzętu. Ale efekt był ten sam.

A kiedy Anita parę razy zwróciła się do sąsiadek o radę w kwestii kulinarnej, ot tak przy okazji odbierania wnucząt, a później wykorzystała tę radę i poczęstowała je efektem zmagania, to już naprawdę zapunktowała. Poza tym, nawet te najbardziej kiedyś niezjednane polubiły Anitę po prostu jako człowieka.

Adaś przykleił się do jej nogi i próbował jak najszybciej zreferować, co w ostatnich miesiącach ciekawego mu się przydarzyło.

- Adaś, nie przeszkadzaj...

- Nie, pani Ludwiko, nie przeszkadza. Proszę, pani usiądzie i napije się z nami wina. Pyszne, porzeczkowe, to według przepisu.

- Marczukowej? - w oczach sąsiadki błysnęło zaciekawieniem.

- A jakże inaczej? - Anita zaśmiała się.

Wytrzeła szybko ręce w ścierkę i wysunęła spod stołu taboret, zakrzętnęła się przy szafce, wyciągnęła kieliszek, nalała. Adasia wysterowała do przedpokoju, żeby zrzucił z siebie kurtkę i szybko wracał, bo tu huk roboty.

- O, jeśli to Marczukowej, to muszę spróbować, a w ogóle to ja Ludwika jestem. - Sąsiadka usiadła i zwróciła się do Marty. - Pani to pewnie przyjaciółka naszej pani doktorowej.

- Pani Ludwiko, tyle razy prosiłam... No z tą doktorową. - Anita pokręciła głową.

- Kiedy ja przyzwyczajona jestem. Najpierw starsza doktorowa była, inaczej tu nikt na nią nie mówił. O ho ho, to pani była wielka. A dużo wody doktoro... pani Anita dodała? - Pani Ludwika pochyliła się do kieliszka i łyknęła sobie zdrowo, po czym stwierdziła z zadowoleniem: - Mało, ma moc. No więc najpierw starsza pani była, teraz młodsza, ciężko odwyknąć. To już nie w tym wieku. Adaś, idźże wytrzeć nos i ręce umyj, to tu może trochę pomożesz?

- No pewnie, ciociu, mama też robiła twoje ciasteczka, te, co dałaś przepis - pochwalił się Adaś, wychodząc do łazienki. - A wiesz, ja wycinałem kształty, ale u nas nie ma takich fajnych foremek.

- Idź już, idź, bo ci te gile, za przeproszeniem, do pasa wiszą - pogoniła go babcia. - My tu nie przeszkadzamy aby?

- Skąd! - Anita odgarnęła włosy i posłała sąsiadce karzące spojrzenie. - W czym? W pieczeniu pierników?

- Matko kochana, zaraz święta, faktycznie, pojeżdżają się, znowu wpadną jak po zapałki i pojedą. Nic nie powiedzą, posiedzą przed telewizorem, z telewizorem pośpiewają kolędy i tyle - westchnęła pani Ludwika do kieliszka. - Ech, to już nie te święta, co kiedyś. Mrozy siarczyste, ale jakby siarczyste nie były, to zawsze się szło na pasterkę. Każdy, wiecie, panie? I młodzi i starzy. Pamiętam, święty Wojciech pękał w szwach, a teraz? Teraz im się nie chce, bo film dobry, bo zmęczeni i muszą odespać, bo rano się pójdzie. A ja się pytam, co to za święta bez pasterki? No jakie? Tak samo jak Wielkanoc bez rezurekcji. Ciężko starszym teraz - westchnęła znowu, pomilczała chwilę. - Ale winko dobre. Takie akuratne, muszę i ja w lato narobić, jak Bóg da siły i zdrowia.

- Oj da, pani Ludwiko, da. Pani nas wszystkich przeżyje.

- A uchowaj Boże. Tak parę wiosen jeszcze i wystarczy, tak żeby nikomu nie być kamieniem. Dopóki chodzę, mogę żyć, ale jak się położę, to lepiej niech mnie święty Piotr zabiera do góry.

Anita wymieniła z Martyną spojrzenia. Skąd w starszych ludziach takie głębokie przekonanie, że trafią właśnie tam? Adaś stanął w progu i jakby dopiero zauważył siedzącą przy stole obcą panią. Zakręcił się niepewnie i przyglądał jej zawstydzony.

- Chodź. Adaś, tak? - zagadnęła go Martyna. - Chodź tu do mnie, bo podobno ty jesteś najlepszy, jeśli chodzi

wycinanie ciastek. Ja się do tego kompletnie nie nadaję, rozpadają mi się w rękach. Za wielkie mam czy co? - Martyna wystawiła dłonie w jego kierunku.

- Oj, umiem, umiem, ciocia mnie nauczyła - rozpromienił się i ruszył w kierunku dobrze znanych foremek.

Po chwili zaczął grzebać w pudełku i wyciągać swoje ulubione autka i samoloty, więc umknęło jego uwadze skierowane w sufit spojrzenie „cioci” i uśmiechy jakie wymieniły siedzące przy stole kobiety. Uśmiechy zaś mówiły wyraźnie „No i guzik ze świątecznych ciastek”. Żadna jednak nie miała sumienia instruować go, jakie foremki wypada wybierać z okazji zbliżających się świąt.

- To delikatnie trzeba... Oj, ciociu, dlaczego to ciasto się rozpada?

- Bo jest trochę inne niż na ciastka. Pierniki są jeszcze delikatniejsze, ale ze swoimi zręcznymi paluszkami sobie poradzisz.

- No pewnie.

- Podwiń rękawy, ręce umyj - poinstruowała go babcia.

- Umyłem w łazience. Poda mi pani pociąg? Bo pociągu jeszcze nie ma.

- Nie ma. Racja. - Martyna pogrzebała w misce i wyciągnęła ciuchcię. - A powiedz, Adasiu, jak my udekorujemy ten pociąg?

- Jak to? - Chłopczyk zastygł z foremką nad ciastem. - Jak to udekorujemy?

- Na te pierniczki niedługo trzeba będzie wylać lukier.

- Dzisiaj? Dzisiaj, proszę pani, dobrze?

- Nie, dzisiaj nie, bo się zepsują do świąt, za parę dni.

- Za parę dni to już mnie nie będzie. - Adasiowi buzia ułożyła się w smutną podkówkę.

- Dlatego pytam cię teraz, jak ozdobimy - wyjaśniła spokojnie Martyna. - Ciebie nie będzie, ale będą pierniczki według twoich instrukcji, rozumiesz?

- Aha - chłopczyk rozpromienił się ponownie. - To ja ci, ciociu, wszystko wytłumaczę, a ty później pomożesz cioci Anicie, dobrze?

- Jasne. - Martynę lekko ścisnęło za gardło, jak szybko udało jej się zostać ciocią i wkraść w łaski tego miłego chłopca. - Pokazuj.

- Tutaj światła. - Adaś wskazał przód lokomotywy. - A jaki to będzie lukier?

- Różnokolorowy i z polewą czekoladową, i wiórkami, i orzechami, i czym tylko zechcesz - rozszalała się Martyna. - A później poprosimy ciotkę, żeby odłożyła parę sztuk i dostaniesz na święta. Przyjedziesz, prawda?

- No pewnie, tylko... - Adaś spojrzał na babcię. - Ja nie mogę czekolady.

- To na twoją część pójda tylko lukrowane i z orzechami na przykład. Orzechy możesz?

- Oj, jak tam jednego zje na święta, to się nic nie stanie - pani Ludwika machnęła ręką, opróżniając kieliszek do końca.

- No, sprawa załatwiona, a teraz bierzemy się do roboty.

Anicie nie umknęło, jak blisko tego małego chłopca siedziała jej przyjaciółka. Jak co chwila odgarniała mu włosy i rozpromieniała na każde „ciociu”, pochylała się i uważnie słuchała, co jej opowiadał, jak śmiała się razem z nim i ramię w ramię wycinała wszystkie możliwe pojazdy. Pokazywała mu, co z czego można tym pojazdom dokleić, jak je ozdobić.

Anicie krajało się serce. W sensie jak najbardziej dosłownym. Bo nie chodziło o to, że Martyna starała się wkupić w Adasiowe łaski i robiła to sztucznie, na siłę, jak niektórzy. Oj, widziała już w swojej pracy wychowawczej wielu takich rodziców. Nie, jej przyszło to tak zupełnie naturalnie. Zaczęli od razu nadawać na tych samych fałach. Adaś z właściwą dzieciom wrażliwością wyczuł

w Martynie ciepłą i potrzebującą ciepła kobietę. Wyglądało tak, jakby się świetnie rozumieli zaledwie po wymianie paru słów.

Idiota Czarek. Powinien zrobić, co należało, i zmiatać do Dorotki, jeśli miał na to tak wielką ochotę. Anita parę razy się powstrzymywała, żeby nie zadzwonić do niego i natłuc w ten zakuty łeb, ile wlezie. Bo Martyna dostała w kość podwójnie. Najpierw los dał jej męża, którego pokochała, całym swoim spragnionym miłości sercem. Męża, z którym się świetnie rozumiała. Mogła zakładać rodzinę, mogła starać się o dziecko, równie upragnione. A tu co? Bęc. Nie będziesz miała dziecka, aha, no i mnie też mieć nie będziesz.

Idiota.

- Zostaniesz u mnie dzisiaj? - wrzuciła ostatni talerz do zmywarki i omiotła spojrzeniem kuchnię.

- Nie wiem, nie mam nic ze sobą.

- Się znajdzie.

- A imbir masz?

- Mam, na co ci znowu imbir?

- A cynamon, spirytus i kakao?

- Będziemy się upijać do nieprzytomności? - zaśmiała się Anita, grzebiąc już w szafkach.

- Ot durna, upijać od razu. Z cellulitem będziemy walczyć - oznajmiła Martyna z mocą.

- Oszalałaś znowu? Martyna, ja cię proszę...

- A ja cię nie proszę. Folia jeszcze będzie potrzebna, taka wiesz, co to pakujesz w nią kanapki Idze do szkoły, a Tymkowi do pracy. I nie mów, że nie ma, bo jest. Widziałam w szufladzie. A w szafce masz zapas. Ha. Dolej mi jeszcze tego wina.

- Uch, pijaczko.

- Tam od razu pijaczko, delektuję się. Widziałas jak pani Ludwika ciągnęła? To dopiero godne podziwu, jedna butelka to na strzał.



- Nie nabijaj się z mojej sąsiadki. Jeszcze trochę zostało.

Anita ze śmiechem potrząsała butelką i dzieliła kropelkami sprawiedliwie, raz do jednego raz do drugiego kieliszka. Nie zauważyła córki stojącej w drzwiach i z kpiącym wyrazem twarzy przyglądającej się akcji rozlewania alkoholu.

- I ty mi mówisz o moralności i odpowiednim prowadzeniu się - rzuciła w stronę matki. - Dobry wieczór.

- Dobry wieczór.

- Jest coś do jedzenia, normalnego? Czy tylko te pierniki? - Iga szarpnęła drzwi lodówki, bezceremonialnie przesuważąc Anitę na bok.

- Hmm - Martynę co prawda zamurowało, ale tylko na chwilę, chociaż emocjonalnie niezaangażowana, i szybciej od Anity odzyskała mowę. - Pierniki są zarezerwowane i nie waż się ich tknąć, to po pierwsze. Po drugie, co ma picie alkoholu w towarzystwie najlepszej przyjaciółki do moralnego prowadzenia się? Ktoś tu chyba nadużywa niektórych sformułowań. A po trzecie, coś ty sobie na litość z twarzą zrobiła?

- Jak to? - Iga zastygła przy lodówce i pomacała się po policzkach. Po pewnej sobie minie został tylko niewyraźny ślad.

- Nie tu. - Martyna podeszła do niej i przyjrzała się fachowym okiem. - Komu dałaś przekłuć nos? Koleżance z klasy? I czym to do cholery robiła, cyrklem?

- Nie, byłam u kosmetyczki, tylko tutaj...

- U jakiej kosmetyczki, dziewczyno? Zobacz, jak to wygląda. - Martyna wzięła się pod boki. - Lodówkę zamknij, nie telewizor.

Iga posłusznie zamknęła i stanęła przed przyszywaną ciotką karnie, jak szeregowy przed starszym sierżantem. Anita tylko wpatrywała się w tę scenę i chciała przecierać oczy, bo oto nagle jej córka przeszła cudowną metamorfozę, spod paskudnej maski pełnej buty, wychynęła znowu jej

Iga. Co prawda niepewna, ale naturalna, bez tego obrzydliwego wyrazu wyższości na twarzy, bez kpiącego uśmiechu.  
No Iga.

- Jak... ciociu?

- Żle. Czy tutaj się wdała jakaś infekcja czy masz teraz problemy z trądzikiem, ale dobrze ci radzę, wyciągaj to żełastwo z nosa, bo nie wiadomo, co się może przyplątać.

- Jak to?

- Nie pytaj ciągle jak to, tylko słuchaj, co mówię.

Anita?

- No?

- Czy ona ma problemy z cerą?

- Raczej nie.

- Teraz mi się zaczęły, takie podskórne pryszczki siedzą.

- A ty widzisz, dziewczyno, że jeden albo i dwa - Martyna przysunęła oczy do Igowego nosa - siedzą ci właśnie obok, pod kolczykiem? I pewnie jeszcze je wyciskałaś?

- No...

- Wyciągaj to, założysz dopiero, jak ci się zagoi. Następnym razem, bardzo cię proszę, jeśli masz jakieś problemy z cerą czy nagle zachce ci się robić tatuaże lub przekłuwać ciało w różnych dziwnych miejscach, przyjdź do nas, OK?

- Mama...

- Nie zwalaj na mamę. Idź, wyciągaj to, później zadzwonię do Beaty, zapytam o jakieś kosmetyki na to paskudztwo, a niewykluczone, że będziesz musiała zrobić pasożyty.

Zająłły łazienkę, każda zaopatrzona w małą miskę i rolkę folii. Anita przyniosła jeszcze małe radio, żeby, po pierwsze, trochę weselej im było, a po drugie, żeby zagłuszyć rozmowę. Tak się czuły pewniej. Martyna skoczyła po butelkę wina.

- Nie znalazłam wytrawnego, więc lecimy dalej na słodkim.

- Co ja mam z tym robić?

Anita bezradnie spojrzała na ciemną kawowo spirytusowo-cynamonową maź. Wyglądem nie budziła zaufania, zapach owszem, przyjemny, ale jeżeli Martyna znowu się w coś pomyliła? Na przykład w proporcjach?

- Smarować. Nie patrz tak na mnie, tylko też ściągaj gacie, bo tyłek dość istotny.

- No nie mów mi, proszę cię, że mam się tym smarować wszędzie - spojrzała z oburzeniem Anita. - I nie wznoś oczu ku niebu.

- Ku sufitowi. Masz się smarować tam, gdzie masz cellulit, czyli - rzuciła uważne spojrzenie na postać przyjaciółki - tyłek, uda, brzuch też możesz potraktować.

- To tego na pewno mi nie wystarczy.

- To dorobimy. - Martyna zaczęła okładać się pastą, równomiernie rozsmarowując ją po wymienionych częściach ciała.

- Martyna?

- Tak?

- Co ty właściwie zrobiłaś tam w kuchni?

- Niech zgadnę, mówisz o Idze?

- Owszem. Ona mi się całkiem wymknęła spod kontroli, nie potrafię się z nią porozumieć. Na wszystko się wścieka, nie mogę niczego powiedzieć, a ty... bach i zrobiła się potulna jak baranek.

- Chłapiesz - zauważyła spokojnie Martyna.

- Cholera, na dywan.

- Spierze się. Nic nie zrobiłam.

- Jak to nic nie zrobiłaś, skoro zrobiłaś. - Anita klęczała na podłodze i próbowała zmywaczkiem ściągnąć plamę.

- Schodzi, dobrze.

- Ale robisz następne. Włóż do wanny, będzie bezpieczniej.

- Mogłaś uprzedzić, że to tak paskudzi. - Anita posłusznie wzięła swoją miskę i wpakowała się do wanny.  
- Mów.

- Oj, Anita, co ja mam ci powiedzieć. Przecież to jeszcze dzieciak. Stara się tą swoją butą zamaskować niepewność, wystarczy zbić ją z tropu, a od razu łagodnieje. Poza tym, przecież sama kiedyś tłumaczyłaś Iwonie, pamiętasz? To ludzie są, te dzieci, no i trzeba do nich podchodzić jak do ludzi. Autonomiczne są.

- Tak, autonomiczne - sarknęła Anita. - Łatwo ci powiedzieć. Ta autonomia staje mi już kością w gardle.

- Wyluzuj. Możliwe, że mnie potraktowała inaczej, bo nie jestem jej matką. Wiesz, bo ciebie czepia się dla zasady, a ja jestem obca osoba. Możliwe, że dlatego, ale możliwe też, że nie dajesz jej wystarczająco dużo luzu. Albo inaczej, nie stwarzasz złudzenia, że ten luz posiada.

- Złudzenia, powiadasz?

- Dokładnie. Teoria inaczej wygląda, a praktyka inaczej. - Martyna podniosła głowę i spojrzała na przyjaciółkę. - Anita, przecież ja ciebie cytuję, to twoje racje, zapomniałaś? Dzisiaj w kuchni miałam wrażenie, że cię zbiło z nóg, że nie miałaś najzwyklejszego pojęcia, jak się zachować.

- Bo tak było.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego? - zdenerwowała się Anita i machnęła ręką, przy czym kawowa masa poleciała prosto na lustro.  
- Cholera, jak to dlaczego. Jeżeli twoje dziecko traktuje cię jak wroga, to siłą rzeczy zbija cię z nóg. Wmurowuje w podłogę albo w co tam chcesz. Ona nigdy się tak nie zachowywała, a ja po prostu nie wiem, jak mam na to reagować.

- Stanowczo. Z pewnością siebie. - Martyna wzruszyła ramionami i łyknęła wino. - Wyłącz emocje wbrew temu, co radzą w reklamach. Wiem, łatwo mi mówić, ale to twoje

słowa. - Podniosła ręce w obronnym geście. - Zaglądasz jej w oczy, wyprzedzasz życzenia, daj sobie luz.

- Łatwo ci mówić. Martyna... gorąco.

- Ma być gorąco, bo to rozgrzewa. Słuchaj, ja nie jestem ekspertem od wychowywania dzieci, ja tylko patrzę na ciebie i na to, co się z tobą dzieje w jej obecności.

- Żona Lota?

- Tak jakby.

- Co ja mam teraz z tym zrobić? - Anita stanęła w wannie obnażona do połowy, z miską w jednej ręce, a z folią w drugiej. - Zawinąć się?

- Daj, pomogę ci.

- Piecze.

- Nie piecze, szczytać może trochę, ale od razu piecze, nie marudź - Martyna nachyliła się ostrożnie, żeby nie zachlapać podłogi, i zaczęła owijać przyjaciółkę.

Nie zauważyły Tymka, który stanął w drzwiach jak wmurowany, ogarnął wzrokiem sytuację, która do ogarnięcia przez mężczyznę zdecydowanie nie była i wydukał:

- Co tu się dzieje?

- Aaa!!! Zajęte! - Martyna czmychnęła po ręcznik i usiłowała się zakryć.

- Widzę, że zajęte, co ty jej robisz? - Domagał się wyjaśnień pan doktor, wskazując na swoją żonę pokrytą jakąś mazią.

- Piękną ją robię. Wyjdź, Tymeck.

- Żarty sobie robisz? - Anita odzyskała głos, po chwilowym napadzie rechotu. - Zajęte przecież, wyłaż.

- Z łazienki chcę skorzystać...

- Tymeck, na litość, na dole masz łazienkę, daj nam jeszcze chwilę. - Dodała ponaglająco Anita, a gdy mąż się ulotnił, wzruszyła przepaszająco ramionami. - Sorry, zapomniałam zamknąć drzwi.

Wieczorem, gdy reszta domu już spała albo udawała, że śpi, zamknęły się w małym pokoju przylegającym do

sypialni. Z butelką wina, z gorącymi nogami i *Smażonymi zielonymi pomidorami*.

- Brakuje mi jej - Anita przewróciła się na brzuch i obciągnęła nogawki niebieskiej, flanelowej piżamy.

- To się dobijaj.

- Dobijam się i co? Nie odpowiada na SMS-y, telefonów nie odbiera, e-maile pozostają bez odpowiedzi - westchnęła.

- Wiesz co? - Martyna spojrzała na przyjaciółkę i usiadła po turecku na łóżku. Wiadomo już było, że nie będą oglądały, że film będzie po prostu przerywnikiem w rozmowie. - Jej przejdzie. Nie wiem, ile czasu to zajmie, ale przejdzie jej. To nie pierwsza taka sytuacja. Kiedyś obraziła się śmiertelnie na nas obie, pamiętasz?

- Nie odzywała się przez dwa miesiące.

- No właśnie, a za co? Za to, że jej nie powiedziałyśmy o podwiniętej sukience - parsknęła Martyna. - Ja tego nie widziałam, wyszłam przed nią z łazienki i naprawdę nie widziałam.

- Ja też.

Anita wzruszyła ramionami na wspomnienie Iwony z podwiniętą z tyłu kiecą i obnażonym tyłem. Ot, wzięło się i zawinęło, a że nikt nie zauważył? To znaczy one nie zauważyły, bo reszta i owszem. Najgorsze było to, że jedną z pierwszych osób, które zainteresowały się tą nieszczęsną sukienką, był chłopak, w którym Iwona podkochiwała się skrycie od paru miesięcy.

- No widzisz? O głupią kiecę było tyle ambarasu, a tutaj trochę jej nadepnęłaś na odcisk i musi to przetrwać. - Martyna sięgnęła do miski z chipsami.

- Myślisz, że nadepnęłam?

- Owszem.

- Niepotrzebnie?

- Potrzebnie, potrzebnie. Mnie zabrakło cywilnej odwagi, a poza tym mnie w ogóle by nie wysłuchała, a tobie się udało.

- Nie wiem, śmiem wątpić. - Anita podniosła się na łokciu, obserwując zmagania Kathy Bates z kolejnym pączkiem.

- To nie wątp. Możesz mi wierzyć albo i nie, ale zmieniała się nasza Iwonka. O, bardzo się zmieniała...

- Czy przypadkiem nie jest to zasługa tego całego Jacka? To też mnie martwi, wiesz? Czy ona czasami nie napyta sobie biedy, bo chodzi o to, że cały czas potrzebuje jakiegoś oparcia, a skoro z naszego nie korzysta, to może walnąć jakąś głupotę.

- Wiesz co, mamuniu, au! - Martyna uchyliła się przed nadlatującym jaśkiem. - Gdyby to słyszała, obraziłaby się na następne dwa miesiące.

- Czemu?

- Anito, nie możesz przeżyć życia za wszystkich, nie możesz wiecznie wszystkich pilnować.

Anita spojrzała na nią uważnie, po czym znów wbiła wzrok w telewizor. Albo jej się wydawało, albo dzisiaj Martyna jej doradzała. Anita w pierwszej chwili nie mogła się zdecydować, czy jej to pasuje. Po zastanowieniu jednak doszła do wniosku, że jednak tak.

Przyjemne to było. Nowe, ale przyjemne. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu to ktoś ją instruował, mówił, jak będzie lepiej, pokazywał ewentualne konsekwencje. A uczucie zrzucenia na tego kogoś odpowiedzialności, mimo że nie chodziło o podejmowanie kluczowych decyzji, okazało się bardzo przyjemne.

Nagle Anita zrozumiała Iwonę i jej sposób na egzystencję. Dotychczasowy przynajmniej. Tak było łatwiej. Spojrzała na Martynę chrupiącą chipsy i zupełnie nieświadomą galimatiasu w głowie przyjaciółki i powiedziała:

- Ty, wiesz co?

- Hę?

- Lubię jak nasza przyjaźń ewoluuje.

- Ty, wiesz co? - zrewanżowała się Martyna.

- Hę?

- Nie pij więcej.

- Towanda!!! - ryknęła Anita ze śmiechem. - Uch, prostaczo, kiedy nauczysz się nie zagryzać wina chipsami, błę...

- Sama jesteś prostaczka. - Martyna odrzuciła poduszkę i patrząc bezczelnie na Anitę, siorbnęła głośno wina.

- Kiedy się przeprowadzasz?

- Nie wiem - Martyna spoważniała nagle. - Nie wiem, czy w ogóle chcę się tam sama przeprowadzać.

- Nie gadaj głupot.

- Nie gadam. Ten dom jest strasznie cichy, pusty i taki zupełnie bezduszny. Nie lubię tam sama siedzieć i tyle. Tutaj znam wszystkie kąty, wszystkie odgłosy, wiem, kiedy zaczną grać sąsiedzi, wiem, jak stukają nagrzewające się grzejniki, z małej sypialni słyszę lodówkę, a tam? Cisza. Próbowałam, ale nie umiem. Jeszcze nie teraz.

- A kiedy? Martyna, to twoje marzenie...

- Możliwe, tylko teraz okazuje się, że niekoniecznie mi się marzy tam mieszkać. Może na wiosnę, gdy będzie cieplej, jaśniej, kwiaty posadzę. Na razie zresztą siedzę dniami i nocami w salonie i wiesz co? Odpowiada mi to.

- Do czasu.

- Bardzo prawdopodobne, ale jest jak jest i staram się jakoś brnąć do przodu.

- A z Czarkiem, gadałaś?

Anita podsunęła kolana pod brodę i wpatrzyła się w przyjaciółkę. Zastanawiała się, czy nie przyszedł już moment, kiedy należy zaprzestać odpytywanie, bo Martyna gotowa wybuchnąć. Nieważne, złością czy płaczem, w każdym razie sprawiała wrażenie, jakby była na krawędzi jednego albo drugiego.

- Gadałaś, gadałaś. Wiesz, kiedy miałam jeszcze szansę?

- Kiedy?

- Gdy pojechałam tam, do tej paskudnej... - pod pytającym spojrzeniem Anity poprawiła się: - Dobra, do



tej pięknej, wymuskanej Dorotki. Wtedy miałam szansę. Ale powiedziałam nie to, co trzeba i ... - Rozłożyła ręce.  
- Szansy nie ma.

- A chcesz ją jeszcze?

- Anita, dajmy już temu spokój, OK? Ja nie wiem, kto tu właściwie potrzebuje drugiej szansy, czy ja ze swoimi pragnieniami, jak najbardziej naturalnymi dla kobiety w naszym wieku, czy on ze swoim niezdecydowaniem. Ja czy Dorotka - Martyna zapiszczała niebezpiecznie. - Nie mam zamiaru z nią konkurować. Niech Czarek się określi, chce mnie czy ją, to takie proste...

Więcej nie zdołała dodać, bo łyzy pociekły prosto w torebkę z chipsami, a Anita wyrzucając sobie od kretynek, rzuciła się ją pocieszać.

\* \* \*

Jak to Martyna mówiła? Wrzucić luz? Pożegnała ją z samego rana, wypuściła na śnieg, mróz i szalejący wiatr, po czym wróciła do swojej ciepłej kuchni, pachnącej jeszcze korzennymi przyprawami. Jak niby wrzucić luz?

Zatarła dłonie i przytrzymała je nad czajnikiem. Anita nie uznawała kawy z ekspresu, czy raczej jej żołądek nie uznawał, zwłaszcza po nocy, podczas której opiły się dwiema butelkami dość mocnego wina. Rozpuszczalna, z mlekiem, taka niech będzie. Nagrzała sobie dłonie, zwinęła mocniej w szlafrok i usiadła przy oknie, wpatrując się w zaśnieżony ogród. Wrzucić luz... Co to miało znaczyć? Czy chodziło o to, żeby nie zaglądać tak w oczy Idze? Zgadzać jej myśli? Nadskakiwać? Nie umiała inaczej, bo tyle lat przyzwyczajona była do czegoś innego, do czegoś zupełnie innego. Mimo twardego charakteru zachowywała się zawsze jak kwoka chroniąca swoje małe przed wszystkim, co złe na tym świecie. Na wszystkich patrzyła przez pryzmat żółtych piórek albo w ogóle braku upierzenia i wychodziła z założenia, że każdemu trzeba podtykać

robaki pod nos. Możliwe, że to przez pracę. Ale nie chciała postępować wbrew sobie.

Po prostu nie chciała.

- Jakieś śniadanie to będzie dzisiaj? - wdarł się w jej myśli nieprzyjemny głos dorastającego dziecięcia.

W pierwszej chwili miała się zerwać i biec po patelnię, ale założyła nogę na nogę i łyknęła kawy. Chciała nie chciała, dla dobra tej małej żoły trzeba spróbować.

- Weź sobie coś z lodówki. - Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na Igę.

- Jak to weź sobie coś?

- Normalnie, ręką. Wędlina jest, masło jest, ser też.

- Ale świeżego pieczywa nie ma.

- A faktycznie. Trzeba kupić.

- Trzeba, a kto ma kupić?

- Nie wiem, wiem, że trzeba - Anita podniosła się i wyszła z kuchni, czując, że ją ta dyskusja przerasta.

Gdyby dzisiaj nie nocowała u niej Martyna, świeże pieczywo by było. A tak, nie ma pieczywa, a ona nie zamierza po nie lecieć w ten mróz. Wzdrygnęła się, niech Iga sama idzie.

Chociaż nie. Anita stanęła na środku dużego pokoju, okręcając kubek w dłoniach. Iga nie pójdzie. Nic nie zje, będzie głodna. Zawróciła powoli, tocząc walkę z sobą i z wizją Igi pochłaniającej jajecznicę.

Stój. Chwila. W kuchni coś łąmotnęło, jakby garnek o szafkę. Co to mogło być? Anita nastawiła uszu i zastygła w oczekiwaniu. Gdyby Iga wiedziała, co się teraz z matką dzieje, usiadłaby przy stole i zaczekała po prostu, wystarczyłaby dłuższa chwila ciszy, a Anita by nie wytrzymała. Ale Iga nie miała pojęcia, co się w matczynej głowie kotłuje, więc sama zaczęła robić śniadanie.

Otworzyły się drzwi lodówki i coś puknęło. Kran, odrobina wody, palnik zapstrykał. Coś sobie gotuje... Stuknęły drzwiczki szafki i po chwili dał się słyszeć chrobot wsypywanych do miski płatków.

Anita odetchnęła z ulgą i machnęła w górę zaciśniętą pięścią. Yes! Dziecko gotuje sobie mleko do płatków. Wiktoria! Ale ile ją to drobne zwycięstwo kosztowało, to tylko Anita wiedziała. Czy to na pewno zwycięstwo? Nie, nie miała zamiaru się tym zajmować. Nie miała teraz czasu analizować, teraz trzeba pomyśleć, jakie porządki, jakie zakupy, czym się zająć... Przecież już niedługo przyjeżdża rodzina. Rodzina przez wielkie R.

Święta zawsze stanowiły wyzwanie dla gospodyni, ale święta, podczas których zbierze się rodzina obu małżonków plus niewidziany dawno, a przez niektórych w ogóle, syn, wuj i szwagier, to dopiero problem. Anita odstawiła kubek z niedopitą kawą na stół i pobiegła do łazienki, układając w głowie schemat działania.

Po pierwsze, dzisiaj najlepiej wywietrzyć pościel. Adama położy się w tym pokoju, w którym dzisiaj spała Martyna. Wystarczy wytrzeć kurze, podłogi w czwartek się odkurzy i będzie dobrze. Szorując zęby, obrzuciła spojrzeniem łazienkowe kafelki. Dzisiaj czy w poniedziałek? Dzisiaj, zdecydowała szybko. W poniedziałek, gdy wróci z pracy, weźmie się za szafę w przedpokoju i żyrandole.

Wyplukała szybko usta, wytarła upapranym kawą ręcznikiem i pobiegła w poszukiwaniu kartki. Lista. Lista być musi. Bez listy się nie obejdzie, bo jak sobie wszystko poukłada, ułoży w głowie schemat, to później w natłoku zajęć na bank go zapomni. A zapomnieć nie może.

Wstawiła wodę na kolejną kawę, wyciągnęła kubek i zasiadła przy stole, gryząc długopis i dokonując najtrudniejszego zajęcia przed świętami. Zajęcia, które z założenia miało usprawnić pracę, a które czas miało wykalkulowany bezlitośnie co do minuty. Sporządzania planu pracy.

Tymek zawsze się z niej śmiał, wskazywał palcem kartkę i mówił, że zabrakło w niej bardzo ważnego punktu, a mianowicie włożenia piżamy na tyłek albo pokochania się z mężem, albo zamknięcia szafki ze sztućcami. Nabijał się bezlitośnie, kiwał głową i całował ją z czułością

w policzek. To było jej. Jej, specyficzne, Anitowe, ulubione przez niego.

Zresztą ostatnio przeszło mu to całe wyszydzenie, tak jakby stracił na nie ochotę, bo podczas ostatniego wyjazdu przekonał się, że taka lista to jednak dobra rzecz. Na wakacje Anita zabrała wszyściuteńko, co było potrzebne, co mogło się przydać, słowem - wzięła pod uwagę wszystkie możliwe przypadki, jakie mogły się im przydarzyć. Tymka jednak nie spakowała. On zawsze pakował się sam. No i efekt był taki, że trzeba było na miejscu najpierw udać się na zakupy, skompletować małżonkowi garderobę i przybory toaletowe. Od tego czasu przestał się nabijać i trochę zbastował.

Zaraz, zaraz, a co on w ogóle je, ten człowiek? Czy ma przygotowywać jakieś specjalne menu na jego przyjazd. Mruknęła ze złością.

- Co tam sobie mruyczysz pod nosem? Kawę masz?  
- Tymek stanął w drzwiach i ziewając rozdzierająco, przeciągnął się tak, że aż zatrzeszczały mu stawy.

- Mam swoją. Jeszcze trochę, a się rozsypliesz.

- To znajdziesz sobie nowszy, mniej używany model.  
- Tymek wzruszył ramionami i przelotnie pocałował żonę w czubek głowy. - A na razie zrób proszę swemu wysłużonemu kawy, co?

- Po co wstawiałeś? - Anita wyjęła jego kubek i sypała kawę. Tymkowi inna nie była w stanie otworzyć oczu.

- Przecież dzisiaj nie masz dyżuru, dwa dni wolnego, a w gabinecie też nie masz pacjentów.

- Nie mam, ale znasz to. Jeśli człowiek może sobie pospać, to sobie na pewno nie pośpi. Taki już ten nasz organizm głupi. - Zerknął na kartkę zapisaną drobnym maczkiem i parsknął. - Lista?

- Nie zaczynaj. - Anita odwróciła się do niego i wyciągnęła palec ostrzegawczo. - Lepiej mi powiedz, co ja mam temu twojemu bratu zrobić do jedzenia?

- A ja wiem? Pojęcia nie mam. Zresztą, kochanie, daj mi tę kawę, a porozmawiamy później, dobrze? Gdy już się obudzę. Aha, dzisiaj idę na piwo.

- Jak to?

- Normalnie. Nogami, tup, tup.

- Nie denerwuj mnie. Z kim?

- Aha - pokręcił głową z chytrym wyrazem twarzy - i tu cię zdziwię, z Danielem i Czarkiem.

- Wytłumaczysz mi?

- Później, Anito, za chwilę, za jakieś pół godziny.

Podniósł rękę w obronnym geście. Zabrał kubek z kawą i bez najmniejszych skrępowań zostawił żonę, której w tej chwili cisnęło się na usta strasznie dużo pytań, która bardzo chciała się dowiedzieć wielu rzeczy. Tymek nie puścił pary z gęby, dopóki się nie obudzi. Nie było sensu go nagabywać, bo jeszcze gotów się wściec i nie powiedzieć jej ni ułamka tych informacji, które z całą pewnością posiadała.

Poddała się więc frustrującemu uczuciu niemocy i pukając nogą w stół, odliczała czas. Wytrzymała pięć minut, po czym ruszyła za Tymkiem.

- Długo. - Parsknął śmiechem na jej widok.

- Drań. Gadaj w tej chwili.

- Nie ma o czym. Daniel do mnie zadzwonił, zapytał co się dzieje, więc powiedziałem mu zgodnie z prawdą, że nie mam najzwyklejszego pojęcia, o co wam poszło, no i jakoś tak nam się zgadało, że dobrze byłoby się spotkać. Później zadzwoniłem do Czarka. - Wzruszył ramionami. - **I** idziemy.

- Ty coś kombinujesz. Widzę przecież.

- Anita, daj spokój, nic nie kombinuję, idę z facetami na piwo. **I** tyle.

- Nie wierzę.

- Aaa, to już twój problem. Idę się myć.

- A co mówił Daniel? - Anita nie dawała za wygraną i dreptała krok w krok za mężem.

- Dużo mówił, przede wszystkim o tym, że szmaty już się wywalają przez drzwi wejściowe, a Iwona szyje jak szalona. Musiało wam naprawdę coś paść na głowy, że dałyście sobie spokój z tym sklepem, wiesz?

- I co jeszcze?

- Chcę skorzystać z łazienki - mruknął, stojąc przy wannie.

- Oj, od kiedy tak raptem przeszkadza ci moja obecność?

- Nie przeszkadza, ale chciałbym chociaż raz w tygodniu spokojnie skorzystać z tego miejsca sam. Sam. Rozumiesz?

- Uch - próbowała protestować Anita, ale Tymek bezceremonialnie wziął ją za ramiona i wystawił, dosłownie, za drzwi.

Jeżeli jeszcze rano kiełkowały w niej jakieś plany dotyczące zmiany sposobu traktowania Igi, to teraz, niepodlewane nowymi pomysłami, zagłuszone bujną roślinnością męzowskich posunięć i zbliżającymi się świętami, schowały się z powrotem w głębinę i ani myślały się wychylać w obliczu konkurencji.

Anita rzuciła się z powrotem do swojej listy, a sporządziwszy ogólny zarys działań, obleciała cały dom, notując, czego brakuje, co trzeba kupić, jakie zapasy uzupełnić. Koczowała też chwilę pod drzwiami łazienki, ale donośny bas i chlupot wody nie zwiastowały rychłego wyjścia Tymka. Zła na siebie, bo wiadomo, że wścibstwo to cecha średnio chwalebna; zła na Tymka, bo co on sobie w ogóle wyobraża, jakim prawem wcina się w relacje między nimi. I co chce zdziałać w kwestii poprawy stosunków między Martyną a Czarkiem?

Anita sapnęła ze złością. Cholera, ze swoim taktem, czy raczej jego brakiem, gotów wszystko spieprzyć albo popsuć jeszcze bardziej. Jedyne wyjście z sytuacji - Anita bojowym gestem uniosła rurę od odkurzacza - jest udzielić mu dokładnych instrukcji. A najlepiej w ogóle byłoby

wypisać mu dialogi. Nie zdąży się nauczyć, przecież to już wieczorem. Uch, z nim tak zawsze, umyśli sobie nie wiadomo co, a ty, człowieku, później cierp.

Odkurzaczy zawył z pretensją, a Anita zaatakowała dywan ze zdwojoną siłą.

- Mamooo!!! Czy ja już nie mogę w sobotę się zrelaksować? - Iga stanęła w drzwiach swojego pokoju i podparła się pod boki.

- Nie możesz - odrzyknęła ze złością Anita.

- Jak to nie mogę? Właśnie, że mogę, wyłącz to!

- Nie. - Anita kopnęła nogą wyłącznik odkurzacza, po czym odparła pozornie spokojnie. - Nie możesz.

- A to niby dlaczego? Wczoraj siedziałam długo, odrabiałam lekcje, chyba mam prawo zregenerować umysł?

- Ręce Igi zwisły jednak po bokach, bo zauważyła, że w matce coś się niebezpiecznie gotowało.

- Masz, ale nie przed świętami. Dość leniuchowania, jesteś mi potrzebna.

- Mamo...

- Samo się posprząta? A może mam czekać, aż oboje wypoczniecie i wyjdziecie z domu, żebym nikomu, broń Boże, nie przeszkadzała w regeneracji umysłu, co? Wybij to sobie z głowy - sapnęła, a przyjrawszy się córce dodała: - W mojej toalecie leży maść na pryszcze, sprawdź termin ważności i zapędzaj sobie ten nos, bo dzisiaj wygląda jeszcze gorzej. Aha, a gdy już zrobisz wszystko naokoło siebie, melduj się na dole. Pojedziesz z ojcem po zakupy.

- Ale... - Iga całkiem spuściła z tonu i niepewnie dotknęła nosa.

- Dobrze wiesz, że jeśli sam pojedzie, to przywiezie tyle wszystkiego, że będziemy mogli zrobić święta sąsiadom i jeszcze pobliską dzielnicę wykarmić. Musisz go przypilnować. Idź już, bo przeszkadzasz.

Skupiona na porządkach, świętach i złości na Tymka, Anita nawet nie zauważyła, kiedy udało jej się znowu

przejąć stery nad rozbrykaną córką. Całkiem nieświadomie zastosowała się do zaleceń Martynty. Wysłała za jednym zamachem trzy komunikaty. To domownik ma się przyporządkować ogółowi, a nie odwrotnie. Dobrze jest słuchać starszych, bo na problemy mogą jednak znaleźć jakąś radę. Stawiam twój rozsądek, przynajmniej w kwestii zakupów, nad rozsądkiem ojca, a tym samym czynię cię odpowiedzialną za dzisiejszą wyprawę.

Dopiero później Anita uświadomiła sobie, że nie czuje, po raz pierwszy od długiego czasu, tej goryczy związanej z zachowaniem Igi. Trza skupiać się na czym innym, powiedziała sobie i, porzuciwszy dylematy rodzinne, zajęła się doprowadzaniem domu do nieskazitelnego stanu.



# 10

Tydzień minął obrzydliwie szybko. Minął pod znakiem biegania w tę i z powrotem do sklepu, czyszczenia tego, co jeszcze wyczyszczone nie zostało, przewalania ubrań z szafy do szafy, no i przesiadywania do późnych godzin w kuchni. Odhaczała kolejne pozycje z listy. A gdy nadeszła Wigilia, Anita miała najszczerzą ochotę wskoczyć do łóżka i nie wstawać z niego przez dobrych parę dni.

No może z przerwami na jedzenie. I siusiu.

I nic więcej.

- Mamooo! Warzywa zaraz uciekną!

- To zmniejsz gaz - rzuciła Anita w kierunku kuchni.

Obrzuciła jeszcze wzrokiem choinkę, poprawiła tu i ówdzie łańcuchy. Musiało być idealnie, czyli po jej myśli, więc dorzuciła ostatnie paczki i wpatrując się w migające, kolorowe światełka, zażyczyła sobie, żeby te święta przebiegły spokojnie i szybko.

- Zmniejszyłaś?

Weszła do kuchni i przyjrzała się Idze. Dziecię na powrót dziecięciem się stało, najprawdopodobniej pod wpływem szaleńczej świątecznej gonitwy, która mało kogo oszczędziła. I dobrze. Iga zaleczyła paskudny nos, a na rzecz obu babć zrezygnowała z wkładania kolczyka. Może w ogóle na jakiś czas z niego zrezygnuje? Oby.

- Gdzie tata?

- Pojechał umyć samochód. - Iga wzruszyła ramionami. - Pewnie wróci na samą kolację bo...

- Kolejki były straszne...
- Przez miasto nie dało się przebić...
- Ludzie oszaleli, że jeszcze teraz robią zakupy...
- No i coś mi się tam zepsuło, więc byłem też w warsztacie...

Spojrzały na siebie porozumiewawczo i ryknęły śmiechem. Normalne. Gdy w domu temperatura sięgała niemalże wrzenia, Tymek pod byle pretekstem zniknął na długie godziny i wracał dopiero wtedy, gdy dokonał w głowie skomplikowanych kalkulacji. Co jeszcze może się tam dziać? Na to i na tamto potrzebowały tyle i tyle czasu, to i to może zająć im tyle, to tyle. I gdy ryzyko zaangażowania w jakieś idiotyczne domowe roboty malało, pojawiał się w drzwiach z rozwianym włosom, w rozpiętej kurtce i z wyśmienicie udawaną złością na twarzy. Czy one sobie w ogóle wyobrażają, co się dzieje w mieście? Nie, otóż nie mają najzwyklejszego pojęcia. Sodoma i Gomora! A ludzie? Ludzie zamiast życzliwości to furię mają wypisaną na twarzach. A one wzdychały, potakiwały i natychmiast wynajdywały coś zostawionego na ostatnią chwilę, tak żeby mu wreszcie uzmysłowić, że żadnym sposobem nie uda mu się uniknąć domowych obowiązków.

Jak do tej pory bezskutecznie jednak.

- To co, sałatkę mu zostawiamy?
- Nie. - Anita zajrzała do wielkiego garnka. - Za dużo tego, nie zdąży.
- Dobra, to ja pokroję, a ty zobacz, co tam jeszcze zostało.

Zostało jednak niewiele. Półmiski z pierogami, sztuk sto pięćdziesiąt, nie mniej, nie więcej, chyba że kto podkradł jeden albo dwa, stały na parapetach. Galareta na karpniu powoli nabierała stałej konsystencji. Anita dziubnęła ją palcem, przesunęła jeszcze delikatnie dwa kawałki marchewki i zerknęła, czy cytryna jest pokrojona. Jest. OK. Grzyby się usmaży później, karpia też. Śledzie ze słoików wyjmie się tuż przed podaniem. Zerknęła na stół. Półmiski czekały. Dobrze. Kutia już ułożona, przystrojona rodzynekami

i migdałami, czeka. Racuchy są. Śliwki jeszcze na kompot... A może już gotować?

Chyba wszystko.

- Dziecko, kochane, jak ty wyglądasz?

Mama, uperfumowana jak zwykle zbyt mocno, siarczyście cmoknęła Anitę w oba policzki.

- Co, źle?

- Źle, źle, no... mizernie, prawda Stefan? - Zwróciła się do męża: - Weź mój płaszcz. A reszta gdzie?

Matka zajrzała do pokoju.

- Reszta zaraz przyjdzie, chodźcie. - Anita zabrała od rodziców płaszcz i wcisnęła je do szafy.

- Stefan, szybko, gdzie reklamówki z prezentami?

- Tutaj, tutaj mam. - Tata podreptał do dużego pokoju i zaczął wyciągać pakunki.

- Szybciej, bo Iga zaraz przyjdzie.

- Mamo, Iga już nie wierzy w Mikołaja, wiesz?

- Nie wierzy, nie wierzy. Dobrze, że nie wierzy, więc niech ma dziecko niespodziankę. Igaaa? Ktoś puka, Anito, otwórzże drzwi, przecież goście nie będą sami się pchać do domu. - Mama poprawiła włosy i obciągnęła bluzeczkę.

- Jak? Dobrze?

- Perfekcyjnie, mamo - uśmiechnęła się Anita.

- Stefan, chodźże, znowu ci się krawat przekrzywił. Ja mówiłam, oczywiście, że jeśli sam zawiążesz, od razu się przekrzywia. Chodź tu, mówię.

Anita wymieniła z ojcem porozumiewawcze spojrzenia i nim ruszyła do drzwi, zajrzała jeszcze do kuchni i zapytała Tymka:

- Jak tam, dajesz radę pierogom?

- Daję. Idź otwórz, bo zamarzną. Zresztą ja przewracam pierogi i też idę. Ciekawym tego mojego brata.

Adam okazał się typem macho. Anita, po przywitaniu się z teściami i cokolwiek dziwnej prezentacji, stanęła z boku i wpatrzyła się ciekawie w dwóch braci. Ściskali się

serdecznie, poklepywali po plecach i byli tak zupełnie różni. Nie mogła się nadziwić, że kobieta stojąca z tyłu i wycierająca raz po raz oczy, była matką ich obu. Od Adama biła pewność siebie i urok. Trzeba przyznać, że Tymek bladziutko prezentował się przy bracie. Czarna owca okazała się czarną dosłownie, gdy wbijał w nią oczy koloru węgielków. Po kim on miał takie oczy? Odnosiła wrażenie, że świdruje ją na wskroś, widzi wszystko, czego widzieć nie powinien. Anita nie czuła się dobrze w towarzystwie takich osób. Pewność siebie, OK, ale to tutaj było takie diaboliczne, takie średnio przyjemne, więc wytrzymawszy spojrzenie szwagra, przysunęła się do Tymka. Tak, żeby poczuć jego spokój.

- A któż to tam jeszcze? Anitko, zapraszałaś kogoś, czy to nieoczekiwany gość? - Mama wzniosła cieniutkie brwi na dźwięk dzwonka.

- Ooo, pani Ludwiko, Adaś... Proszę, proszę wejść - Anita rozpromieniła się na widok zakutanej mocno, szczerzej twarzy sąsiadki i czerwonej od szczypiącego mrozu gębuli wakacyjnego wychowanka.

- Nie, nie, my tylko na chwilę, dzień dobry państwu.  
- Sąsiadka zwróciła się do wszystkich. - My tylko na chwilę, pani Anitko, ten tutaj żyć mi nie dawał, bo przecież... Teraz sam się proś, bo mnie strasznie nieładnie. - Wysunęła wnuka przed siebie.

- Co tam, Adaś? - Anita widząc zawstydzenie chłopca, przyklękła przed nim i podstawiła ucho. - Powiedz.

Adaś jednak mileczał uparcie, wpatrując się w tłum ludzi, aż nagle na Anitę spłynęło olśnienie.

- Dobrze, że przyszedłeś - szepnęła.

- A czemu?

- Dlatego, że mam przecież twoje pierniki, pamiętasz? Iga, przynieś Adasiowe pudełko.

Chłopczyk rozpromienił się, a gdy pudełko wylądowało w jego małych dłoniach, uśmiechnął się szczerze do Anity i powiedział:

- Dziękuję. Czy tak jak ciocia Martynka mówiła? Czy są ozdobione?

- Dokładnie tak. Wszystkie twoje. Wesołych Świąt, mój ty mały pomocniku. - Cmoknęła go wzruszona, w zamaskany policzek.

- Tobie, ciociu, też, a tutaj, babciu... Daj paczkę dla cioci.

- Paczkę, paczkę... - sarknęła pani Ludwika, wyciągając z koperty biały, mały opłatek. - Najpierw trzeba sobie życzenia złożyć, a nie paczkę. Pani Anitko, wszystkiego, czego pani tylko trzeba, przede wszystkim niech nam tu pani nie choruje, niech będzie szczęśliwa z tym naszym doktorem, niech Igusia się słucho i w ogóle łaski Boskiej na co dzień. - Siapnęła nosem i wyciągnęła opłatek w kierunku Anity.

- Pani też, pani Ludwiko, samych serdeczności, zdrowia na ten cały przyszły rok, no i niech tu pani z nami będzie często. - Ułamała opłatek i ze wzruszeniem pocałowała pomarszczony policzek.

- No, no. - Sasiadka przetarła oczy i wyciągnęła w kierunku Anity paczuszkę. - A to od córki, uparła się, więc nie może pani odmówić, powiedziała, że chociaż taki drobiazg. No, to my już pójdziemy, nie będziemy przeszkadzać. Do widzenia. Wesołych Świąt.

Do kolacji wigilijnej Anita usiadła spokojna. Ubrana w delikatny, jasnoszary sweterek od Adasiowej mamy i po przeczytaniu kolejnego SMS-a z życzeniami. „To dla mnie życzenia. Życzę sobie mniej głupoty, więcej ciebie i twojej wyrozumiałości. A tobie... wiesz czego życzę. Tęsknię. Iwa”.

Martyna miała wrażenie, że złapał ją skurcz. Skurcz mięśni twarzy, a ściślej rzecz ujmując - policzków. Od samego południa nieustannie się uśmiechała. Bez przerwy. Kroiła chleb, uśmiechała się. Ustawiała na stole talerze, uśmiechała się. Słuchała wszystkich z uśmiechem na twarzy. Odpowiadała też. Uśmiech nie zniknął, nawet gdy wchodziła do łazienki w wiadomym celu.

Pani Anna wodziła za nią wzrokiem z lekka zaniepokojona. Zaczynała się obawiać o zdrowie psychiczne swojej córki. Początkowo miała jej za złe to rozejście się z Czarkiem, usiłowała wytłumaczyć, o ile w ogóle się dało, zasady funkcjonowania związku. A Martyna słuchała. Albo takie sprawiała wrażenie. Im więcej jednak pani Anna poznawała szczegółów tego rozstania, im więcej Martyna wywaląta z siebie żalu, tym bardziej matka musiała zwalczać w sobie chęć dopadnięcia Dorotki, zrobienia jej czegokolwiek, aby tylko zabolęło. A w następnej kolejności wytarmoszenia własnego, najświeższego zięcia. Z drugiej strony pani Anna zastanawiała się, jaki właściwie miałyby to sens? Skoro nie wiedział, skoro nie mógł się zdecydować, po której stronie stanąć, skoro nie potrafił docenić Martyny jako żony i potrzebna mu była jeszcze przyjaciółka, to może sensu to nie miało?

Pani Anna ogarnęła wzrokiem liczną rodzinę, sprawdziła, czy wszyscy są, po czym zadekowała się w łazience, na swoim ulubionym miejscu. Przy wywietrzniku.

Wiadomo, mężczyźni są różni, pomyślała filozoficznie, wydmuchując dym wprost do kratki wentylacyjnej. Wiadomo. Jedni są mniej, inni bardziej wierni. Albo w ogóle niewierni. Ale żeby tak na początku małżeństwa? Niech będzie, że Czarek traktował to jako przyjaźń, ale czy ta jego znajoma sprzed lat też? O, niechby jej Henryk sobie znalazł przyjaciółkę, tu pani Anna z oburzenia aż zakrzuszyła się dymem. Nie żeby miała cokolwiek przeciwko przyjaźni jako takiej. Ale w damsko-męską nie wierzyła. Nie wierzyła i już. Zawsze któraś strona chce więcej. Chce coś ponad, chce udoskonalić tę przyjaźń, a gdy przychodzi co do czego, okazuje się, że ją spaprała. Tak było i koniec.

Tylko jak teraz pomóc Martynie? Westchnęła. Niech sobie ona będzie silna. Niech będzie dzielna. Niech daje sobie radę. Tylko pytanie: do kiedy. Pani Annie serce się krajało na widok córki wpatrującej się w pozostałe siostry otoczone dziećmi. Nie mogła nie zauważać wyrazu twarzy Martyny, gdy któraś z siostrzenic pakowała jej się na

kolana. Nie mogła nie zauważyć, jak Martyna sama się do nich garnęła, jak mocno je przytulała, chcąc złapać choć namiastkę tego, co jej nie było dane. Czy na zawsze?

- Babciuuu!!! Sikuuu - dobiegło nagle rozpaczliwie spod drzwi.

- Już, już wychodzę. - Pani Anna czym prędzej wyrzuciła niedopałek, zerknęła, czy pływa i pobiegła pełnić honory domu, rozmyślania o córce zostawiając na później.

- Kolędy śpiewamy, babciu, no i prezenty, prezenty, tylko na ciebie czekamy - poinformowała wnuczka, wbiegając do łazienki. - Śmierdzi. Tylko poczekajcie na mnie!!!

- Słuchajcie, ponieważ moich sióstr dzisiaj z nami nie ma... - zaczęła, wygładzając spódnice.

- I dzięki Bogu...

- Małpo jedna, nie brakuje ci cioć ukochanych?

- Nie brakuje i nie mów mi, że tobie brakuje... - rozległy się głosy córek.

- Cicho - zgromiła je pani Anna. - Nieważne komu brakuje, komu nie brakuje, od nich nam niczego w każdym razie nie zabrakło.

- Mamo, pies szczeka - zauważyła Martyna, bo w ogólnym rozgardiaszu, jaki panował właściwie od początku kolacji nie było niczego słyszać. Teraz jednak miała wrażenie, że ten pies szczeka już od jakiegoś czasu.

- Nic tam nie szczeka - zaprotestowały siostry zgodnie.

- No jak nie, jak tak, nie słyszycie? I to w domu.

- Nie... - zaczęła pani Anna, ale Martyna już ruszyła na poszukiwania źródła hałasu - stój, mówię. Dobra, zaczniemy od ciebie - westchnęła zrezygnowana. - Gdzieś to już widziałam, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie. Poczekaj, siadaj, mówię.

Pani Anna wyszła z dużego pokoju, a po chwili ukazała się, niosąc na rękach małego, kudłatego szczeniaka, który wzbudził wśród dzieci ogromny zachwyty, a wśród dorosłych lekką konsternację. No, bo nie daj Boże, babci przyszło do głowy obdarować któreś z wnucząt tym stworzeniem?

Babcia jednak ruszyła prosto w kierunku Martyny, której po raz pierwszy dzisiejszego dnia, pojawiło się na twarzy coś innego niż głupkowaty i zupełnie nieszczerzy uśmiech. Martyna bowiem na widok małego szczeniaka najpierw oniemiała, a później wyciągnęła po niego ręce i przytuliła delikatnie, muskając brodą mięciutką głowę. Westchnęła, z wdzięcznością patrząc na matkę.

- Proszę bardzo. Halinka stanęła na wysokości zadania. Wygrzebały w internecie jakąś stronę *Przygarnij psa*, czy może *Przygarnij zwierzaka...* - Pani Anna zadowolona z efektu pogratulowała w duchu siostrzom. - Nie pytaj mnie, skąd znają obsługę komputera, być może albo raczej bardzo prawdopodobne, że ktoś im pomógł, w każdym razie znalazły tego psa i kazały przekazać tobie.

- Dziękuję, piękny jest. - Martyna odsunęła zwierzę od siebie i przyjrzała mu się dokładnie.

Był cały kremowy, jasnokremowy, a z tego kremu wystawały dwa czarne ślepka, przyglądające się otoczeniu z ciekawością. Taka namiastka Sproketa, malutka namiastka tego, co straciła.

- Ależ proszę bardzo. Podziękujesz ciotkom, a tu masz jeszcze list dołączony do psa.

„Martynko kochana, tobie nie robi różnicy, czy to rasy czy mieszany piesek...” - Martyna spojrzała na matkę z uśmiechem, przypominając sobie podróż ciotki ze Sproketem u boku. „To maleństwo ma już komplet badań za sobą, jest odrobaczony, zaszczepiony i według tego, co piszą w ogłoszeniu, akceptuje koty, inne psy i dzieci. Tak, tak, w takiej kolejności. My między sobą nazwałyśmy go Biskopt, bo chyba tak wygląda, ale to sunia, więc zmieniam imię. Halinka podpowiada, że Pusia to szczęśliwe imię, my z Grażynką raczej przychyłamy się do Kropeczki, ale oczywiście zrobisz, jak uważasz. Życzymy ci wszystkiego najlepszego w te święta i... bądź dobrej myśli. Ciotki trzy.”



Martyna spojrzała na matkę. Ta z kolei wzruszyła ramionami. „No co, rehabilitują się siostry, poza tym fajnie się zachowały, co?”. „Fajnie, dzięki mamó”.

Oczywiście taki prezent wzbudził wiele zamieszania, dzieci natychmiast straciły zainteresowanie pakunkami pod choinką i podbiegły do Marty, jedno za drugim najpierw dotykało miękkiego łebka, głaskało po klapniętym uchu, a potem biegło z wyraźnymi roszczeniami do rodzica. Pies tymczasem łupał na to wszystko spokojnymi oczami, a w chwilach, gdy nie czuł się zbyt pewnie, wwiercał się swojej nowej pani w brzuch. Później zaś, nie zwracając już na nic uwagi, mrugnął parę razy ciemnymi oczami, coraz wolniej, aż wreszcie za którymś mrugnięciem już ich nie otworzył i zaczął cicho posapywać.

- Otwórzcie drzwi! Przecież ktoś dzwoni.

- Już, już, ja pójdę.

Pani Anna zerwała się od stołu, jako gospodyni zawsze usadzała wszystkich w głębi, a sama przykuciała z brzegu, żeby móc bez problemu biegać do kuchni. Po chwili wróciła i niepewnie spojrzała na Martynę.

- Martyś, chodź.

- Nie mogę.

- Chodź, mówię.

- Mamó, Laba...

- Laba... ale ładnie, a czemu Laba? Ciociu, co to znaczy?

- Laba to takie nic nierobienie, a ona mi tu właściwie cały czas tak nic nie robi. Co mamó? Śpi. A gdy wstanę, to się obudzi.

- Martyno, na litość, to znaczy, że teraz nie będziesz się ruszać, żeby psa nie obudzić? Chodź, mówię, weź go... ją... ze sobą. - Pani Anna najwyraźniej wykazywała oznaki zniecierpliwienia.

Martyna stanęła wreszcie w drzwiach prowadzących do przedpokoju i zdębiała. Bo oto ni mniej ni więcej w progu

stała przyczyną jej ustawicznych rozterek. Przyczyna stała, przestępowała z nogi na nogę i uśmiechała się w sposób, który ją podbił.

- Wesołych Świąt - powiedział wreszcie.

- Wesołych Świąt - odparła automatycznie Martyna, mocniej przyciskając do siebie szczeniaka.

Obudził się i zapiszczał, ale rozejrzawszy się, stwierdził, że cały czas jest w tych ciepłych ramionach, więc mlasnął językiem, ziewnął i zasnął z powrotem.

- Przyszedłem, żeby ci życzyć wszystkiego najlepszego. Są święta, Martyno... Mogę wejść?

- Jasne. - Odsunęła się, przepuściła go, po czym zamknęła drzwi. Urosły mu włosy. Zaczęły się skręcać tuż nad uszami. Ładnie.

- Bo to przecież... Kupiłaś sobie psa? - Wskazał na biszkoptową kulkę, która w niewytłumaczalny sposób, swoim ciepłem, dodawała Martynie otuchy.

- Dostałam od ciotek, dasz wiarę? - uśmiechnęła się lekko.

- Niemożliwe. Jeżeli trzeba w czymś pomóc, to ja... Wiesz...

- Wiem, Czarku. Na razie podobno ma cały pakiet za sobą, ale jeżeli będę potrzebowała pomocy, to oczywiście, do ciebie się zgłoszę.

- Martyno... ja... ja nie wiem. - Oparł się o szafkę i przejechał dłonią po włosach. - Chciałbym to wreszcie jakoś sobie poukładać.

- Hm, może nie uwierzysz, ale ja też - przeraziła się, że za chwilę wręczy jej papiery rozwodowe.

- Naprawdę?

- Słuchaj, wypadałoby wreszcie powyjaśniać sobie parę rzeczy, tak wiesz, bez emocji. Tych niepotrzebnych złych emocji. Źle nam dyktują.

Nawet nie wiesz jak bardzo mi ciebie brakuje, dom jest już ukończony i przeraźliwie pusty, chcę tam być z tobą, tylko z tobą. Chcę patrzeć na wybrane razem rzeczy, chcę

przytulać się do ciebie przy blasku ognia, chcę znowu zasypiać wtulona w twoje plecy... Niewiele brakowało, a wyrwałyby jej się te słowa.

- Zgadza się. To dobry czas, prawda? - przysunął się do niej i dotknął palcem jej policzka.

- Dobry. - Uśmiechnęła się i pogłaskała go po dłoni.

- Mogę to uważać za zaproszenie do rodzinnej kolacji?

- Że niby nigdy nic?

- Spróbuję.

- Zlinczują cię. - Martyna wzruszyła ramionami.

- Trudno. Spróbuję, mam nawet ciasto. - Odwrócił się i wziął w dłonie pakunek, leżący do tej pory na szafce.

- Hm, hm, tak łatwo chcesz się wkupić w łaski mojej rodziny? Myślisz, że na kawałek placka ich weźmiesz?

- Oho ho, to nie jest byle jaki kawałek ciasta. To sernik. Wiedeński - zaszeptał konspiracyjnie.

- Szanse rosną. W takim razie ciut za mały ten kawałek. No chyba, że powiesz, że to twojej roboty, wtedy masz ich jak na widelcu - roześmiała się Martyna. - Razem z sernikiem.

- No co ty? - obruszył się Czarek - Mojej roboty, sernik? Dorota upiekła i prosiła, żeby was też poczęstować i przekazać najserdeczniejsze życzenia.

W tym właśnie momencie dwie osoby skamieniały całym zgodnie. Pani Anna wsłuchująca się w rozmowę ze swego strategicznego miejsca na wylocie i Martyna wpatrująca się z niedowierzaniem w swego męża.

„Ty idioto, ty”, przemknęło przez głowę tej pierwszej.

Boże... a tak niewiele brakowało, żebym mu powiedziała, że za nim tęsknię, że nie chcę nikogo innego, że chcę jego obecności, rozmowy z nim, jego. Jego całego.

Stała jeszcze chwilę z wyciągniętą ręką, jakby trawiać informację, a po chwili wolno opuściła rękę i przymknęła oczy. Zniknij, po prostu się rozpułyń.

- Martyna? To jak, mogę wejść, co się stało?

Nic się nie stało, idioto jeden.

- Babciu, zawsze mówiłaś, że nie wolno bujać się na krześle, bo można spaść, a ty się bujasz - zaprotestowała jedna z wnuczek.

- Dorosłym wolno, będziesz dorosła, to też się będziesz bujać. - Pani Anna machnęła ręką, wyginając się jeszcze bardziej do tyłu.

„Kretynie, powiedz, że żartowałeś, powiedz, że nie mówiłeś poważnie, cokolwiek powiedz...”

- Faktycznie, Aniu - zauważył pan Henryk. - Za chwilę się przewrócisz, usiądź jak człowiek. Kto to widział...

- Jak jaki człowiek? Normalnie siedzę, bujać się nie wolno? Cicho bądź - sarknęła na męża.

Dyskusja na temat bujania się i niebujania, dorosłości i w ogóle przybrała jednak na sile, wykluczając usłyszenie czegokolwiek z przedpokoju.

- Martyna? - Czarek podszedł do niej i próbował ją objąć. Odsunęła się jednak zdecydowanie i spojrzała na niego zimno, lodowato wręcz.

- Słucham?

- Pytałem, czy mogę wejść...

- Wiesz co, chyba lepiej nie. Nie chcę sernika od Doroty, nie chcę od niej niczego, więc jeżeli przychodzisz tutaj z jej ciastem w charakterze gałązki oliwnej, to jedno mam ochotę ci powiedzieć. - Zaczepnęła tchu. - Wsadź sobie tę gałązkę gdzieś. W całości, nie marnując ani kawałka.

- Martyno, o co znowu chodzi? - Odłożył pakunek na szafkę i założył ręce na piersiach. - Czy jakkolwiek różnicę zrobiłoby ci, gdybym przyniósł to ciasto z cukierni?

- To chyba jasne.

- Nie rozumiem. Nawet gdyby piekła je jakaś pani Genia czy inna Fela? Wtedy nie robiłoby ci problemu? O co ci chodzi? - podniósł głos. - Przychodzę tutaj, staram się z tobą porozmawiać, wyjaśnić wszystko, naprawdę się staram. Przynoszę ciasto, a ty co? Każesz mi je sobie wsadzić w tyłek? Martyna, opanuj się, co się z tobą dzieje?

- Nic się nie dzieje. Jeżeli nie potrafisz zrozumieć wymowy tego gestu, podarowania mi tego cholernego sernika wraz z życzeniami... i przekazania przez kogo? Przez ciebie... To faktycznie nic się nie dzieje, wszystko było pomyłką i dajmy sobie z tym spokój. - Nie wierzyła, że udało jej się wypowiedzieć te słowa. Postawiła właśnie sprawę na ostrzu noża.

- Nie. Wytłumacz mi najpierw - zażądał. - Jaka jest różnica między panią z cukierni a Dorotą?

- Elementarna.

- No to mi wytłumacz! Nie potrafisz? Boże, Martyno, mam tego serdecznie dość...

- Hm - pani Anna nie wytrzymała. - Przez przypadek usłyszałam ostatnie zdanie i bardzo cię proszę, Czarku, choć wiem, że brzydko to zabrzmie, ale chyba oboje nie chcemy żeby cokolwiek, cokolwiek - zaznaczyła - zakłóciło świąteczną atmosferę.

Czarek zdębiał. Ona też? Czy ona też nie rozumie, jak bardzo zależy mu na odzyskaniu poprzednich stosunków z Martyną. Powinna wiedzieć. Powinna mu pomóc, wytłumaczyć córce... Spojrzał na teściową błagalnie, nie dostrzegając jednak najmniejszej szczeliny w tej znajomej, a jakże teraz obcej, kamiennej twarzy. Odwrócił się i wyszedł.

Zniknął.

Cicho. Bezpowrotnie.

Dała się objąć matce, najchętniej ukryłaby się między fałdami spódnicy, tak jak kiedyś. Miała wtedy wrażenie, że jest niewidzialna, a mama delikatnym głaskaniem po głowie była w stanie ją uspokoić. Nie mówiąc nic, dawała poczucie bezgranicznego bezpieczeństwa. Ilekroć coś złego działo się w życiu Martyny, biegła do matki.

Lek na całe zło.

Zadrapane kolano? Proszę bardzo, jednym ruchem wyciągała z szafki niezbędne akcesoria i po dwóch dniach nie było śladu. Zazdrosna koleżanka? Parę ruchów dłoni, jedna

opowieść i już Martynie robiło się lepiej. Z każdą biedą przybiegała do matki i nigdy nie zdarzyło się, żeby odeszła od tych ramion bez plasterka na duszy.

Tyle, że tym razem nie czuła już tego, co dawniej. Te ramiona nie były już w stanie przynieść jej otuchy. Za bardzo się różniły od tych, których Martyna w tej chwili najbardziej potrzebowała. Jakby w pewnym momencie swojego życia przeszła z jednych ramion w drugie i, niestety, tych drugich właśnie nie dało się niczym zastąpić.

Odsunęła się łagodnie od matki.

- Mamo... Jadę do siebie.

- Nie jedź!

- Nie wytrzymam tu dłużej, nie widzisz? Nie dam rady.

- Martyna potrząsnęła głową.

- Do jakiej siebie? Będiesz siedzieć sama w domu i się zadręczać, nie pozwolę na to.

- Wolisz, żebym siedziała tutaj i dręczyła się jeszcze bardziej? Nie czuję już świąt, mamo, nie chcę udawać, nie dam rady dłużej się uśmiechać.

- Boję się o ciebie. - Pani Anna skrzywiła się żałośnie.

- Dlaczego? Że coś mi się stanie? Oj mamo, zaufaj mi...

- Uff, uff - powiedziała automatycznie matka, używając słów sprzed lat, a znaczyły mniej więcej tyle: nie zaufam ci, nie potrafię, ale nie mogę ci zabronić.

- Dobrze będzie, tylko muszę...

- Ciociu, ciociu, zobacz, co dostaliśmy od Mikołaja.

- Gromadka dzieci wbiegła do przedpokoju, wyciągając w rękach błyszczące samochodziki, kolorowe lalki Barbie i wszelkie zabawkowe cuda na kiju.

- Głupia, nie ma Mikołaja, mówiłem ci.

- A właśnie, że jest. Zobacz, co mi przyniósł.

- Nie ma!

- Dzieci!

Babcia w porę interweniowała, wpychając z powrotem czeredę do pokoju.

- Zaraz, zaraz zobaczymy.
- No widzisz? Nie umiem się teraz z nimi cieszyć, a ty nie martw się o mnie i pożegnaj wszystkich. Muszę, mam.
- Martyna odstawiła na podłogę przeciągającą się Labe i zaczęła zakładać buty. Sprawdziła, czy w torebce ma telefon i klucze.
- O nie! - Matka wyrwała klucz z drzwi wejściowych.
- Zaraz, zaraz pójdziesz. Bez jedzenia nigdzie cię nie wypuszczę, wszystkie sklepy pozamykane, a dam sobie rękę uciąć, że nic nie masz w lodówce. Herbatę chociaż masz?
- spytała już z kuchni.
- Mam.
- A kawę?
- Kocham cię, mam. - Martyna wzniosła oczy w górę, ale uśmiechnęła się lekko. - Też mam.
- Ale mleka pewnie nie masz. Zapakuję ci.
- Niepotrzebne mi mleko.
- Jak to niepotrzebne? A pies? - Pani Anna wychyliła się z kuchni i wskazała na mały kłębek, który wiercił się po przedpokoju i popiskując cicho, szukał tych ciepłych rąk, które go przed chwilą trzymały, a teraz nie wiadomo, gdzie znikły.
- Faktycznie, pies. Ale ja nie wiem, czy można mu podawać mleko.
- Przecież miałaś psa - wypaliła pani Anna, zanim zdążyła się ugryźć w język.
- Miałam. - Martyna smutno wzruszyła ramionami, przyglądając się jasnej kulce. - Tylko że tamten był nieco większy, mniej wymagający pod względem żarcia.
- Zadzwoń do Haliny albo do babci, one teraz tam koczą, to ci powiedzą.
- Mamo, dziękuję.
- Nie dziękuj, nie dziękuj dziecko. - Pani Anna pogłaskała córkę po policzku. - Nie wiem, co mam robić, żeby wam się udało.

- Mamooo? - Martyna z niedowierzaniem na nią spojrziała.

- To mimo wszystko dobry człowiek. Gdzieś tam, w głębi serca o tym wiesz, ale dobrze by było, żebyś to wreszcie odczuła na własnej skórze. Cicho bądź i słuchaj, co ci doświadczona matka mówi. On jest dobry, Martynko. Bardzo dobry, tylko jakby to powiedzieć...

- Głupi? - odpowiedziała usłużnie Martyna, przekładając ciężkie siaty z ręki do ręki.

- Nie, głupi też nie, ślepy... też brzydko. On nie widzi pewnych rzeczy. Nie wiem, czy jest w stanie sam je dostrzec, zrozumieć. Czy też potrzebuje czyjejs pomocy?

- Tylko się w to nie mieszaj, błagam.

- Ależ ja nie mam zamiaru się mieszać. Poczekaj, pomogę ci się zabrać. - Pani Anna pobiegła najpierw do łazienki, zajrzała na chwilę do dużego pokoju, żeby poinformować rodzinę, że zaraz wraca, że nic się nie dzieje, a wszystko opowie gdy wróci.

Zeszła z Martyną na dół.

- Oczywiście zapalę.

- No, oczywiście. Nie wychodź z klatki, w kapciach jesteś.

- Ciepło mi, no więc o czym to ja? Aha, czy sam sobie da radę ze zrozumieniem. No cóż, mam nadzieję, że tak. Widzisz, u nich tak z tym rozumieniem trochę na bakier, jeśli nie podłożysz im gotowca na tacy, to sami mogą nie wpaść.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz - fuknęła matka. - Mogłabyś mu pomóc.

- Ja??? Chyba wystarczająco jasno to dzisiaj powiedziałam, tak czy nie? Bo coś mi się zdaje, że nie tylko ostatnie zdanie słyszałaś, ale całą rozmowę.

- Prawie - przyznała ze skrucą matka - no i nie do końca tak jasno. Silnik włącz, to ciepłej będziesz miała.



- Nie umiem jaśniej, wierz mi. Jeżeli on przynosi mi tutaj ten zafajdany sernik i się nim zachwyca, to nie mamy o czym mówić. A ja, przepraszam, nie piekłam mu sernika po wiedeńsku? Nie piekłam?

- Pewnie piekłaś.

- To jakim prawem zachwyca się jej ciastem, nie pamięta mojego? - Martyna przesunęła torby.

- Słoiki pobijesz, a tam śledź jest i będzie ci już zawsze śmierdziało śledziem - przepowiedziała złowieszczo pani Anna. - Ty nie rozumiesz, Martyna. Dla nich świat jest zaszufladkowany. W jednej szufladzie ma jedno, w drugiej coś innego. Zamyka jedną szufladkę, otwiera drugą i tego, co było w pierwszej, już nie pamięta.

- Czy ty mi tu opowiadasz, że oni idioci są? Wszyscy jak jeden?

- Idioci, nie idioci. - Pani Anna zaciągnęła się papierosem i szczelniej owinęła kurtkę. - Nie w tym rzecz.

- A w czym, powiedz mi, co ma piernik do wiatranka? Co ma mój sernik i jej, do jego cholernych szufladek? A wiesz, gdzie ja je mam?

- A niesłusznie, bo jeżeli nie rozumiesz, co ma jedno do drugiego, to ci szybko tłumaczę. Twój sernik jest w jednej szufladzie, zjadł, pochwalił, powiedział, że pyszny. Bach, szufladę zamknął. Ciasto Doroty jest w drugiej.

- Szufladzie? Uch, znienawidzę komody, już na wiek wieków będzie mi się kojarzyć z męskim mózgiem.

- A że teraz trzyma ten pakunek w łapie, to tylko o tym świadczy, nie odnosi się w żaden sposób do tego, co było.

- Niemożliwe.

- A jednak. Albo tak mi się wydaje z wieloletnich obserwacji. W każdym razie, Martynko, obiecaj mi, że nie skreślisz go dzisiaj definitywnie.

- Nie mogę ci tego obiecać, mamo. - Martyna usiadła za kierownicą, sprawdziła, czy Laba bezpiecznie siedzi w starej kurtce ojca i spojrzała na matkę. - Nie mogę. Mam już dość. Wołałam pewność. Pewną samotność.

Przewidywalność. Brakuje mi tego. Uciekaj, bo zamarniesz i nie pal dużo.

- Mało też nie będę. Trzymam za ciebie kciuki, dziecko ty moje. Pomału jedź.

\* \* \*

Skierowała się w stronę Sybiraków, zjechała w ulicę, minęła kościół i zatrzymała się gwałtownie. Tu nie jest mój dom, mój dom stoi gdzie indziej i jeżeli mam tam zaczynać życie, to właśnie dzisiaj, w tę wigilijną noc.

Świąteczną noc. Przełomową.

Spojrzała w okna mieszkań. Prawie wszędzie widać było choinki, dzisiaj jakoś nikt nie zajmował się zasłanianiem rolet, wszystko widać jak na dłoni. W kościele szykowano się już do pasterki, a ona tu stała jak wygnaniec. Samiuteńka.

Spojrzała w czarne ślepka teraz dla odmiany bardzo przytomne, oby tylko sunia nie miała choroby lokomocyjnej, bo do zapachu śledzi dojdzie jeszcze jeden, równie trudny do wywabienia. - No dobra, nie samiuteńka, z tobą. - Słuchaj, Laba, plan jest taki, jedziemy po ciuchy, kosmetyki, i suszarkę do włosów. Jasne? A później już do domu. Naszego domu. A dzisiaj, wedle wszelkich wierzeń powinnaś ze mną porozmawiać. Podnieść na duchu i takie tam. Północ niedługo, więc poczekam.

Odpowiedziało jej cichutkie piśnięcie.

Nie zastanawiając się dłużej, bojąc się, że decyzja może zniknąć równie szybko jak się pojawiła, wcisnęła gaz i lekkim zygzakiem ruszyła w kierunku wynajmowanego mieszkania. Gdy dotarła na miejsce, powrzucała rzeczy byle jak do torby, przebiegła szybko po pokojach, ściągając tu książkę, tam płyty z nieoglądanymi filmami, po czym nie oglądając się za siebie, wybiegła z mieszkania. Na dole zawróciła i pobiegła z powrotem po kremową kulkę, która

siedziała dokładnie w tym miejscu, w którym Martyna ją zostawiła.

I już były w swoim domu.

Łaba zaraz ruszyła na obwąchiwanie kątów, tak jakby świetnie rozumiała swoją panią, tam nie było sensu, ale tutaj? Jak najbardziej. Martyna przez chwilę zastanawiała się, czy nie iść z psem, bo się zgubi albo wlezie gdzieś i nie będzie mogła wyleźć. Po chwili namysłu doszła jednak do wniosku, że suczka musi sobie poradzić sama. Dokładnie tak jak jej pani. Przekręciła grzanie i roztarła ręce, bo w domu było zimno, za zimno jak na świętowanie. Poszła więc jeszcze do saloniku, może kominek uda się rozpaścić. Tylko czym? I tutaj czekała na nią niespodzianka. We wnęce pod paleniskiem leżały równo poukładane szczapki, obok kominka zaś stała skrzynia wypełniona równie miśsternym stosem.

Tata tu zaglądał. Czuł się ciągle, jak u siebie.

Martyna rozczuliła się i poczuła obecność ojca, obecność kogoś bliskiego. Rozpaliła ogień. Co prawda dopiero przy trzeciej próbie zaczął łaskawie obejmować leżące drewno, ale się udało. Uchyliła wyciąg i dumna z siebie wpatrzyła się w ogień. Oczywiście, że sobie poradzi. Musi. Nie wiedziała jeszcze jak, ale wiedziała, że musi. Są ludzie naokoło, pomogą.

Samotność ma to do siebie, że pozwala się panoszyć niechcianym myślom. Tak więc w głowie Martyny powoli toczyły się obrazki. Te z życia i te z wyobraźni. Nie wiedziała, które bardziej bołą, nie mogła się zdecydować, czy wspomnienia, czy wyobrażenia właśnie. Teraz siedziała sama, a okrutna wyobraźnia podsuwała widok tego samego salonu za parę lat, z ogromną choinką ozdobioną własnoręcznie robionymi łańcuchami, z licznymi prezentami, z ludźmi, małymi dziećmi Czarka i jej. Drobnymi ludźmi. Krew z krwi, kość z kości.

Za chwilę ten obraz zniknął zastąpiony twarzą Doroty, jej pytającym spojrzeniem, kpiącym uśmiechem zdającym się mówić: wydawało ci się, że go masz, ale on będzie mój. Myślisz, że nie potrafię ci go odebrać? Ha, mylisz się. To ja mu urodzę dzieci, bo ty nie potrafisz.

Martyna wzdrygnęła się i zerwała z kanapy. Musiała przysnąć, nagle zrozumiała, co czuła panna Rudecka, kiedy nazywano ją trędowatą. Też się tak poczuła. W jednej, krótkiej, paskudnej chwili. Otrząsnęła się i ruszyła do łazienki. Po drodze wdepnęła w malutką, ale zdecydowanie mokrą kałużę i napotkała pytające spojrzenie.

- Na co patrzysz? Idę się kąpać.

Odpowiedziało jej przeciągłe piszczenie.

- Też chcesz iść? Ze mną? To chodź, no chodź, Laba. Później wytrzymamy.

Laba jednak ani drgnęła, tylko przeciągłe piszczała, wpatrując się ni to w Martynę, ni to w coś, co było za nią.

- Miałaś przecież powiedzieć, przecież dzisiaj Wigilia, a ty co? Straszysz mnie, czy ja jakiś Adaś Niezgódka jestem?

Szczeniak piszczał coraz głośniejsze i bardziej rozpaczliwie, cały czas wytrzeszczając małe oczy. Martyna nie wytrzymała wreszcie, czując ciarki na karku, i sięgnęła po telefon. Do kogoś trzeba zadzwonić, kogokolwiek. Nie ma znaczenia, oby ludzki głos się odezwał. W nagłym przeblysku racjonalnego myślenia wybrała numer ciotki Haliny.

- Halo, ciociu, dlaczego ona mi tu piszczy? Aaa, przepraszam, spałyście już? Nie, no to co się ciocia denerwuje? Noc jest, a ona... Oj, ciociu, oczywiście, wspaniała niespodzianka, tylko ja za bardzo nie wiem, co ja mam robić, kiedy taki mały pies patrzy mi w oczy i płacze. Jak to jak dziecko, ciociu, niech mnie ciocia nie dobija z łaski swojej. Kiedy jadła? Matko kochana - Martyna się ręką w czoło.

- Zapomniałam... Nie, ciociu, nie głodzę psa... po prostu zapomniałam... Tak... Zwaliło mi się wszystko na głowę,

nie myślę tak jak trzeba, ale - tu Martyna zawiesiła głos - obiecuję poprawę. Aha, ciociu, ja wprawdzie miałam psa, ale tamten jadł wszystko, co popadnie, no i nie szkodziło... Jak to wszystko? Normalnie, raz mi nawet pastę do zębów zeżarł, bo nie zakręciłam... Oj, ciociu, nic mu się nie stało. Zresztą, to nie o Sproketa chodzi, tylko o to maleństwo. Później siądę i w Internecie poszukam, a teraz może mi udzielisz paru wskazówek, jak opiekować się psim dzieckiem?

Martyna jedną ręką przytrzymawała słuchawkę, drugą notowała na skrawku serwetki.

- Dobrze... Mam wszystko, jakby co, to będę dzwonić. Oczywiście, że nie o północy, no co ciocia... Tak. Babcie uściskajcie ode mnie, wam też. Dobranoc.

- No masz. - Martyna odłożyła telefon i spojrzała na piszczącego psa.

- Głodna jesteś, a ja w ogóle nie myślę. Chodź, Labunia, ciotka mówiła, że możesz mleko, to ci nagrzejemy. Ciekawe, czy w mikrofalni można? Ludzie, wychodzi na to, że jestem ignorantką w kwestii karmienia małych zwierząt! Dostaniesz z mikrofalni, nie piszczeć mi już, tylko grzecznie iść za mną. Mówiła też, że jakieś magiczne chrupki mam ci kupić... Czy do ciebie nie dołączyli żadnego talonu na jedzenie?

Po krótkiej chwili jadły zgodnie, jedna pierogi, druga siorbała mleko. I jednej, i drugiej znacznie polepszyło to nastrój. Na tyle, że Martyna włączyła ulubioną płytę Elli Fitzgerald, podłożyła do kominka i nie zamykając drzwi do łazienki, wskoczyła do wanny. A Laba, kołyszac sennie biszkoptową głową, ziewnęła raz, bardzo przeciągle, zwijając język w śmieszny rulon, po czym wymościła sobie legowisko w samym środku szlafroka Martyny.

Dobrze jest. Oparła się o krawędź wanny i przymknęła oczy. Pozostaje kwestia sylwestra... Tymek do spółki z Danielem wymyślili, że trzeba panny pogodzić. Bo to

dobrze zrobi sklepowemu interesowi, dobrze zrobi samym pannom, a tym samym poprawi atmosferę w domu.

Martyna nie dowiedziała się, jak się do nich dołączył Czarek, ale stanęło na tym, że wszyscy mają sobie powiedzieć: „Wybacz, wybaczam”, pocałować się z dubeltówki i żyć razem długo i szczęśliwie. Anita od początku podchodziła do tego pomysłu sceptycznie, ale jej, Martynie, takie romantyczne sylwestrowe zawarcie rozejmu, a kto wie, może i pokoju, całkiem odpowiadało.

Do dzisiaj.

Chlupnęła nogą. Niech się godzą. Dla dziewczyn to bardzo dobre. Ona nie chce. Nie potrzebuje. Ma dość.

Wyjedzie gdzieś! Myśl pojawiła się tak nagle i była tak oczywista, że Martyna się wyprostowała i łapiąc ręcznik, i o mało nie tratując psa, pobiegła po swojego laptopa. Zasięg jest, sprawdzała. Uruchomiła maszynę, podłączyła ładowanie i pobiegła z powrotem do łazienki, by się wytrzeć, zabalsamować i odzyskać szlafrok.

Tak. To jedyny sposób. Oni niech się tam godzą. Ona... ona... Tak, jej jest pisane co innego. Wpisała w wyszukiwarkę oferty sylwestrowe i złapała się za głowę. Dużo tego było. Chociaż nie, po wejściu na konkretną stronę informowano, że brak miejsc, oferta nieaktualna. Martyna pobiegła do kuchni, zrobiła sobie kawy. Ja wam dam nieaktualna, musi być aktualna. Muszę znaleźć.

No i w końcu się udało. Co prawda biuro było z Warszawy, ale nie miało to znaczenia. Rozwinęła ofertę. Góry, kulige, góralska kapela, dobrze, dobrze, w Ochotnicy.

Laba usiłowała wspiąć się na kanapę, podskakiwała na dwóch łapach, czepiała się i już prawie jej się udawało, kiedy znowu spadała na podłogę. Po paru nieudanych próbach usiadła na podłodze, spojrzała żałośnie na Martynę i zaczęła cicho popiskiwać. Ostatnio ta miła pani się domyśliła, czego jej było trzeba, może teraz też na to wpadnie?

- Chodź, biedo. Pewnie jeszcze trochę czasu ci zajmie, zanim zdobędziesz kanapę, ale to dobrze. - Martyna

sięgnęła ręką po psa i usadziła go sobie na brzuchu, między laptopem a piersiami, cmoknęła miękkie futro na głowie zwierzaka i westchnęła: - Czujesz, że są święta? Ja nie. A to dzisiaj pierwszy dzień... Jeszcze ten i jeszcze jeden musimy przesiedzieć tutaj. Musimy wiesz? A w poniedziałek zadzwonię do biura, tego tutaj. Popatrz, jak pięknie.

Laba posłusznie spojrzała w ekran i zaczęła śledzić biegającą po nim strzałkę. Ciekawe. Wpatrywała się w zmieniające co chwila obrazki i albo to, albo ciepło brzucha nowej pani tak ją zmorzyło, że nagle zrobiła się mięciutka i zaczęła posapywać w znany już Martynie sposób.

- Szczęściaro... - szepnęła cicho - nawet nie wiesz, jak ja ci zazdroszczę...

Ale nie minęło wiele czasu, a odłożyła laptopa, naciągnęła na siebie koc i też zapadła w sen.

\* \* \*

Przez dwa świąteczne dni Martyna spędzała czas między kuchnią, kanapą przed telewizorem a łazienką. Przypominała też sobie z nową towarzyszką okolicę. Ubierała się ciepło, nakładała grube rękawice, naciągała czapkę na uszy i otwierała zachęcająco drzwi.

- Laba! Spacer! - wołała zachęcająco, ale pies okazał się raczej stworzeniem ciepłolubnym.

Za pierwszym razem, owszem, dała się namówić na wyjście i ruszyła za panią zaciekawiona, wyciągając przed siebie pysk. Wystarczyło jednak, że stanęła w głębszym śniegu. Podniosła najpierw jedną małą łapę i próbowała ją otrzepać, później drugą, próbowała znaleźć jakieś bardziej stabilne miejsce do postawienia zmarzniętych łap, ale wszędzie było pełno tej białej papki. Ruszyła więc w kierunku swojej pani, zapiszczała głośno i spojrzała jej głęboko w oczy. A spojrzenie to jasno mówiło: „Nie masz serca, zabierz mnie stąd”. Martynowe serce zmiękło,

powiedziała sobie, że pies zdąży się jeszcze nauczyć korzystać z podwórkowych dobrodziejstw i od tej pory wędrowała z Labą na rękach.

Starła się nie patrzeć na kolorowe łańcuchy porozwieszane na żywopłotach, na bałwany błyskające uśmiechami, na figurki Mikołajów. Starła się zapomnieć, że to święta. Że to kolejne święta, które jest zmuszona spędzać sama, z różnych, niezależnych od niej (no przecież!) powodów.

Znowu. Od poprzedniego roku nic się więc nie zmieniło. Czy raczej zmieniło się na gorsze. Ostatnie święta spędzili przecież we dwoje.

Co z tego, że palec zdobija złota obrączka? W tej chwili traciła zupełnie swoje znaczenie, więc na dobrą sprawę Martyna mogła ją zdjąć i rzucić gdzieś w siną dal, przynajmniej nie miałyby żywego dowodu swojej pomyłki, porażki i totalnej życiowej zawieruchy. Zdjęła rękawicę i spojrzała na palec. Słońce świeciło dzisiaj pięknie, odbijało się od śniegu tak, że chwilami bolały oczy. Odbiło się też od złotego krążka. Magicznego symbolu.

Tak, tak właśnie było. O, naiwności. Martyna przez cały ten czas, czekając na swego mężczyznę, wierzyła, że ten złoty krążek posiada magiczne właściwości. Coś na kształt pierścienia jednej z bajkowych księżniczek, czeskiej produkcji. Bajek, nie księżniczek.

Zakładało się złotą obrączkę na palec w obecności licznych świadków, ze wzruszenia posmarkujących co chwila w chusteczki. W obecności księdza, odzianego odświętnie. No i... w obecności Boga. To nadawało obrączce wymiar magiczny. Tak właśnie do niedawna myślała Martyna. Uważała, że założenie tego złota na palec wiąże się nierozzerwalnie z pełnią szczęścia, idealnym pożyciem małżeńskim, a tym samym daje w pakiecie tę drugą osobę. Kochającą, kochaną, pełną wyrozumiałości i szacunku.

A tu co? Nic.

Oczywiście dziewczyny mówiły o swoich problemach, ale słuchając ich, utwierdzała się tylko w przekonaniu, że



z nią będzie inaczej. Że oni z Czarkiem stworzą dojrzały, idealny związek. Ona była już przecież dojrzała. Z bagażem doświadczeń, z ukształtowaną wizją przyszłości, z jasnymi planami i marzeniami.

Westchnęła ciężko i postawiła psa na ziemi. Laba spojrzała na nią z pretensją, zapiszczała i zaczęła z powrotem czepiać się jej spodni.

- Nie patrz tak na mnie, tylko załatw swoją potrzebę. Opiłeś się jak bąk, więc się tego teraz pozbadź. Teraz Laba, nie w domu, nie na dywanie, nie na moim szlafroku, tylko tu i teraz. No, Laba.

Psina jednak zakreśliła się tylko i zaczęła się wspinać na Martynę ze zdwojoną determinacją.

- Więc chodź. Diabli wzięli konsekwencję w wychowaniu. Mam za miękkie serce...

Wróciły więc do domu i Martyna zdążyła się tylko odwrócić, żeby odwiesić kurtkę, a już na środku pokoju widniała mała, okraglutka kałuża. W którą na domiar złego Laba wlaża. Po czym spojrzała na panią przepraszająco... A może tylko tak się Martynie zdawało? Niemożliwe przecież, żeby taki mały pies wiedział, że robi źle. Chyba, że ktoś go uczył.

Machnęła ręką. Bez sensu się nad tym zastanawiać. Wycelowała palec w swoją podopieczną i powiedziała stanowczo:

- Następnym razem będziesz stała na śniegu dopóki nie zrobisz siusiu, zrozumiano?

Labą spojrzała na nią i wydała z siebie coś na kształt szczeknięcia.

- Nie kłócić się ze mną. - Martyna wytarła kałużę i odsunęła ciekawski nos. - Zrobisz tak i koniec, bo to nieładnie sikać na moją... dobra, naszą, świeżo ułożoną podłogę, jasne?

Poniedziałek nadszedł niespodziewanie szybko, wyrwając wszystkich ze świątecznego obżarstwa i stanu totalnego rozleniwienia. Martyna rzuciła okiem na pozostawiony bałagan, machnęła na niego ręką i odwiózłszy psa do rodziców (przecież nie sposób było zostawić Laby samej w domu na cały dzień), pojechała strzyc i fryzować głowy na zbliżający się sylwester.

Nie uszło jej uwadze, że mama obrzuciła ją badawczym spojrzeniem, po czym uśmiechnąwszy się lekko, cmoknęła Martynę w policzek i szepnęła „dzielna dziewczynka”. Dziewczynka bowiem, wbrew podejrzaniom pani Anny, wyraźnie odpoczęła. Zniknęły cienie pod oczami, na czole pojawiła się znowu leciutka kreska mówiąca jasno i wyraźnie o zdecydowaniu i determinacji. Pani Anna miała tylko nadzieję, że podjęte decyzje okażą się słuszne. Ale cóż, ona nie mogła w żaden sposób interweniować. Mogła mieć tylko nadzieję.

\* \* \*

Około jedenastej udało się Martynie wygospodarować krótką przerwę. Pobiegła więc do małego pomieszczenia dla personelu, pstryknęła szybko czajnik i zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Następna pani będzie tu za jakieś dziesięć, piętnaście minut, bo na sto procent postanowi przyjść wcześniej, żeby tylko nikt nie zdążył jej zająć Martynowego fotela.

Zdaży wypić kawę. Wyciągnęła z torby laptopa i odstawiwszy go na szafkę, zajęła się poszukiwaniem kubków, kawy i śmietanki. OK, gdzie my to mamy... Historia... Wiedeń... Kraków... O, jest Ochotnica. Kliknęła na podświetlony link i jeszcze raz przyjrzała się stronie internetowej znalezionej wcześniej biura. Pomruczała chwilę, przejrzała jeszcze raz ofertę, zerknęła do galerii. Swoją drogą całkiem ciekawie opracowana strona, Martyna jeszcze nie widziała takiego biura, bardziej przypominało muzeum.

Na jednym ze zdjęć siedziała kobieta miło uśmiechająca się do starszego pana i prezentowała mu jakieś foldery. A otaczała ich, ni mniej ni więcej, tylko fura eksponatów. Martyna przysunęła nos do ekranu. Nic z tego. To zdjęcie było malutkie, raczej wstawiono je tutaj nie po to, żeby się chwalić, tylko ot, by zaprezentować lokal. Niewiele było widać. Co innego zdjęcia z galerii, z wyjazdów.

Uśmiechnęła się. Też w niczym nie przypominały tych, które oglądała na innych stronach biur podróży. Każdy wyjazd był opracowany w formie widokówek, które przedstawiały ludzi w najzwyklejszych sytuacjach. O, to na przykład, jakaś suto zakrapiana impreza, grupka ludzi trzyma się za ramiona, rumieńce na twarzach, nogi uniesione wysoko. Martyna uśmiechnęła się i kliknęła, żeby powiększyć fotkę, ta tymczasem odwróciła się i ukazała drugą stronę widokówki, z napisem „Niezapomniany wieczór grecki, następnym razem, jak pojedziemy, prosimy dwa albo i trzy takie, tylko z jakąś obstawą:) Marcin, Kaśka, Łukasz i Monika”.

Jazda. Łyknęła kawy i zaczęła przerzucać pozostałe, a jej uśmiech poszerzał się coraz bardziej. O, to całkiem niezła reklama. Wreszcie dotarła do wyjazdów sylwestrowych. O, jest Ochotnica. Kliknęła i czekała z niecierpliwością, aż się załadują zdjęcia. Proszę, na pierwszym dziewczyna w jakiejś knajpce, naokoło drewniane belki ścian, w tle ławy z kuflami piwa, ona się uśmiecha i głaszcze potężnego malamuta. Podpis „O dodatkowych lokalnych atrakcjach nie wspominaliście... ale miłe zaskoczenie, buziaki, Gośka”.

Na następnych zdjęciach nie sprawdzała już podpisu, tylko przeglądała po kolei, podziwiając talerz pełen jakiegoś swojskiego jadła i zachwyconą, wyszczerzoną twarz, pochyloną nad tymże jedzeniem. Następne przedstawiało harce bosej, ślicznej dziewczyny z facetem ubranym w klasyczny góralski strój. Kolejne - dzika świnia kręcąca się

nad paleniskiem i tłum ludzi naokoło, jedni z kuflami piwa, inni z kieliszkami z winem...

- Halo? Dzień dobry, dodzwoniłam się do biura, tak? Dobrze, otóż proszę pani, mam nadzieję, że na stronie internetowej macie państwo aktualną ofertę... Jasne, oczywiście, wolałam się upewnić, bo bardzo zależy mi na sylwestrowym wyjeździe...

W drzwiach pojawiła się Beata i zaczęła pokazywać palcem na ścianę, co znaczyło, że pani już przyszła, czeka i tupie nogą.

- Przepraszam na chwilę... - powiedziała Martyna do słuchawki, po czym przykryła głośnik dłonią i rzuciła do koleżanki: - Chwila, zajmie mi to dosłownie chwilę, jakieś trzy do pięciu minut, umyj jej głowę.

- Mówiła, że dzisiaj myła.

- Zawsze tak mówi, a ja przecież widzę włosy i czuję, tak?

- Tak. Ale ona nie chce, więc siłą mam ją zaciągnąć na fotel? - oburzyła się Beata.

- Siłą nie, powiedz, że dzisiaj mamy niesamowitą, nową odżywkę na włosy i w ramach świątecznej promocji wszystkim paniom umożliwimy jej wypróbowanie, odżywka jest po prostu cudowna.

- Nie nabierze się...

- Nabierze, powiesz tylko, że ta odżywka jest bardzo dobra, bo nadaje fryzurze trwałość, idź już... - machnęła ręką i wróciła do rozmowy. Ze słuchawki dobiegł delikatny śmiech. - Przepraszam panią najmocniej, zdaje się głośnik mam gdzie indziej. Zgadza się, grunt to dobry marketing... Oczywiście, dobrze, wracając do rozmowy, bo jak już się pani domyśliła, mam tu małe urwanie głowy... No właśnie, czyli wyjazd jest aktualny, tak? Świetnie. Proszę mi powiedzieć... bo, szczególnie wszystkie znalazłam na stronie, ale interesuje mnie, czy jadą tylko same pary czy zdarzają się też osoby samotne? - wyrzuciła z siebie wreszcie.

Na bezdechu czekała na odpowiedź, wiadomo, nie chodziło o poznanie kogoś, nie, na to zdecydowanie Martyna na razie nie miała ochoty. Chodziło o to, żeby z kimś ewentualnie ponarzekać albo na czyjś widok móc się ucieszyć. Miła pani po drugiej stronie jednak zgasiła jej nadzieję, mówiąc, że to rzadko się zdarza. Dodała, że na wyjazdy sylwestrowe decyduje się raczej więcej osób, ale żeby pani się nie martwiła, bo zazwyczaj te osoby się ze sobą łączą w jedną wielką grupę, wie to z doświadczenia.

- Jasne...

Wieczorem Martyna padła na kanapę. Przyciągnęła do siebie cztery niezbędne rzeczy; pilot, telefon, kieliszek i koc, plus oczywiście Labę; łyknęła wina i wybrała numer Anity.

- Cześć, babo! Święta, święta...

- I bardzo dobrze! Cześć, dlaczego się nie odzywałaś tyle czasu? He? Martwiłam się.

- To się nie martw. Nie jestem sama. - Martyna uśmiechnęła się do ziewającego psa.

- Jak to? Udało ci się dogadać z Czarkiem? Martyna, cud, kiedy, gadaj - Anita aż się zasapała po drugiej stronie.

- Spokojnie, spokojnie, z żadnym Czarkiem się nie dogadałam, był co prawda w święta, ale tylko po to, żeby utwierdzić mnie w przekonaniu, że nic z tego nie będzie.

- Martyna!!!

- Mówię jak jest, a o szczegółach nie mam ochoty teraz rozprawiać ani na nowo tego roztrząsać. Później, kiedy indziej, obiecuję.

- To może mi powiesz, z kim jesteś, skoro nie sama? - głos Anity zabrzmiał nieco ciszej.

- Hm, jakby ci tu powiedzieć, jest koloru świeżo upieczonego biszkoptu, ma mały ogon, ciemne ślepia, cudnie zwija język przy ziewaniu, no i produkuje niezliczone ilości idealnie okrągłych kałuż.

- Wariatka - Anita się roześmiała.

- Żadna wariatka. Czy wiesz, że gdy tak patrzę na te kałuże, to dochodzę do wniosku, że mam super równo wyłaną podłogę, bo inaczej przecież nie byłyby tak idealnie okrągłe...

- Piłaś coś?

- Nie, to znaczy teraz piję winko. Daj spokój, Anita, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że mnie na tej waszej imprezie nie będzie. Jadę w góry...

- Martyna, zlituj się, z kim ty chceszjechać w te góry?

- Sama. To znaczy z biurem podróży, prześlę ci linka do strony, tak z ciekawości zajrzyj, jak fajnie mają wszystko opracowane. - Martyna podniosła się i upiła łyk wina.

- A tak na poważnie, posiedziałam sama w domu...

- Dlaczego nie przyjechałaś? W święta?!

- Dlatego kochana, że była mi potrzebna samotność. Na początku nie byłam przekonana, czy to dobry pomysł, ale te dwa dni podziały na mnie całkiem nieźle. Ty wiesz, jak człowiek potrafi świetnie spędzać czas w swoim własnym towarzystwie?

- Wiem, nie musisz mnie oświecać - mruknęła Anita.

- No właśnie. Tak więc stwierdziłam, że muszę to przedłużyć i jadę...

- Nie jesteś pewna, co?

- Jakbyś zgadła, trochę się boję, bo wiesz, obcowanie z naturą to jedno, ale sterczenie pod gołym niebem na lekkim rauszu, wpatrywanie się w fajerwerki i brak kogoś do cmoknięcia, przytulenia, wiesz...

- Wiem, ryzyk fizyk - walnęła mało rezolutnie Anita.

- Igaaa, przypilnuj pierogów! Sorry, no mów dalej.

- Matko, to wyjeszcze pierogi jecie? Mnie już zbrzydły.

- Mnie też, ale reszta rodziny może to jeść na okrągło, a poza tym mamy gościa - dodała ciszej Anita - który pierogów podobno nie jadł przez dwadzieścia lat...

- Brat Tymka? A co on u was robi?

- Nie pytaj, teraz niczego ci opowiadać nie będę, bo nie mam jak, a później mam nadzieję, że nie będzie już

o czym mówić. - Po chwili dodała głośniejszym głosem: - Rzykujesz, a z drugiej strony wyobraź sobie sylwestra tutaj. Co byś robiła, z kim i gdzie?

- Hm, były dwie opcje, pierwsza to właśnie te góry, druga - parę tabletek typu coś tam noc, tych z lekka ogłupiających, które by mi zagłuszyły petardy, a obudziłabym się dopiero rano.

- To ja zdecydowanie doradzę ci pierwszą opcję.

- Tak... - Martyna westchnęła i delikatnie pogłaskała Labę po pyszczku. - Powiedz, że będzie dobrze...

- Pewnie, że będzie, a tę swoją małą przyjaciółkę gdzie zostawisz? U rodziców?

- Chyba tak.

- Mam lepszy pomysł, dawaj ją do nas, więcej miejsca, a ja może nareszcie dam się przekonać do psa...

- Serio?

- Jasne, wytłumaczysz, dasz instrukcję obsługi i do widzenia, podróżniczko. He he, Martyno podróżniczko...  
Widzisz podobieństwa?

- Nie, ja na kraniec świata na razie się nie wybieram, zobaczymy jak mi ta wyprawa pójdzie. Dobra, to przywiozę ją we wtorek, co? Bo w środę już wyjeżdżam

- Pociągiem?

- Autokarem, ale najpierw z Bialegostoku jedzie bus. Podobno dwie pary, jedno małżeństwo bez dzieci, jedno z dziećmi, no i ja. Singiel.

- Wpadnij wcześniej, obgadamy wszystko.

- Dobra. Gdy mnie z salonu wypuszczą. Buzia.

# 11

Tymczasem Iwona szyła. Szyła jak szalona, nie bacząc na święta, na bałagan w domu, na męża. Jedyne, na co baczyla, to dzieci. Raz na jakiś czas odrywała się od maszyny, rozcierała kark i siadała do laptopa w poszukiwaniu jakichś ciekawych pomysłów kulinarnych. Teraz, co prawda, miała dwie książki kucharskie, bo mama postanowiła pokusić się o drobną aluzję i podrzuciła pod choinkę zapakowane pięknie i opatrzone imieniem Iwony dwa opasłe tomy. Intencje były dobre. Iwona, wbrew oczekiwaniom, najwyraźniej się ucieszyła i teraz sięgała do tych książek, biorąc dzieci na kolana i oglądając zdjęcia.

Najwięcej zainteresowania wzbudzały wszelkiego rodzaju desery, ale Iwony to nie dziwiło. Ola z Michałem na zmianę przyciskali paluszki do fotografii pięknie przystrojonych puddingów, lodów z bitą śmietaną czy wielowarstwowych ciast. Ale ich mama jeszcze nie czuła się na siłach, żeby brać się za robienie tych wszystkich cudeniek. I chociaż wzdychała skrycie razem z dziećmi, to uparcie przewracała strony, szukając znajomego mięsa. Kura na wszystkie sposoby, filety indycze. Raz nawet wzięła się za polędwiczki wieprzowe w sosie musztardowo-miodowym, ale wszyscy zgodnie stwierdzili, że lepiej więcej tej potrawy nie powtarzać.

Jednak głównie szyła. W pierwszy dzień świąt odważyła się wreszcie zadzwonić do Anity. Krótka to była rozmowa, wiadomo, dzieci z jednej i drugiej strony, świąteczny



rozgardiasz, ale odłożywszy telefon na stół, Iwona założyła ciepły polar, wzięła ostentacyjnie papierosy z szafki i poszła na balkon. A tam, krztusząc się dymem, rozryczała się niemal histerycznie. Nawyzywała siebie od najgorszych, Anitę ponownie postawiła na piedestale. Chociaż nie... po prostu postawiła ją znowu obok siebie i nie mogła się dziwić, że taka błahostka była w stanie je poróżnić. Że coś było w stanie ją, Iwonę, tak omotać, że dała się zapędzić w kozi róg samotności i wystawiła na próbę ich długoletnią przyjaźń.

Była zła na siebie. Zła, a jednocześnie szczęśliwa, że udało jej się zamknąć tę chorą sytuację. Że udało jej się pierwszej wyciągnąć rękę (poprawka, to Anita bardzo długo się do niej dobijała), że w każdym razie w jakiś dziwny sposób przewyciężyła samą siebie. Swoje głupie zacięcie, zawziętość, która nie dała nigdy niczego dobrego. A jak się okazało, w tym, co mówiła Anita było dużo racji. Iwona miała czas, żeby to sobie przemyśleć i może nie zgadzała się z przyjaciółką w stu procentach, ale nie miała zamiaru robić z tego wielkiego dramatu. Bo ona chciała dobrze. Anita. Chciała, zaryzykowała, a Iwona nie potrafiła tego docenić.

Ha, parę miesięcy, jeden incydent z Jackiem w realu, cała masa incydentów w wyobraźni, zwycięstwo kulinarne, parę sukcesów wychowawczych i Iwona zaczęła patrzeć na wszystko z nieco innej perspektywy. Nie wiedziała, co właściwie było motorem tych zmian, nie chciała dociekać. Cieszyły ją po prostu i pozwalala sobie na tę radość z dziką satysfakcją. A teraz znów miała do kogo dzwonić. Nie musiała się powstrzymywać przy automatycznym wybieraniu numeru Anity. I bardzo dobrze.

Wpatrzyła się w wirujący śnieg, dobrze, że sypie nowy. Jedna warstwa już za bardzo się uleżała, zabrudziła i nie miała takiego uroku, jak ten świeży. Z dużego pokoju dobiegała znajoma piosenka z bajki o reniferku, co to miał czerwony nos. Oła zrobiła z tego tradycję. Wystarczyło, że spadł pierwszy śnieg albo w ogóle zrobiło się chłodno,

mroźno, a wyciągała z szafki tę właśnie płytę i zadowolona włączała. To było jak pierwsze ozdoby świąteczne. Jak pierwsze bożonarodzeniowe piosenki puszczone w radio. Na początku wzbudzające nostalgię i radość, później, usłyszane po raz enty, prawie frustrację. Z tą różnicą, że Iwona renifera i jego nos bardzo lubiła. Nie przejadł jej się, nie znudził. Lubiła i tyle.

Teraz też zaczęła podśpiewywać dobrze znajome słowa i zabrała się z powrotem do szycia. Huk roboty, dużo pomyśłów, energii, więc trzeba ją konstruktywnie spożytkować.

- No no, już chyba tysiąc lat nie słyszałem, żebyś śpiewała. - Daniel stanął w drzwiach i pokręcił głową.

- Gdybym wiedziała, że przyjdiesz albo że przyszedłeś, teraz też byś nie usłyszał. - Wzruszyła ramionami i pochyliła nad koronką.

- Dlaczego?

- Dla niczego, Daniel, dla niczego. Jakoś nie za bardzo lubię w twoim towarzystwie śpiewać.

Iwona przypomniała sobie jeden z wieczorów w górach, kiedy siedzieli przy ognisku, grali lekko podchmieleni na gitarach i śpiewali, co tylko im przyszło do głowy. I wtedy pojawiła się jedna dziewczyna, zaśpiewała tak pięknie i czysto jakąś smutną balladę o górach, że zaparło im dech. Iwona siedziała jak zaczarowana, zazdroszcząc tamtej niesamowitego słowika w gardle. A Daniel? No cóż, Daniel przysunął się wtedy do tej dziewczyny, wpatrywał się w nią z zachwytem i prosił o więcej, gdy nie chciała, wymawiając się gardłem, biegł dla niej po piwo, po czym siadał obok i wpatrywał się jak w obrazek. Cudowny, trzeba dodać. Od tego momentu Iwonie jakby ktoś zawiązał gardło. W zupełnie irracjonalny sposób. Dopiero niedawno Ola je rozwiązała, całkiem przypadkowo, ale wtedy Daniela nie było.

- Przecież ja lubię, gdy śpiewasz. - Widział, że Iwona nie przejawiała ochoty do rozmowy, zagaił więc:  
- Co robisz?

- Gram na pianinie - burknęła i spojrzała na niego z rezygnacją. - Daniel, czy ty chcesz coś konkretnego? Powiedz, bo widzisz, mam tu kupę roboty, chciałabym to skończyć.

- Kupę roboty? Ciekawe.

- Co jest takie ciekawe?

- To, że to żadna robota...

- Tak uważasz? Tak właśnie uważasz? - syknęła, podnosząc w jego kierunku palec.

- Co cię ugryzło, Iwona? Ajak to nazwiesz? Naprawdę nie rozumiem, zaperzasz się nie wiadomo czego, zawalasz kąty. - Podniósł rękę i przejechał nią w powietrzu od ściany do ściany. - Przecież tutaj już się nie da wejść, w domu pełno ścinków, jednego czystego pomieszczenia nie ma, a pieniędzy z tego też nie, więc nie rozumiem. Powtórzę, dlaczego tak się oburzasz, praca jest wtedy...

- Kiedy człowiek pracuje, wiesz? Nie ma znaczenia, czy praca przynosi jakiś dochód.

- Czepiasz się ideologii, chodzi mi o zarobkowanie.

- Oczywiście, wiem, o co ci chodzi. A czy ty jesteś w stanie wyjść chociaż odrobinę poza swoje zawężone horyzonty myślowe?

- Co?!

- To, właśnie to. - Stanęła naprzeciwko niego z rękami na biodrach. - Zawężone. Nie jesteś w stanie dostrzec niczego poza cholernymi przyprawami. Handlowiec - parsknęła z pogardą. - Faktycznie, zawód z tradycjami, od wiek wieków. Taaak, szanowany, potrzebny, niezbędny wręcz...

- Iwona, do licha.

- Daj mi dokończyć. Skoro już tu przyszedłeś, to wysłuchaj, co ja mam do powiedzenia. - Dźgnęła go w pierś i z satysfakcją zauważyła konsternację na męzowskim obliczu. - Nie będę żadną cholerną księgową, z całym szacunkiem dla tego zawodu, nie nadaję się. Koniec kropka. Nie będę ślęczeć nad cyferkami, nie będę siedzieć

w czterech ścianach i wślepiać oczu w monitor albo w papiery. To nie dla mnie, rozumiałeś? Nie będę i koniec.

- Dobra...

- Chwila. To, co ty nazywasz zagraniem naszego mieszkania, stanowi podwaliny, tak, nie patrz tak na mnie, może nie wiesz nawet, co to podwaliny, he? Cicho. Stanowi podwaliny mojej nowej pracy. Nie słuchasz, ignorujesz, ale gdybyś spojrział perspektywicznie, to może byś zauważył korzyści z tego interesu. Gdybyś chociaż raz zapytał mnie o plany, jakie z tym wiąże, jak ja to widzę, jak chcę rozwiązać, to może byś zrozumiał. - Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. - Chociaż wątpię.

Nie czekając na odpowiedź, usiadła z powrotem do maszyny i z zadowoleniem stwierdziła, że potrafi, że nauczy go szacunku do siebie i do tej pracy, którą ona przecież od dziecka ukochała.

Zadowolenie wyparowało jednak błyskawicznie na dźwięk słów:

- Okres ci się zbliża czy jak?

Gdyby nie Michał, któremu nagle zaburczało w brzuchu i stanął w drzwiach, pokazując znacząco właśnie tę część ciała, Daniel oberwałby jak nic. Czymkolwiek, nożyczkami, którąś ze szpilek walających się po stoliku albo nawet maszyną. Ale syn uratował mu życie, więc Daniel ulotnił się czym prędzej, odprowadzany tylko wściekłym spojrzeniem żony.

Co ją napadło? Wykrzywił usta i zaszył się przy swoim komputerze. Może faktycznie trzeba przeczekać tych parę dni, przejdzie jej. Wzruszył ramionami i zaczął przeglądać oferty konkurencji. Tak, tutaj zdecydowanie będzie mu najbezpieczniej.

\* \* \*

W sylwestra odstawili dzieci do babci z samego rana. Iwona zapakowała torbę z zabawkami, ubraniami

i dołożyła na wszelki wypadek leki przeciwgorączkowe. Niby wszystko jest w porządku, ale jakby co, babcia będzie miała zabezpieczenie.

- Mamo? - Ola dołożyła jej jeszcze dwie swoje lalki.

- Ola, zlituj się, przecież jutro wracacie. Będiesz się tym bawić? - Iwona przytrzymała dwie małe blondynki i zerknęła na dużą torbę wypełnioną po brzegi.

- Oczywiście, Roszpunka musi jechać, bo u babci są przecież te duże taborety, to najlepsza wieża dla niej, wiesz?

- Wiem, a ta druga po co? - Iwona próbowała znaleźć kompromis.

- No co ty, mamo, przecież Roszpunkę uwięziła zła czarownica, bez czarownicy ma się obejść? Nie rozumiesz?

- Rozumiem, rozumiem, dawaj, jakoś je powciskam - szybko zdecydowała Iwona, przypominając sobie, że w tej bajce to nie tylko czarownica i główna bohaterka była, ale jeszcze rodzice Roszpunki, no i księżę. A jak Olka zechce, to wymyśli jeszcze z tuzin postaci, które okażą się równie niezbędne. Zapakowała więc dwie lalki i już, już miała zamykać torbę, kiedy myśli córki poszybowały w tym samym kierunku.

- Mamo - palnęła się w czoło - przecież księcia zabrakło! No i jeszcze...

- Nic więcej. Ani jedna lalka - zastopowała ją zdecydowanie Iwona, jednak na widok zrozpaczonej twarzy córki zmiękła. - No tak, bez księcia, ani rusz. Dobra, ale jeden księżę, więcej ani figureczki.

- Mamo...? - W przedpokoju pojawił się Michał, targać przed sobą ogromny traktor z przyczepą. Od momentu otrzymania go od Mikołaja, nie rozstawał się z nim ani na moment. Iwona wzniosła oczy do góry.

- Jeżeli sam go będziesz wioził, wnosił do babci na czwarte piętro, to proszę bardzo, bo tutaj - wskazała torbę - ani szpileczki już nie wcisnę.

- Mamo...

- Nie burczeć, jutro wracasz, to się pobawisz tym trak-  
torem, koniec, kropka.

- Ale mammo...

- Nie ma żadnego ale mammo, nie jedziemy ciężarówką,  
żegnaj synu. - Odprawiła go zdecydowanym ruchem ręki.

Wydał usta, jednak posłusznie wrócił do swojego po-  
koju, Iwona pomyślała, że bardziej wizja targania ciężkiej  
zabawki niż stanowczość matki go powstrzymały, ale...  
znowu sukces. Uśmiechnęła się do siebie i podniósłszy  
głowę znad pakowanej torby, napotkała badawczy wzrok  
Daniela.

- Co?

- Nic. - Wzruszył ramionami i odwrócił głowę tak, jak-  
by przyłapała go na gorącym uczynku. - Już spakowani?

- Tak. Co mi się tak przyglądasz?

- Nie przyglądam się już, zresztą... jeśli nawet... to co?  
Nie mogę się poprzyglądać własnej żonie?

- Możesz, proszę bardzo. - Pokiwała głową. „Króle-  
stwo za twe myśli”. - Zabieraj torby, ja z wami nie pojedę.

- Jak to? - Daniel wyprostował się zdziwiony. Iwo-  
na zawsze była od pakowania toreb, ubierania dzieci  
i jeżeli on siedział za kierownicą, ona zawsze była obok,  
ona przekazywała Olkę i Michała babci, wręczała kartkę  
z dokładnymi instrukcjami, on się tym raczej nie zajmował.  
Chyba, że jechali do jego mamy. - Jak to nie pojedziesz?

- A po co? Tutaj masz wszystko, kartka siedzi  
w kosmetyczce z lekami, jakby co, to mama się powinna  
połapać.

- Ale dlaczego?

- Oj, Daniel, sylwester jest, tak? Chciałabym jeszcze  
zrobić ze sobą porządek, muszę popakować sałatki, my-  
ślałam jeszcze, żeby wafle zrobić. - Iwona popukała się  
palcem w brodę.

- Przecież ty nie...

- Umiesz wafli, zgadza się, och, jakie to pokrzepiające,  
że we mnie wierzysz. - Przechodząc obok niego, musnęła

go po ramieniu. - Słusznie zresztą, wafle same się robią. Trzeba je tylko poprzełożyć. Jedźcie już, bo późno.

Stanęła w oknie, obejmując się ramionami i patrzyła, jak Daniel rozsadza dzieci w fotelach. Rzecz jasna jedno i drugie protestowało, bo zawsze był problem, które gdzie ma siedzieć. A to Olka chciała za kierowcą, a to Michał. Iwona patrzyła, jak mąż wymachuje rękami i palcem pokazuje Michałowi fotelik za pasażerem. Na co młody stanął w rozkroku i odwrócił twarz w bok, unosząc podbródek. Więc Daniel zwrócił się do Olki, ona zachowała się identycznie jak brat, z tą różnicą tylko, że spojrzała w drugą stronę. Iwona uśmiechnęła się pod nosem, patrząc, jak tatuś coś im próbuje tłumaczyć, jak czymś nęci i kusi. To dlatego właśnie jeździła z nimi. Ona musiała się zmagać z fochami dzieci, a później wysłuchiwać utyskiwań męża. Dlaczegoż on nie może chociaż raz się gdzieś wybrać? Proszę bardzo, wybieraj się, wzruszyła ramionami, powodzenia.

Daniel odwrócił się w stronę okien, szukając pomocy. Matko kochana, jeszcze nigdzie nie pojedą. Zarzuciła na siebie kurtkę, omotała się szalikiem i w klapkach pobiegła na dół.

- Oła, szybko, wsiadaj, babcia do mnie dzwoniła przed chwilą, że czekają już z ciastem. - Wymyśliła prędko podstęp, wierząc, że babcia tak czy siak dla dzieci napiecze parę blaszek. No może nie parę, ale jedną na pewno.

- Jakim ciastem? - Olka domagała się konkretów, gotowa ustąpić bratu miejsca za kierowcą.

- Waszym ulubionym. - Iwona ominęła konkrety i otworzyła drzwi. - Wskakuj, już pas trzymam, zapnę cię. Michał, a ty dlaczego nie wsiadasz, czy nie chcesz babcinego ciasta? Szybko, bo jeszcze dziadek wam zje, raz, dwa, bawcie się dobrze, nie szalejcie za bardzo. Aha - za żadne skarby nie zamierzała dopuścić ani jednego ani drugiego do głosu i dodała ścisząc tajemniczo głos: - Pozwalam wam dzisiaj posiedzieć trochę dłużej.

- Hurrra, a do której? - Olka już mościła się w fotelu.

- Aaa, to jeszcze muszę uzgodnić z babcią, wykąpiecie się normalnie, a później zobaczymy. To zależy od tego, jak oni się będą kłaskać, no i... - Iwona podniosła palec - od tego, czy będziecie grzeczni. Ja już zmiatam, bo zamarzają mi nogi. Buzia jedna, buzia druga.

Cmoknęła Olkę, zatrzasnęła drzwi, po czym przebiegła na drugą stronę samochodu i ucałowała syna.

- Siadaj i jedź. Ciebie też mam jakoś przekonać? - spytała półgłosem męża.

- Nie, nie - ocknął się, jak dla niego akcja przebiegła zbyt szybko i zbyt bezkolizyjnie. - Kupić coś?

- Nie, wszystko jest. Jedźcie.

Włączyła radio, przeszła się niespiesznie po pokojach, zbierając leżące na podłodze zabawki i ruszyła do kuchni. Nie będzie dzisiaj marznąć na balkonie, wywietrzy się, przekonywała samą siebie i usiadła przy stole.

Co ten Daniel zrobił się taki potulny? Grzecznie wykonywał polecenia, schodził z drogi wtedy, kiedy trzeba, nie szydził z niej. Wprawdzie na kolacji wigilijnej u rodziców próbował po raz kolejny (ileż można) ponabijać się z preparowanych przez nią potraw, ale spojrzała mu krótko w oczy i powiedziała tylko: „Dobrze, od dzisiaj będę gotowała jedną porcję mniej”, po czym zabrała się spokojnie za karpia. Próbował obrócić to w żart, ale mu nie wyszło, więc resztę kolacji siedział jak mruk, nie odzywając się do nikogo, urażony i czekający na przeprosiny. Przeprosin się jednak nie doczekał.

Wrócili do domu, Iwona zapakowała do lodówki przywiezione od rodziców jedzenie, część wrzuciła do zamrażalnika, a później, gdy udało się już uśpić obłożone nowymi zabawkami dzieci, legła w wannie z *Czekoladą* Joanne Harris. Gdy już się wymoczyła dostatecznie, przeniosła się z książką i z malutkim Lansquenet do sypialni, nie zwracając uwagi na męża. Wydmuchała dym. Ciekawe,



czy Anita czytała. Pewnie tak, ona łykała wszystkie książki. Wymieniała je z koleżankami z pracy, całkiem niedaleko miała też bibliotekę na Dobrej i dwie panie, którym w kwestiach literatury i gustu ufała bezgranicznie. Zresztą, z tego co mówiła, nigdy się na nich nie zawiodła. Iwona zapatrzyła się.

Ona nie miała nikogo takiego. Nie było ani koleżanek z pracy, ani jakichś znajomości na osiedlu. Owszem, można było liczyć na uprzejme „dzień dobry” znajomych mam z przedszkola i szkoły. Ale to było wszystko. Dlaczego jej tak ciężko przychodziło zawierać jakiegokolwiek przyjaźnie? Nie potrafiła i już.

Westchnęła do siebie. Tym bardziej powinna się cieszyć z tych dwóch kobiet, które ma przy sobie od lat. Z którymi dogaduje się lepiej niż z własnym mężem. Przede wszystkim powinna nauczyć się przyjmować słowa krytyki.

Dobry moment. Bardzo dobry. Uśmiechnęła się do siebie, patrząc na datę zaznaczoną czerwonym kwadratem. Koniec roku, chyba już można zacząć wyliczać postanowienia noworoczne. Może też rzucić palenie? Spojrzała na dopalonego do połowy papierosa, łyknęła kawy i stwierdziła, że nie. To postanowienie zostawi na następny rok. Telefon migał co chwila, sygnalizując jakieś nieodebrane połączenie albo SMS-a. Zerknęła na wyświetlacz. Może Martyna się odzywa ze swoich gór? Iwona wzdrygnęła się na samą myśl o wyjeździe w góry zimą. O nie, za żadne skarby dobrowolnie, żeby nawet ktoś dopłacał. Chociaż z drugiej strony, gdyby była tak zdesperowana jak przyjaciółka...

„Kiedy indziej, później... Życzę przede wszystkim sobie, żeby nadeszło, a tobie? Cudownej kobiecie, cudownego roku. Myślę. J”.

Z westchnieniem odłożyła telefon.

Jacek odzywał się od czasu do czasu. Potrafił pisać, a ona niektóre SMS-y i e-maile znała na pamięć. Potrafiłaby je wyrecytować w środku nocy, wyrwana z najgłębszego

snu. Trafiał w jej najczulsze punkty, delikatnie, subtelnie poruszał te struny, które już pordzewiały, nieużywane od lat. Tylko że ona nie była w stanie niczego z tym zrobić. Czytała, zapamiętywała, kasowała i nie mogła odżałować, że nie może tych wszystkich wiadomości zebrać gdzieś w jedno miejsce, tylko po to, żeby od czasu do czasu mieć świadomość, dowód, że ktoś gdzieś o niej myśli. Ciepło, z jakimś uczuciem. Ale nie mogła się na to zdobyć. Więc skrupulatnie czyściła swoją skrzynkę, wdychając raz za razem i nie mając pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Ona też do niego pisywała. Głównie wtedy, gdy musiała coś z siebie wyrzucić, czymś się podzielić, pochwalić. Ale na tym się kończyło. Wzruszyła ramionami. Dziwne to wszystko. Strasznie dziwne.

Oj tak, sama sobie życzę, Jacku, żeby ten rok był cudowny. Może będziesz miał w tym swój udział, a może nie. Westchnęła i odpisała, uważnie dobierając słowa.

„Tobie też wszystkiego dobrego, kto jak kto, ale ty na to zasługujesz. I.”

\* \* \*

Anita otworzyła im drzwi ubrana sylwestrowo, w lekką bluzkę, ześlizgującą się co chwila z ramienia, i w krótką spódnicę odsłaniającą kragłe, ale zgrabne nogi. Iwona miała wrażenie, że przyjaciółka wygląda co najmniej oszalałam. Przytuliła się do niej mocno i starała opanować łzy wzruszenia, ale nie za bardzo jej to wyszło.

- Cześć, babo... To ja, wredna...

- Cześć - szepnęła jej w ucho Anita, nie dając dokończyć. - To ja, wścibska.

Nie odkleiłyby się pewnie od siebie jeszcze przez dłuższą chwilę, gdyby nie cichy i pełen pretensji pisk. Iwona odsunęła się, wytarła delikatnie kąciki oczu i spojrzała poniżej dekoltu przyjaciółki. Stamtąd patrzyły na nią z żalem ciemne oczy w kremowej oprawie. Pies!

W pierwszej chwili Iwona nie mogła dostrzec, gdzie się kończy szczeniak, a gdzie zaczyna bluzka Anity. Były dokładnie tego samego koloru.

- No, mamy teraz jednego domownika więcej. - Anita się roześmiała, unosząc nieznacznie psa. - Martyna nazwała ją Laba, ale ja bym raczej optowała za Naręcznik albo Przylepa. Bez przerwy domaga się noszenia.

- Nie ona się domaga, tylko ty ją bez przerwy nosisz, bo lubisz i chcesz. Cześć, ciociu Iwciu, dlaczego tak długo cię nie było? - Iga przytuliła się do Iwony i cmoknęła ją w policzek.

- Bom głupia, a ty nie nazywaj mnie już ciotką. Strasznie wielka się zrobiłaś, a ja się przez to czuję o wiele starsza niż jestem.

- Słyszałaś mamó? - Iga zwróciła się do matki triumfalnie.

- Słyszałam. - Anita wzruszyła ramionami. - Jak tam chcecie, mnie jest wszystko jedno. Aha, a pies chce, żeby go nosić. I tyle. Inaczej piszczy.

- Bo go nauczyłaś - odparowała Iga i oparłszy się o poręcz schodów, przepuściła panów, którzy po krótkim powitaniu poszli sprawdzić zawartość Tymkowego barku.

- Nie nauczyłam.

- Oj, mamó...

- Milcz, młoda, a tak w ogóle to miałaś już iść.

- Tak, właśnie lecę, bawcie się dobrze. - Iga zakręciła się w przedpokoju, po raz setny zerknęła w lustro, również po raz setny poprawiła włosy i zaczęła nakładać błyszczki.

- Aha, masz być o godzinie dwunastej piętnaście.

- Mamó, proszę cię.

- O co ty mnie prosisz? - Anita przełożyła Labę z ręki do ręki.

- Przecież dopiero wtedy zaczyna się impreza.

- Dla ciebie się właśnie wtedy skończy.

- Mamó... chociaż do pierwszej.

- Piętnaście po - Anita była nieugięta.

- Do za piętnaście pierwsza? - Iga spojrzała błagająco.
- Dwadzieścia po.

Po długiej licytacji ustaliły wreszcie, że Iga ma się zameldować o wpół do pierwszej i ani minuty później. Pod groźbą zakończenia wszelkich wyjść. Gdziekolwiek.

- Twarda jesteś - stwierdziła Iwona jakiś czas później, gdy zadekowały się w kuchni pod pretekstem dokończenia przygotowań.

- Guzik twarda. Właśnie, że nie. Dzisiaj to ona zmiękła, ale był już taki czas, że nie miałam pojęcia, jak do niej podejść. A dzisiaj, wiesz, zależy jej na wyjściu, a ja trzymam władzę, więc jest potulna.

- Ty nie wiedziałaś? - Iwona spojrzała na przyjaciółkę ze szczerym zdumieniem. Dziwnie było słyszeć, jak Anita przyznaje się do słabości.

- Jeśli to ma być ironiczne, to sobie daruj. - Anita machnęła łyżką w jej kierunku i wróciła do ozdabiania sałatki majonezem. - Nie wiedziałam. Podejrzewam, że dalej nie będę wiedziała, gdy już się skończy ta cała świąteczno-noworoczna kołomyja. Zazdroszczę ci, wiesz? - Spojrzała na przyjaciółkę z namysłem.

- Czego? - Iwona zbaraniała.

- Tego, że masz nad wszystkim kontrolę. Nie musisz się martwić o towarzystwo, o zawartość skrzynki e-mailowej, o to, gdzie twoje dzieci spędzają wolny czas... o nic właściwie.

- Co ty gadasz, Anita, przecież zawsze miałyście ze sobą świetny kontakt.

- Teoretycznie cały czas mamy. A w praktyce wygląda to tak, że w pewnym momencie zatrząskują się przed tobą drzwi, bo za nimi pojawia się świat, do którego matki nie mają wstępu. Zakaz, rozumiesz? Mogą zaglądać sobie przez dziurkę od klucza i to wszystko.

- Wiesz... - Iwona czuła się co najmniej dziwnie, udzielając Anicie rad - a nie wydaje ci się to normalne? Przypomnij sobie, jak ty dorastałaś, jak kantowałaś rodziców, chociaż...

- Zgadza się, wiem. Tylko, że w niej jednocześnie jest czasami tyle agresji. Dobra, dajmy temu spokój. - Anita machnęła ręką. - Kiedyś, przy innej okazji, a na razie - podeszła do przyjaciółki i cmoknęła ją w czubek głowy - cieszę się, że jesteś.

- Ooo, jaka cudowna chwila, chwila prawdziwego uczucia. Powiedz mi, bratowo, czy to jest ta przyjaciółka, na którą tak długo czekaliśmy. - Do Iwony zaczął się zbliżać jakiś niesamowicie przystojny facet. - Jeżeli tak, no cóż, warto było czekać. Adam.

- Iwona, miło mi.

- Nie wiem, komu bardziej.

- Adaś, super, że jesteś, będziesz tak kochany, pomożesz nam z tymi sałatkami? - Anita złożyła błagalnie ręce, potem na sekundę odwróciła się w kierunku Iwony i wyjaśniła: - To nasz brat i szwagier, ten zaginiony i po prostu nieoceniony, jeśli chodzi o pomoc, prawda, Adamie?

- My God, Anita, nie przeceniaj mnie, ja nie potrafię...  
- Adam już się zaczął wycofywać.

- Poczekaj, poczekaj, proszę, weź chociaż ze dwa półmiski. - Anita wcisnęła mu w ręce pierwsze dwa naczynia, które jej się nawinęły i wypchnęła za drzwi. Na pytające spojrzenie Iwony wzruszyła ramionami.

- Przypomniał sobie o rodzinie, bo na moje oko, stracił cały majątek, chociaż do końca nie wiadomo, czy w ogóle go tam posiadał. Przyjechał goły jak święty turecki.

- Jak to?

- Normalnie, a teraz najprawdopodobniej będzie u nas jakiś czas mieszkał. - Anita zgrzytnęła zębami. - Bo rozumiesz, u teściów jest za małe mieszkanie, a tutaj przecież tyle pokoi niewykorzystanych. Mam go już po cebulki włosów.

- Hm, wydaje się miły...

- Owszem, jest miły, tylko uważaj na dekolt i na spódnice - poradziła jej szczerze Anita.

Cały wieczór spędziły właściwie we dwie, nie zwracając uwagi na mężów, co chwila brały sobie dokładki na talerze, dolewały wina... i gadały, gadały, gadały. Jedna przez drugą, szybko, tak jakby chciały nadrobić stracone miesiące. O wszystkim właściwie. No, prawie.

Iwona bowiem na razie wolała Jacka zachować całkowicie dla siebie. Chociaż nie było właściwie nic do zachowywania. A może było? W każdym razie przemilczała jego obecność pewnego wieczoru. Jego korespondencję. O północy, patrząc na fajerwerki i cmokając wesołego już męża w zaczerwienione policzki, poczuła dziwne ukłucie żalu. Zupełnie nieuzasadnione.

\* \* \*

Czarek stwierdził, że się poddaje. Po co mu to było? Miał elegancko uporządkowane życie, swój ład, swoje przyzwyczajenia. Fakt, miał też swoje problemy, ale sam je rozwiązywał, a przede wszystkim je rozumiał. Rozumiał.

A teraz pojawiało się coś, co zupełnie przekraczało granice jego rozumienia. Martyna. Kobieta, której udało się przewrócić jego uporządkowane życie do góry nogami, która w ciągu krótkiego czasu zrobiła z jego świata kompletny chaos. Pojawiła się na jego drodze pewnego pięknego dnia, zauroczyła, zawładnęła sercem i chyba też rozumem.

Czarek pokręcił głową, nieuważnie głaszcząc Sproketa. I oto teraz siedzi w jakimś wynajętym, obcym mieszkaniu. Wpatruje się w choineczkę, którą mu wetknęła mama, a na którą wcale nie miał ochoty. Najmniejszej. Najlepiej, żeby nic nie przypominało mu o świętach, z którymi wiązały tyle nadziei. Ot, szast prast i nagle z życia robi się bryndza. A za sprawą czego? Czy raczej kogo? Kobiet właśnie. Tak, a nie inaczej. Dzisiaj też. Zadzwonił do Anity, chciał się upewnić, czy zaproszenie na sylwestra jest aktualne, no i pomyślał sobie, że może zabrałby ze sobą Dorotę.

Wiedział, że nie ma żadnych planów na ten wieczór, a nie chciał przecież, żeby przyjaciółka, jego jedyna przyjaciółka, spędzała go samotnie. To szczególny wieczór. Gdy zadał pytanie Anicie, najpierw po drugiej stronie zapadła cisza.

- Halo, Anito, jesteś tam? - zapytał.

- Tak, jestem.

- To jak? Możemy przyjść? Tymek mówił, że Martyna nie będzie, bo gdzieś wyjechała, tak? - Oj, jak bardzo wbrew zdrowemu rozsądkowi chciał się dowiedzieć, gdzie i z kim. I dlaczego właściwie wyjechała.

- Tak - odparła lakonicznie Anita.

- A gdzie? - skrzywił się sam do siebie, gdy tylko pytanie wybrzmiało.

- W góry.

- Na długo? - przysiągł sobie, że ani jedno pytanie więcej nie padnie z jego ust.

- Wraca w niedzielę.

- Aha, a co u niej? - Zabiję się.

- Wszystko dobrze. Zadzwoń, jak chcesz.

- Nie odbiera - pożalił się i odetchnął z ulgą, że nie musi już stawiać na końcu zdania żadnych pytajników.

- Ciekawe dlaczego, zastanawiałeś się?

- Anito... proszę cię, chociaż ty mnie nie dobijaj, cały czas się zastanawiam.

- Wnioski?

- Brak.

- Szkoda.

- To jak, widzimy się dzisiaj?

- Czarek... - Anita przerwała na chwilę, potem usłyszała jej głęboki wdech. - Słuchaj, jak ty to sobie wyobrażasz? Martyna ma ci za złe, że spędzasz czas z Dorotą, no i co? Pojawiasz się nagle u nas z nią? Nie uważasz, że to by było trochę nielojalne z mojej strony?

- Ale co?

- Jezuuu, to że przychodzisz z Dorotą do nas. Z Dorotą, przez którą doszło między wami do pewnej, że tak powiem, różnicy zdań. W jakim charakterze miałbyś się z nią pojawić?

- Jak to, w jakim? Przyjaciółki.

- Czarek, wiesz, ja już nie mam siły tłumaczyć ci tego wszystkiego. Nie mam siły i strasznie mi głupio, że muszę to powiedzieć jako gospodyni, jako pani domu, ale niestety... nie.

- Co nie?

- Nie widzimy się dzisiaj.

- Czy wyście wszystkie poszalały? - Czarek nie wytrzymał.

- Słuchaj, jeżeli wszyscy naokoło szaleją, a ty nie, to może czas się zastanowić, czy z tobą wszystko w porządku. Wybacz, muszę kończyć, ktoś dzwoni do drzwi.

- Na razie.

Rzucił telefonem i doszedł do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma. Martyna najwyraźniej coś sobie ubzdurała, cholera ją wie co, zaraziła tym swoje przyjaciółki, rodzinę i nie wiadomo, kogo jeszcze. Najprawdopodobniej naopowiadała im niestworzonych rzeczy i teraz wszyscy demonizują jego wieloletnią znajomość z Dorotą.

Po kiego grzyba w ogóle mówił, że ma takiego kogoś? Kogoś, z kim może pogadać bez żadnych zobowiązań, kto zrozumie, bo przecież dobrze go zna. Nie wiadomo. Teraz już wiedział, że pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie. Tylko skąd miał to wiedzieć wcześniej?

O nie, nie będzie dzisiaj siedział sam. Wstał i zaczął energicznie chodzić po pokoju. Zupełnie obcym pokoju z idiotycznym regałem pod ścianą. Nie ma ochoty na oglądanie czterech cudzych kątów. Skoro Martyna pojechała sobie w góry, on też pojedzie. Tylko trochę bliżej.

- Cześć, Dorota. Śpisz? W domu jesteś? Wychodzisz gdzieś?



- Trzy razy nie. - Dźwięczny śmiech zabrzmiał po drugiej stronie, a Czarek poczuł, jak powoli zaczyna się rozluźniać.

- A czekasz na kogoś?

- Ech ty, przyjeżdżaj, zapasy w lodówce mam, coś do picia też się znajdzie, czekam. - Odłożyła słuchawkę, nie czekając na jego odpowiedź.

- Idziemy Sprok, idziemy się zabawić w sylwestrową noc. Jakkolwiek dwuznacznie by to zabrzmiało w czyichś przewrażliwionych uszach.

Założył psu smycz, zawrócił jeszcze po butelkę rumu, z kuchni wziął colę i ruszył.

Dorota otworzyła mu drzwi ubrana w lekką, krótką tunikę. Oparła się dłonią o ścianę i spojrzała na niego z uśmiechem:

- Znowu sami?

- Upijmy się dzisiaj, OK?

- Nie ma sprawy.

- Na umór.

- Nie widzę problemu.

- Do utraty przytomności.

Jadł, pił, zalił się jej i nie mógł się nacieszyć, że ona słucha, że rozumie, bo przecież, tak uważnie patrzyła, kiwała co chwila głową, potakiwała. Pewnie, że rozumie. Pamiętał, jak podnosił Dorotę na duchu po jej rozwodzie. Była w stanie totalnej rozsypki, prezentowała wtedy sobą żałosną i skorą do płaczu kupkę. Zupełnie, jak on teraz.

Na cholerę było mu zmieniać to wszystko? Miał mieszkanie, swój ką, do którego mógł wrócić, miał przyjaciółkę, a seks? Jak na razie nie narzekał na brak chętnych. Ale nie, zachciało mu się mieć to wszystko razem. W jednym pakiecie. Mieszkanie miał przecież oddzielnie, przyjaciela oddzielnie, seksu też musiał szukać gdzie indziej, bo z Dorotą nie chciał się w ten sposób wiązać. Ona zresztą też. Ale zachciało mu się otrzymać wszystko razem. No i proszę

bardzo. Wyszło, jak wyszło. A dlaczego? To było najgorsze, że nie umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć.

- Powiedz mi, dlaczego właściwie ty wynajmujesz mieszkanie? - zagadnęła ni stąd, ni zowąd Dorota, opierając stopy o jego kolana.

- Jak to?

- Przecież ty sprzedałeś swoje po to, żeby dokończyć budowę domu. Waszego domu. A teraz wychodzi na to, że ona ma jedno mieszkanie w bloku, a drugie, nieco większe i o podwyższonym standardzie, w dzielnicy domków jednorodzinnych.

- No tak.

- Dlatego pytam. - Dorota wzruszyła ramionami i zasyczała. - Auć, pomasuj mi stopy, co? Nabiegałam się dzisiaj jak nigdy. Ooo, tak, super... To jak, odpowiesz mi?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

- To chyba błąd, co? Ja rozumiem, jesteś człowiek szlachetny, ale bez przesady. To przecież wasz dom, Czarek, wasz.

- Zgadza się, tylko jak ty to sobie wyobrażasz, przeciąć go na pół? Mam się tam wprowadzić i co? Wytyczyć linię mojego boiska jednym kolorem, a ona będzie miała drugą połowę zaznaczoną innym?

- Nie wiem. Możesz przecież nie robić żadnych działań, po prostu się tam wprowadzić. O tak, cudnie... - westchnęła, przeciągając się.

- Nie za mocno?

- Nie, super.

- Nie mogę się wprowadzić, Dora. To jest jej dom. Ona zaczęła go budować, ja się tylko dołączyłem, dołożyłem małą cegłę.

- To ją zabierz! - syknęła, po czym zreflektowała się, widząc zaskoczoną minę Czarka. Przymknęła oczy i powiedziała: - Sorry, wiesz, nosi mnie, kiedy ludzie dają się wykorzystywać. Ja się dałam i co? Sam dobrze wiesz, jak to wszystko wyglądało.

- Yhm. - Czarek w zamyśleniu wrócił do masowania jej stóp.

Coś tam pamiętał, piąte przez dziesiąte. Nigdy go nie interesowały sprawy materialne, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to Dorota oskubała byłego męża do ostatniego piórka. Tak, chyba tak było, bo później tak ostro świętowali zwycięstwo, że niewiele brakowało, a skończyłoby się w łóżku. Tak. Właśnie dlatego zapamiętał ten wieczór. Spojrzał na Dorotę w zamyśleniu, czyżby ona zapomniała? Dał sobie jednak spokój, możliwe, że o coś innego jej teraz chodziło.

- Po prostu się nie daj. Zbyt ciężko pracujesz, żeby pewnego dnia jakaś cizia... Sorry, widzisz, zbyt wiele we mnie emocji. - Dorota odstawiła szklankę z drinkiem, obiecując sobie nie tknąć jej do końca wieczoru albo do rana. - Jakaś kobieta to zgarnęła - pstryknęła palcami - ot, tak. Dlaczego niby?

- To zbyt skomplikowane. Już? - zapytał, wskazując palcem jej stopy.

- Tak, dzięki, o niebo lepiej. - Położyła mu nogi na kolanach.

- Czekać, muszę iść do łazienki. - Pomachał rękami.

- Ech, ty doktorku, ty i ta twoja higiena. - Roześmiała się pobłażliwie, zdejmując powoli długie nogi.

- No co? - zawtórował jej śmiechem. - Będę jadł. Palcami.

Później starali się omijać temat Martyny szerokim łukiem. Czy raczej Czarek się starał, mimo paru prób ze strony Doroty, bo czuł się jakoś niezręcznie. Nie chciał poruszać zbyt wielu spraw, bo czuł, że są zbyt skomplikowane i należą tylko do nich. Co było dziwne, bo przecież Dorota do niedawna wiedziała o wszystkim. Sam się więc sobie dziwiąc, unikał tematu, między innymi dlatego, że niektóre rozwiązania proponowane przez przyjaciółkę wydawały mu się zbyt radykalne.

On tak po prostu nie potrafił. Z różnych względów. Może, gdy to wszystko już przeminie, gdy się skończy, to jemu też tak stwardnieje tyłek?

Spojrzał w zamyśleniu na Dorotę. Szli wśród fajerwerków i starali się uspokoić Sproketa, który na gwizd kolorowych gwiazd dostawał szału.

Nie. On tak nie chciał. Nie chciał być tak bezwzględny jak Dorota. Nie pamiętał, czy zawsze taka była, bo jakoś nigdy nie miał powodu, żeby się nad tym zastanawiać. Może dopiero z biegiem lat i doświadczeń stała się taka właśnie. Twarda i nieugięta jak facet. Bez skrupułów walcząca o swoje. Z jednej strony imponowało mu to, z drugiej... nie chciał tak.

- O matko, brrr... - Dorota się zatrzęsała, gdy weszli do mieszkania. - Cały alkohol ze mnie wyparował. Litości, ogrzej mi ręce.

Nie czekając na zaproszenie, wpakowała dłonie pod kurtkę Czarka. Poczul najpierw ich chłód, a później nieznaczny ruch, jaki zaczęły wykonywać, zmierzając w kierunku jego klatki piersiowej.

- Halo, halo, pani się czasami nie zagalopowała? - Próbował ją zatrzymać, obracając wszystko w żart.

Widocznie alkohol jednak nie wyparował, lepiej już położyć Dorotę do łóżka, bo jutro nie będzie sobie mogła tego zachowania darować. Ona jednak spojrzała na niego całkiem przytomnie.

- Nie. Nie zagalopowałam się - odparła, sunąc dalej do wytyczonego celu.

- Dorota, idź ty już spać. Najlepiej będzie.

- Nie - powtórzyła. - Mam już tego dość, Czarek. Już nie dam rady się dłużej powstrzymać.

- Co?

- Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. Od początku twoje małżeństwo z tą całą Martynką - wycodziła, podnosząc głos - było jednym wielkim nieporozumieniem.

Narobiła ci biedy, zmarnowała życie i co? Co teraz musisz zrobić?

- Dorota...

- Posłuchaj, my... my jesteśmy dla siebie, rozumiesz? Od dawna byliśmy, jeden umysł, jedno serce i czas najwyższy, żeby było jedno ciało. Nie widzisz tego? Dałeś się omotać tej cizi, nie, tym, razem nie przeproszę, bo nie mam za co. Fryzjerczka od siedmiu boleści, zgarnęła cię na kasę, chciała, żebyś był dawcą spermy, tylko tyle... Nie rozumiesz? - Spojrzała na niego z jakimś przerażającym błyskiem w oczach. - Nie znaczyłeś dla niej nic, od samego początku. Myślisz, że nie widziałam? A ona dla ciebie? Gdyby faktycznie ci na niej zależało, na tej...

- Dorota, opanuj się...

- Nie opanuję się. Gdyby ci na niej zależało, to byś sterczał pod jej domem, a nie siedział tu ze mną, masował moje stopy, trzymał je na swoich kolanach. Tak by było. Ale jesteś tu, a skoro tego nie widzisz, to sama muszę ci pokazać!

Przysunęła się do niego i wpiła w jego usta. Dosłownie wpiła, przylgnęła, przyspawała. Czarek chwilę stał oszołomiony, niczego nie rozumiejąc. Po czym odepchnął ją od siebie, podniósł ręce i powtórzył spokojnie:

- Połóż się już spać. Sproket!

- Nie mów, że wychodzisz?

- Oczywiście, że wychodzę. Jutro sobie tego wszystkiego nie darujesz, nie mam zamiaru dokładać ci cegieł do moralniaka.

- Nigdzie nie wyjdiesz. - Stanęła, zasłaniając sobą drzwi.

W tej chwili przypominała Czarkowi jakąś postać z tych filmów o opętanych. Wyglądała zupełnie obco, z jej ust wydobywał się obcy głos.

- Nie wyjdiesz.

- Wyjdę - oznajmił na pozór spokojnie, ale w środku wszystko w nim wrzało. W tej chwili był w stanie wziąć ją za ramiona i przestawić.

- Dobrze. - Zmieniła taktykę, odsuwając się od drzwi.  
- Jeżeli wyjdiesz, to możesz już tu nie wracać. Zapomnij adres, wykasuj mnie z telefonu, bo ja właśnie za chwilę to zrobię.

- Trzymaj się, Dorota. - Sięgnął do klamki, ale obeszł kobietę bokiem, jakby obawiał się odwrócić do niej plecami.

Pociągnął warczącego Sproketa i zamknął drzwi swojej wieloletniej przyjaźni.

\* \* \*

W mieszkaniu usiadł na podłodze, postawił przed sobą butelkę, kieliszek i zaczął analizować. Jedno zdanie powtarzało się w tej analizie obrzydliwie często: „...Jeżeli wszyscy naokoło szaleją, a ty nie, to może czas się zastanowić, czy z tobą wszystko w porządku.”

# 12

Martyna zaprosiła dzisiaj baby na parapetówkę. Zastanawiała się, czy nie poszerzyć grona zaproszonych o osoby towarzyszące, ale po chwili namysłu doszła do wniosku, że już bardzo dawno nie miały okazji pogadać tylko we trzy. Kiedy ostatnio? Oj, chyba przed jej weselem. Jej nieszczęsnym weselem.

Westchnęła ciężko.

Dosyć już. Nie ma o czym myśleć, nie ma się nad czym zastanawiać, trzeba dodać to do listy życiowych błędów i potraktować jako nauczkę na przyszłość. Dać sobie spokój. Oczywiście o wiele łatwiej było to powtarzać niezliczoną ilość razy dziennie, trudniej zaś wprowadzić w życie. Zwłaszcza, że Martyna na każdym kroku widziała Czarka. Nie jego osobiście, tylko coś, co go przypominało. Mignęła na ulicy znajoma kurtka, ktoś podobnie się zaśmiał, a ostatnio złapała się na tym, że w sklepie wpatruje się obcemu gościowi w podbródek. Dosłownie identyczny. Zreflektowała się dopiero, gdy facet niepewnie potarł brodę i spojrział na nią pytająco.

To nic. Jeżeli będzie sobie wmawiać konsekwentnie, codziennie, że to był błąd, w końcu odniesie to skutek. Musi i już. Albowiem Martyna straciła już wszelką nadzieję, że uda im się dojść do porozumienia. Widocznie jednak za mąż trzeba wychodzić, gdy człowiek ma nieco mniej lat, bo daje to większą gwarancję na dogadanie się. Jest się mniej skostniałym, więc łatwiej odstąpić od pewnych rzeczy.

Wzruszyła ramionami i zaczęła kroić krabowe paluszki na sałatkę. Laba podeszła do niej, powąchała i uciekła czym prędzej w najdalszy kąt kuchni. A usiadłszy na swoim małym ogonie, spojrzała na panią ze zdumieniem.

- Nie patrz tak na mnie - rzuciła Martyna. - Niektórym psom to pachnie, poza tym smakuje wyśmienicie. Ale mam tu kawałek czegoś, co ci na pewno zasmakuje. - Sięgnęła do lodówki i wyciągnęła kawałek kabanosa. - Proszę bardzo.

Labą podbiegła, merdając ogonkiem i uśmiechnęła się do Martyny z czystą wdzięcznością.

Taki pies to coś niezwykłego. Teraz już Martyna rozumiała, dlaczego Sproket stanowił nieodłączne towarzystwo Czarka. Wzdrygnęła się. No znowu, cholera. Rzuciła się na paluszki ze zdwojoną energią i zmusiła się do myślenia o czymś innym. O, na przykład o wyjeździe.

Lepiej nie mogła trafić. Uśmiechnęła się pod nosem. Już właściwie od momentu, kiedy wsiadła do małego busa, poczuła, że podjęła odpowiednią decyzję. Mama mówiła coś o ucieczce. Ale nie miała racji, bo z ucieczką to niewiele miało wspólnego. No dobra, może na początku.

Ale później, kiedy spojrzała na tych ludzi na dworcu, kiedy usiadła obok ogromnego mężczyzny podobnego do aktora, który grał w filmach o starożytnym Egipcie... Martynie wyleciało z głowy, jakże się on zwał, w każdym razie był... no, piękny był. Gdy usiadła obok Patryka, bo tak miał na imię, i jego narzeczonej i kiedy posłuchała, jak żartują, przekomarzają się, to nie wiadomo kiedy udzielił jej się nastrój ogólnej wesołości.

Później, w Warszawie, dołączyli do reszty towarzystwa, a Martyna miała wrażenie, że następnego dnia obudzi się z bólem mięśni brzucha. Wszystko za sprawą Agnieszki, narzeczonej Patryka, która swoim humorem i żartami była w stanie zarazić wszystkich. W autokarze zaś maraton śmiechu trwał dalej, w liczniejszym już towarzystwie. Martyna nie miała pojęcia, czy w biurze turystycznym



dobierają ludzi pod kątem poczucia humoru, czy oni wszyscy się znali, w każdym razie bawiła się przednio, z każdą minutą coraz bardziej oddalając się fizycznie i psychicznie od swoich problemów. Tego jej było trzeba.

A Matylda? Hm, fajnie jest spotkać kogoś, z kim od pierwszego słowa czujesz, że nadajesz na tej samej częstotliwości. Drobna, z idealnie przyciętymi czarnymi włosami, bardzo żywiołowa, od razu przypadła Martynie do gustu. Najwyraźniej z wzajemnością, bo w momentach, kiedy Martyna nie wiedziała, do kogo się przyłączyć, Matylda brała ją pod swoje skrzydła, zupełnie naturalnie i z niewymuszoną swobodą. Chwilami odnosiło się wrażenie, że jej mąż, Paweł, został odstawiony na boczne tory, z powodu Martyny właśnie. Postanowiła jednak nie mieć najmniejszych wyrzutów sumienia. Może ciut egoistycznie, ale...

Poza tym miała okazję obserwować związki damsko-męskie, utwierdzić się w przekonaniu, że jednak małżeństwo nie ma najmniejszego sensu. Patryk, gdy uważał, że nikt nie widzi, wpatrywał się w Matyldę cielęcym wzrokiem, zupełnie nie pasującym do jego ogromnej postaci. Mąż Sylwii uznał za punkt honoru wyszczypać wszystkie panie, jakie pojechały na tego sylwestra. Sylwia z kolei, nie przejmując się zapędami męża, usiłowała przetestować wszystkie lub prawie wszystkie męskie kolana.

Martyna mogła mnożyć te przykłady na pęczki, bo tylko Matylda z Pawłem zdawali się idealnie do siebie pasować. Później jednak doszła do wniosku, że wyjątek potwierdza regułę, a poza tym oni byli jeszcze stosunkowo świeżym małżeństwem. I tyle.

Tak więc sprawa była przesądzona. Wrzuciła do miski ogórki kiszone i wzięła się za krojenie jajek. Teraz tylko trzeba to wszystko sfinalizować. Tylko.

Przerażeniem napawała ją myśl, że Czarek może rościć pretensje do tego domu. A mógł, jak najbardziej. Bo przecież jego wkład był dość znaczny i wcale by jej nie

zdziwiło, gdyby pojawił się tu pewnego pięknego dnia z listą, co komu i dlaczego. Miał do tego pełne prawo. Na dobrą sprawę już dawno powinien się pojawić, chyba, że siedzi kątem u Dorotki i źle mu nie jest.

Auć. Z rozpędu przycięła sobie palec krawalnicą do jarek. Proszę bardzo, będzie dzisiaj krwawa sałatka, krwawa Mary i Marty. Też krwawa...

\* \* \*

- Cudnie tu masz. - Iwona przeciągnęła się na kanapie i obracając w dłoniach szklanę z drinkiem, podwinęła nogi pod siebie. - Zawsze chciałam mieć swój własny dom. Zawsze. Wyjść rano na schody, usiąść z kubkiem kawy, spokojnie zapalić. Tak, żeby żaden sąsiad nie zaglądał mi do kubka, nie kłaniał się co chwila i nie myślał, dlaczego ona siedzi bez przerwy na tym balkonie...

- To nie siedź. Masz nowy rok, więc mogłabyś rzucić - poradziła Anita, przyciągając do siebie Labę.

Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że powinna sobie sprawić takie małe, przytulne ciasteczko. Przytulne, rozumne i takie ciepłe.

- Mogłabym - zgodziła się Iwona - ale nie chcę. Rozumiesz, na razie nie czuję potrzeby. Ale to tutaj - zapatrzyła się w kominek - swój dom, kwiaty, rabatki, może ogród...

- Oczywiście, zimą odśnieżanie ścieżki - dodała Martyna ze śmiechem.

- Dzień w dzień - uzupełniła Anita.

- Modlitwa, żeby nic broń Boże nie siadło, żadna kanalizacja, żadne ogrzewanie ani nic z tych rzeczy...

- Co wieczór - dodała usłużnie Anita.

- Ojoj, myślałby kto! Wiadomo, że są plusy i minusy, ale w ogólnym rozrachunku i tak bilans wychodzi na korzyść domu i nie zaprzeczajcie. Ty, Martyna... - nagle Iwonę olśniło. - Ja nie wiem, czy powinnam...

- Wal.
- Przecież ten dom jest wasz. Jak to w ogóle teraz wygląda, czy Czarek nie zgłasza żadnych pretensji?
- No i trafiłaś w czuły punkt, wiesz - Anita łyknęła solidnie ze szklanki.
- Daj spokój, przecież to jasne. - Martyna wzruszyła ramionami i przysunęła sobie miskę ulubionych chipsów.
- Na razie nie zgłasza, ale zdaję sobie sprawę, że przyjdzie tu pewnego dnia i... Nie wiem. Chyba będę musiała go spłacić w jakiś sposób. Wezmę kredyt, zapożyczę się i tyle.
- A nie da się tego jakoś naprawić, przecież wy dopiero zaczynacie...
- My skończyliśmy, Iwona. Niepotrzebnie zaczęliśmy i teraz trzeba skończyć to, co niepotrzebne. Ani jemu, ani mnie. Zamknąć wszystko, znaleźć optymalne rozwiązanie dla obu stron i cześć pieśni.
- Dlaczego? Przecież mogłabyś jeszcze raz spróbować, przecież ty go kochasz, prawda? Kochasz go.
- Martyna wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w szklankę. Zamieszała jasnobrazowy płyn, podniosła w górę i popatrzyła przez naczynie na ogień.
- Z miłości można się wyleczyć. I to właśnie planuję zrobić. Nie chcę postępować wbrew sobie, a powiem wam szczerze, że ten wyjazd dał mi dużo do myślenia. Zaobserwowałam to i tamto, przyjrzałam się różnym małżeństwom. Wy - wskazała palcem najpierw na jedną przyjaciółkę, później na drugą - też mi dodałyście argumenty i koniec. Postanowione. Nie mam zamiaru się męczyć.
- Jak to my? - oburzyła się Anita. - Co masz do mojego związku? Co masz do Tymka?
- Nic nie mam, ale chyba nie powiesz mi, że nie mieliście wzlotów i upadków, he?
- Mieliśmy, oczywiście, że mieliśmy.
- Chyba nie powiesz mi, że pozostał ci wierny w każdym tego słowa znaczeniu?

- Nie przesadz Martyna - ostrzegła ją Iwona.
- Nie wiem - odparła szczerze Anita. - Nie wiem, za rękę go nie złapałam, ale nie o to chyba w tym wszystkim chodzi.
- A o co niby? - W głosie obu przyjaciółek zgodnie zabrzmiało powątpiewanie.
- No wiecie... O to, żeby mimo wszystko się szanować, wracać, walczyć.
- Bredzisz, Anito. Facet puszcza cię w trąbę, że strywializuję, a ty otwierasz ramiona, wybaczasz i po co? Po to, żeby walczyć dalej? Nie, zdecydowanie nie mam na taki układ ochoty.
- Ja też - dodała Iwona.
- Nie rozumiecie.
- No to oświeć.
- Człowiek jest tylko człowiekiem, tak? Czy ty, Iwona, możesz powiedzieć, że jesteś całkowicie uczciwa w stosunku do Daniela? - nieoczekiwanie spytała Anita.
- A odczep ty się ode mnie. - Iwonę nieprzyjemnie tknęło, a przed oczami zamajaczyła wizja własnego przedpokoju i pojawiło uczucie, jakie ją ogarnęło na dotyk Jackowych ust.
- Ano właśnie.
- Odczep się, mówię.
- Ani oni, ani my nie mamy aureoli nad głowami.
- No to, po co to wszystko? - naciskała Martyna.
- Po to, wariatko, żeby mimo wszystko mieć do kogo wracać, rozumiesz? „Jestem dla ciebie piorunochronem...”
- „i gradobicie świata tego zbieram...” - dokończyła Iwona.
- No właśnie. Nie wiem, nie mam pojęcia, czy jest to tożsame z miłością, może i jest, ale z innym jej rodzajem? Nie tym szalonym uczuciem, które cię ogarnia od stóp do głów, tylko tym dojralszym, pełniejszym o doświadczenia, o wspólne żale, pretensje, ale później też o zwycięstwo nad własnymi słabościami? O wspólną satysfakcję?

Nie patrzcie tak na mnie. - Roześmiała się wreszcie Anita.  
- Też nie mam najzwyklejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, wiem tylko, że jest mi dobrze i na nikogo innego nie zamieniłabym mojego Tymona. Tyle.

Zadumały się przez chwilę, każda nad własnym związkiem.

Martyna zaczęła się zastanawiać, czy byłaby w stanie zaakceptować obecność Doroty w ich życiu, czy byłaby w stanie traktować ją jak sprzymierzeńca, jak przyjaciółkę. I przeanalizowawszy parę sytuacji, wzdygnęła się i stwierdziła kategorycznie, że jednak nie. Nie znalazła w sobie wystarczających pokładów tolerancji.

Iwona z kolei gryzła się, czy powiedzieć im o swoich pragnieniach, bo jednak Jacek siedział w jej głowie i jak na razie nie zamierzał stamtąd wyleźć. Gnieździł się coraz bardziej, przypominał o sobie krótkimi wiadomościami. Krótkimi, ale przyprawiającymi Iwonę o dreszcz. Miły dreszcz, który w żaden sposób nie chciał się pojawić w obecności męża. Ciekawe, co na to powiedziałyby Anita.

Ta z kolei przypomniała sobie ciche dni, pojawiające się na przestrzeni lat wraz z obecnością w ich życiu przedstawicielki żeńskiej kadry szpitalnej. Faktycznie, nie złapała nigdy Tymka za rękę ani za inną część ciała, ale parę razy, oczywiście cholernym przypadkiem (dlaczego takie rzeczy zawsze zdarzały się przez przypadek?) dowiedziała się o paru sprawach, które przecież wtedy wstrząsnęły nią mocno.

- Wiecie co? - zapytała wreszcie, przerywając milczenie. - Mamy siebie przynajmniej.

- Ha, czas za to wypić, zrób mi jeszcze jedną szklanekę, Martyno.

- Za nas...

- Za zrozumienie tego wszystkiego.

- Za sukces w interesach. - Martyna się uśmiechnęła do przyjaciółek. - Chyba tego potrzebujecie, co?

- Oj tak, za sukces. - Anita z Iwoną wymieniły krótkie spojrzenia.

- I za... - zaczęła Iwona - za wszystko, żeby było lepsze...

- Uch, jak ja nienawidzę wznoszenia toastów - mruknęła Anita.

- Nie marudź, pij do dna za to wszystko i za jeszcze więcej, czego wymieniać nie będę, oszczędzając twoją niechęć do toastów.

\* \* \*

Mimo śniegu, który za żadne skarby świata nie chciał się roztopić, w powietrzu czuło się już wiosnę.

Laba szalała na podwórku i strasznie ciężko było ją zagonić do domu. Wygrzebywała spod brudnego śniegu różne skarby i z radością zносиła Martynie. Ileż można na tym małym skrawku ziemi znaleźć zamrożonych myszy, kapsli, puszek i desek? Wydawało się, że jesienią pozbiierała wszystko. Jeszcze myszy była w stanie zrozumieć, fuj, ale te wszystkie puszki? Martyna trochę obawiała się, czy Laba nie zrobi sobie krzywdy, trafiając w końcu na jakiś kawałek szkła czy blachy, ale najwyraźniej suczka wybierała tylko te rzeczy, które nie stanowiły dla niej zagrożenia.

- Chodź mała, zabieram cię na niedzielny obiad.

Laba machnęła ogonem, rozumiała już słowa „mała” i „zabieram cię”, bo to były dobre słowa i zawsze znaczyły coś przyjemnego. Albo jakąś wycieczkę, albo długi spacer. Zawsze coś przyjemnego. Więc Laba nie czekając na kolejne zaproszenie, wskoczyła na tylne siedzenie samochodu.

Martyna zastanawiała się do jakich rozmiarów urośnie jej pies. Bo jak na razie przybierał na centymetrach i kilogramach wręcz błyskawicznie. Z drugiej strony, kto by się przejmował. Nie mają przecież żadnego ograniczenia

lokalowego, podwórko też duże, więc będzie jej dobrze, jakkolwiek wielka by urosła.

Potarmosiła głowę psa, westchnęła i wciągnęła głęboko coraz wyraźniejszy zapach wiosny.

Przejeżdżały akurat rondo i Martynę tknęło, że tak dawno nie była w parku, a o tej porze, gdy wszystko się budzi do życia, park ma swój specyficzny urok. Nie zastanawiając się długo, skręciła w trzeci zjazd i zaparkowała na Mickiewicza. Mama chwilę poczeka, zresztą, przecież i tak wyjechały wcześniej.

- Chodź, Labunia, pokażę ci park. - Sięgnęła po smycz i zapięła ją niezadowolonemu psu. - Nie oburzaj się, nie jesteś u siebie na podwórku, a poza tym, mam nadzieję, że załatwiłaś swoją najbardziej pilną potrzebę, bo nie mam woreczków.

Jednak oprócz zapachu nic nie znamionowało tu wiosny. Spojrzała na parkową rzeźbę. Praczki kłęczały smętnie nad swoją odwieczną pracą, szare, zmoczone i takie jakieś smutne. Główna aleja świeciła pustkami, gdzieniegdzie przemknął tylko niedzielny amator biegania, tu i ówdzie szwendały się pary małolatów, trzymające się za ręce. Śnieg wydawał się tu brudniejszy i bardziej odrażający niż gdzie indziej.

Martyna zasmuciła się jak, nie przymierzając, te praczki. Zwiesiła głowę i starając się nie wdepnąć w pozostałości po psach, widocznie nie tylko ona zapomniała na spacer woreczków, ruszyła w kierunku pałacu. Jedyne, co pozostaje niezmiennie piękne, to widok czerwonych wież kościoła, biała fasada pałacu i niebo. Wszystko w jednym kadrze.

Podniosła oczy i zapatrzyła się w chmury.

Sunęły po jasnym niebie jak kłębki waty. Zbite ciasno, małe, do złudzenia przypominające waciki do demakijażu. Uśmiechnęła się do siebie i poczuła na twarzy słońce, jego ciepłe promyczki po raz pierwszy tego roku wydawały

się grzać. Zaczęły prażyć, jakby chciały nadrobić stracony w lutym czas. Martyna zmrużyła oczy.

Tak jest, budź się, roztapiaj te paskudztwo, bo tęsknię już do moich pantofli i suchych płyt chodnika. Roztapiaj, grzej, świeć.

Zamknęła oczy, delektując się tym światłem, którego przez ostatnie miesiące było jak na lekarstwo. Zadumała się. Szła wolniutko, tylko od czasu do czasu uchylając powieki, by sprawdzić odległość od trawników, ławek, no i przede wszystkim małych stawów.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, poczuła mocne szarpnięcie. Coś omatało się wokół jej nóg i runęła jak długa prosto na tyłek. Zanim zdążyła się zorientować, co się stało, ujrzała obok siebie znajome oczy i poczuła mokre liżnięcie na policzku. To niemożliwe.

Podniosła wzrok.

Tuż nad nią, trzymając gazetę, stał, z przepaszającym wyrazem twarzy, jej od dawna niewidziany mąż.

Patrzyła, jak w jego oczach pojawia się niedowierzanie, jak rozszerzają się mocno, po chwili przymykają znajomo, a w ich kącikach rysują się kurze łapki. Te zmarszczki, które tak u niego lubiła. Gotowa była zrobić wszystko, żeby je wywołać.

Patrzyła na nie i niemal zastygła w kałuży, nie chcąc przerywać tej chwili, bo nagle wszystko pojaśniało. Martyna nie wiedziała, czy to za sprawą słońca, czy za sprawą tego człowieka. Bała się tylko jednego. Że gdy wstanie, to wszystko zniknie. Otrząsną się z tej chwili zamyślenia i znowu pójdą każde w swoją stronę, a Martyna właśnie teraz, siedząc tyłkiem w kałuży, poczuła, że tego nie chce. Że mimo wszystkich racjonalnych argumentów, nie potrafi się obejść bez tego człowieka, że...

Tymczasem człowiek podał jej rękę, pomógł wstać i nie odzywając się, prawdopodobnie z tego samego powodu, co Martyna, przyciągnął ją mocno do siebie. Poczuła jego usta na swoich i zanim odpłynęła, zdołała tylko pomyśleć:



Może jednak...  
Może się uda...  
Nam.

KONIEC